

Zdjęcie na okładce – *Damazy Kwiatkowski*  
Redakcja techniczna – *Sławomir Kusz*  
Korekta – *zespół*

© for this edition by PERSPEKTYWY PRESS, Warszawa 2000

ISBN 83-87170-82-8

PERSPEKTYWY PRESS  
Warszawa 2000

# Od autora

Przedstawiam Państwu dziesięć szkiców. Zawierają one refleksje na temat tych problemów, które wydają mi się najistotniejsze: kultury politycznej i stylu uprawiania polityki, stanu państwa i prawa, rozwoju gospodarczego, społecznej sprawiedliwości i solidarności, sytuacji obszarów wiejskich i rolnictwa, bezpieczeństwa narodowego, naszej drogi do zjednoczonej Europy, stosunków z sąsiadami, rozrachunków z historią i tradycją oraz wyzwaniem, które niesie nam wiek XXI. Zamykają tę książkę rozważania o największej „rezerwie strategicznej” jaką posiada dziś Polska – o edukacji. Proponuję, abyśmy wspólnie zastanowili się nad tymi sprawami.

W ciągu pięciu lat sprawowania urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej odbyłem wiele spotkań w kraju i zagranicą. Przeprowadziłem liczne rozmowy z politykami – z szefami państw i rządów, z ministrami. Często spotykałem się także z ludźmi pozostającymi poza polityką – z przywódcami religijnymi, duchownymi różnych wyznań, naukowcami, biznesmenami, działaczami organizacji pozarządowych. Wygłosiłem setki przemówień i oświadczeń, udzieliłem dziesiątków wywiadów dla mediów. Mam też za sobą liczne spotkania z ludźmi w różnych regionach Polski. Ich sympatia i poparcie były mi niezwykle pomocne w pracy. Bardzo je sobie cenię.

Prezydentura daje szansę wpływania na bieg wydarzeń, daje możliwości realizowania własnej wizji polityki, zwłaszcza gdy czuje się życzliwość i aprobatę milionów ludzi. Nie przeceniam możliwości osoby sprawującej urząd prezydenta, w sytuacji kiedy znaczna część kompetencji władzy wykonawczej skoncentrowana jest w rękach rządu i stanowiącej jego zaplecze parlamentarnej większości. Jestem jednak świadomy również swojej odpowiedzialności. Jest ona tym większa, że czas sprawowania mojego mandatu przypadł na wyjątkowo ważne dla Polski lata, kiedy rozstrzygać musieliśmy sprawy fundamentalne, decydujące o losach kraju i jego obywateli na całe dziesięciolecia. W tym czasie Polska zyskała – decyzją całego narodu – demokratyczną konstytucję. Zostaliśmy przyjęci do NATO i zdobyliśmy w ten sposób gwarancje bezpieczeństwa, jakich Polska nie miała od trzystu lat. Zbudowaliśmy przyjazne i partnerskie stosunki z sąsiadami. Rozwinęliśmy współpracę z krajami Europy Środkowej. Prowadzimy negocjacje o członkostwie w Unii Europejskiej, co otwiera przed nami perspektywę dokonania prawdziwego skoku cywilizacyjnego ku nowoczesności i dobrobytowi, jeszcze za życia współczesnego pokolenia Polaków.

Zamysł powstania tej książki zrodził się w czasie, gdy kończy się prezydencka kadencja i nadchodzi naturalny czas sumowania doświadczeń. Muszę przyznać, że odczuwam pewien niedosyt – w życiu publicznym – zarówno refleksji nad przebytą drogą, jak i poważnej programowej debaty nad wyzwaniem przyszłości. Ten niedosyt nieobcy jest chyba wielu politykom. Wynika bowiem i z pośpiechu działania i z tempa procesów politycznych we współczesnym świecie.

Sporządzenie takiego bilansu jest dziś dla mnie tym ważniejsze, że bogatszy o wnioski z naszych zbiorowych – ale

też i własnych – sukcesów i niepowodzeń, zdecydowałem ubiegać się po raz drugi o mandat społecznego zaufania. Chciałbym więc, aby moje opinie na temat różnych spraw zostały uporządkowane i poddane osądowi Czytelników.

Nie zawsze są to rzeczy zupełnie nowe. Ze swoimi opiniami i poglądami na wiele spraw występowałem przecież wielokrotnie. Rozmawiając z ludźmi, udzielając wywiadów, występując z przemówieniami i odczytami, mam jednak często świadomość niedokończenia wypowiedzi. Przygotowując tę książkę, wracałem więc czasem do tematów, a niekiedy też i tekstów wygłoszonych lub opublikowanych wcześniej. Przejrzałem i uaktualniłem zestaw argumentów w sprawach, które w moim przekonaniu powinny być przedmiotem wspólnego namysłu. Dziękuję Jackowi Kluczkowskiemu i Markowi Belce za współpracę. Dziękuję też innym moim doradcom i ekspertom za rozmowy i za uwagi dotyczące poruszanych problemów.

Mam nadzieję, Szanowni Czytelnicy, że znajdziecie Państwo w tej książce wiele bliskiego Waszym poglądom. Mam też nadzieję, że niejedna moja opinia lub postulat pobudzi w Was chęć przedstawienia własnego poglądu. Będę wtedy szczególnie rad.

*Aleksander Kwaśniewski*

# Zostawić trwały ślad

Na początku stycznia tego roku gościłem w I Programie Polskiego Radia. Dziennikarka prowadząca rozmowę zadała mi pytanie, coż jest fascynującego w polityce. Odpowiedziałem, że dla mnie polityka stanowi dziedzinę fascynującą dlatego, gdyż jest tworzeniem historii, jest realizacją narodowych zadań, urzeczywistnieniem wartości i celów, które w wyborach zyskały społeczną aprobatę.

Polityka nie jest bowiem jedynie zaspokojeniem własnych ambicji, jak to często się zdaje. Jest pozostawianiem śladów. Decyzje polityków wpływają na losy ludzi. Boję się ludzi – powiedziałem – którzy trafiają do polityki ze względu na chęć posiadania władzy, czy samą fascynację władzą. Władza to jedynie instrument. Jej celem, jej sensem jest pojęcie służby publicznej.

Motywacja, u źródeł której znajduje się przekonanie, że oto z moim udziałem dokonują się rzeczy, które zmieniają bieg spraw i pozostawiają trwałe ślady, ma fundamentalne znaczenie dla polityka. To ona rozstrzyga ostatecznie o wymiarze jego misji, nadaje sens jego działaniom. Tylko wtedy powstaje trwałe więź pomiędzy politykiem a tymi, którzy w trybie demokratycznych rozstrzygnięć wyznaczają jego polityczną rolę i wynajmują go jak gdyby do pracy na określony kadencją czas.

## Jak być skutecznym

Przywiązany jestem do aforyzmu Stanisława Brzozowskiego, że *treść historycznego zadania, jeżeli ma być dokonane, musi stać się treścią życia tych ludzi, którzy pragną być świadomymi pracownikami historii*. Kim więc dzisiaj, u progu trzeciego tysiąclecia jest polityk, który – używając terminologii Brzozowskiego – pragnie *być świadomym pracownikiem historii*? Nie podejmuję się próby definitywnej odpowiedzi. Przy założeniu, że „końca historii” nie będzie, chciałbym uczynić z tego pytania punkt wyjścia do rozważań o współczesnym sensie i o znaczeniu misji polityka.

Moje refleksje nie są zewnętrzną obserwacją. Należę do świata polityki. Stąd też moje prawo do oceny, w tym również krytycznej i samokrytycznej, zachowań polskiej klasy politycznej. Z profesjonalnego – można powiedzieć – obowiązku codziennej analizie muszę poddawać wszystko, co buduje jej autorytet i wizerunek w oczach opinii publicznej. Także te zjawiska, mechanizmy i obyczaje, które mogą stać się powodem jej kontestacji.

Na pytanie o budzące niepokój zjawiska związane z formowaniem się klasy politycznej trzeba więc odpowiedzieć, że jest to przede wszystkim, atrofia postaw związanych z pojęciem służby publicznej. To pojęcie wiąże się ściśle z ideą interesu ogólnego. Obie kategorie znajdują się – jak potwierdzają badania – na wysokim miejscu wśród tych wartości, jakie polskie społeczeństwo postrzega jako ważne. Uważam, że idea służby publicznej, działanie w zgodzie z interesem ogólnym, stanowi dzisiaj jeden z najważniejszych problemów kultury politycznej w Polsce. Przejawy postaw i działań niezgodnych z ideą interesu ogólnego i służby publicznej, wśród osób piastujących funkcje publiczne, są coraz bardziej zauważalne.

Podzielam niepokój tych, którzy widzą w tym zjawisku symptomy instytucjonalnej niewydolności państwa. W czasie seminarium poświęconego problemom korupcji profesor Ewa Łętowska powiedziała, że o sile ustabilizowanych systemów stanowią: jasne reguły gry, znajomość ról społecznych oraz pewna rutyna dotycząca tego, co przystoi, a co nie przystoi piastunowi władzy publicznej. Jej zdaniem kwestie te nie są przedmiotem powszechnej wiedzy, także wśród polityków i urzędników wysokiego szczebla.

To trafna ocena, chociaż również w ustabilizowanych systemach, mimo wydawałoby się jasnych reguł gry, zdarzają się wypadki sprzeniewierzenia regułom służby publicznej. Różnica między nami a nimi wydaje się polegać na tym, że w krajach o silnie zakorzenionej demokracji, w system instytucjonalno-prawny, wbudowane są bardziej skuteczne niż u nas mechanizmy pozwalające eliminować nieprawidłowości, zaś społeczne reakcje są bardziej jednoznaczne. Myślę, że w Polsce zrobiliśmy już dużo, chociażby w stanowieniu odpowiedniego prawa, aby położyć tamę tym zjawiskom. Ale, niestety, to ciągle za mało.

Zadajmy sobie na początek pytanie, co jest najważniejszym kryterium oceny polityka. Istnieje oczywista pokusa, aby odpowiedzieć – skuteczność. Czymże jest jednak skuteczność polityka? Groźnych pułapek, czyhających na udzielającego odpowiedzi na to pytanie, jest wiele.

Jaka jest miara „skuteczności” polityka działającego w demokratycznym państwie prawnym? Jak mierzyć „skuteczność” wobec wyborców i własnego zaplecza politycznego? Zdobyciem i utrzymaniem władzy? Czy realizacją oczekiwań społecznych? Na te pytania próbowali w ubiegłym roku odpowiedzieć Tony Blair i Gerhard Schröder, autorzy wspólnego manifestu politycznego nowej, zachod-

nioeuropejskiej socjaldemokracji, zatytułowanego „Polityka Nowego Środka i Trzeciej Drogi”. Ich zdaniem *w dzisiejszym świecie ludzie chcą polityków, którzy rozwiązują problemy społeczne bez ideologicznych uprzedzeń, którzy umieją wprząc wyznawane zasady i wartości w poszukiwanie praktycznych rozwiązań w ramach uczciwej, przemyślanej i pragmatycznej strategii politycznej. Wyborcy, którzy w obliczu zmian społeczno-gospodarczych muszą co dzień wykazywać się inicjatywą i elastycznością, oczekują tego samego od polityków i rządów.*

Nie ukrywam, że takie rozumienie skuteczności polityka jest mi bliskie. W nim zawiera się bowiem ta cecha i wartość zarazem, którą cenię u polityków – odpowiedzialność. Ma ona parę wymiarów. Nie chodzi mi o odpowiedzialność przed mityczną Historią i wyidealizowanym Narodem. To jest bowiem nieco koturnowy wymiar odpowiedzialności. Innym, bardziej namacalnym rodzajem odpowiedzialności jest odpowiedzialność konstytucyjna. Szczególny wymiar posiada odpowiedzialność przed wyborcami. Polityk podlega demokratycznej weryfikacji, która odbywa się przy urnach wyborczych. Myślę, że jest jeszcze jeden wymiar odpowiedzialności, związany nie tylko z wypełnianiem obowiązków publicznych. W dzisiejszym, szybko zmieniającym się świecie jest to odpowiedzialność za przyszłość.

Daleki jestem od zamazywania historycznych podziałów. Nie lekceważę pytań o przeszłość, także o mój udział w rządzie PRL w końcu lat osiemdziesiątych. Wielokrotnie dawałem tego dowody, wyjaśniając motywy działania mego pokolenia i środowiska, z którego się wywodzę. Przepraszałem też za błędy i niegodziwości minionej epoki. Nie jest ważne, czy ja powinienem to robić i czy wszystkie



krytyki przeszłości są po ludzku uczciwe. Otóż ja mam świadomość, że w polskiej, złożonej rzeczywistości pytania o przeszłość będą powracającymi pytaniami. Tak długo, jak żyć będą rodziny ofiar naszej trudnej historii.

Nie uciekam więc przed historią i swoją współodpowiedzialnością za jej kształt. Ale też stawiam pytania, co kto wniósł i dzisiaj wnosi do kształtu nowej, polskiej, demokratycznej rzeczywistości. Najbardziej negatywnym scenariuszem dla Polski byłoby bowiem utrwalenie takich historycznych podziałów, które mogłyby trwale – i destrukcyjnie – wpływać na kształt naszej przyszłości.

## Polityka to nie wszystko

Wobec tego jaka jest rola polityki i polityków w życiu społecznym? Otóż, po pierwsze, polityk winien pamiętać, że polityka nie jest wszystkim. Dążenie do absolutyzowania sporów, do ich wszechobecności w każdej publicznej debacie, w każdej dziedzinie życia, nie przybliży realizacji założonych przez polityka celów. Zakładam, że każdy posiadający poczucie odpowiedzialności polityk ma dobrą wolę realizacji pozytywnego programu, wykraczającego poza samą chęć zdobycia władzy. Postawa szukania zawsze i wszędzie antagonizmu oraz ideologizacji każdego sporu nie wiedzie wcale ani do profesjonalizacji świata polityki, ani do społecznej mobilizacji, ani wreszcie do precyzji widzenia i porządkowania zadań, których podjęcie jest obowiązkiem klasy politycznej. Nie przybliży nawet upragnionego momentu ostatecznego rozgromienia politycznego rywala. Kwestia „kto kogo”, w normalnym kraju i w normalnych czasach, ma naprawdę

znaczenie drugorzędne. Nie tylko w perspektywie historycznej. Również, jak sądzę, dla większości opinii publicznej, która oceniając polityków ma na względzie nie tylko odpowiedź na pytanie „kto?“, ale również „co?“, „jak?“, „w jakim celu?“

W Sejmie, w czasie słynnej czerwcowej nocy 1992 roku, odwoływany wówczas premier Jan Olszewski wołał dramatycznie: „Czyja jest Polska?“. Także później, w debacie przed referendum konstytucyjnym, w kampanii przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi i później, w dyskusji nad exposé rządu Jerzego Buzka, czy też w licznych debatach lustracyjnych i dekomunizacyjnych pojawia się, choć nie zawsze formułowane explicite, to samo pytanie: Czyja jest Polska, czyja być powinna?

Takie pytanie budzi mój zasadniczy sprzeciw. Odpowiadam na nie, że na pewno nie jest i nie może stać się własnością żadnego politycznego obozu. Co więcej, Polska nie jest własnością polityków. Wszyscy politycy razem wzięci nie mają do niej większego prawa niż inne grupy zawodowe. Decyzja wyborców, oddająca władzę przedstawicielom tego czy innego obozu politycznego, nie jest niczym więcej – powtórzę – jak wynajęciem grupy ludzi na określony czas, do wykonania określonej pracy. Żadne dawne zasługi, żaden wynik wyborczy nie dają prawa do uzurpowania sobie czegoś więcej.

Może to niedoskonała analogia, ale profesja polityka kojarzy mi się często z rzemiosłem. Jeśli rzemieślnik nie wykonuje swej pracy w sposób, jaki mnie satysfakcjonuje, szukam następnego fachowca. Spory wśród szewców o to, kto z nich ma większe moralne prawo naprawiać buty, słusznie przyjęlibyśmy wzruszeniem ramion. W tej sprawie najważniejsza jest opinia klientów. Podobnie z politykami

i wyborcami – to ci ostatni decydują o powodzeniu tych pierwszych.

Pytanie o moralne prawo do obecności w życiu publicznym partii kierujących się innymi niż moje wartościami, o ile mieszczą się one w ramach demokratycznego ładu konstytucyjnego, partii grupujących ludzi o biografiach innych niż moja i kwestionowanie ich prawa do wygrywania wyborów, w demokracji jest bez sensu. Co mianowicie miałyby być konsekwencją odmówienia tego prawa? Pozbawienie biernego prawa wyborczego? Latem 1996 roku na łamach „Gazety Wyborczej” zastanawiałem się, dlaczego część elit głównym przedmiotem swych analiz uczyniła kwestię eliminacji tak zwanych postkomunistów z polityki? Czy jest to na pewno wyraz wyższości programowej oraz umiłowania demokracji? Te pytania, jak sądzę, nie utraciły całkiem swej aktualności również w roku 2000.

W moim przekonaniu uznanie pluralizmu oznacza nieodwołalne pogodzenie się z faktem, że racje są podzielone, a biografie nie muszą być takie same. Zwróćmy uwagę na to, że jeśli politykę potraktujemy jako zadanie, a nie jako krucjatę, to okaże się, że różne punkty widzenia często uzupełniają się nawzajem, a nie wykluczają. Okaże się też, że wśród Polaków nie występuje zasadniczy podział opinii w najważniejszych kwestiach, które przesądzają o realizowaniu interesu narodowego: w kwestiach bezpieczeństwa państwa, jego demokratycznego i obywatelskiego charakteru, także w kwestiach rynkowego charakteru gospodarki oraz potrzeby solidarności i sprawiedliwości.

Dążenie do porozumiewania się i dialogu jest naturalną potrzebą społeczną. Zwykli ludzie nie otaczają się przecież zasiekami ze względu na swe życiorysy czy polityczne po-

głądy. Dlatego też uważam, że na pytanie „czyja jest Polska?” można odpowiedzieć tylko w jeden sposób: NASZA, WSPÓLNA.

W swej działalności publicznej zawsze starałem się odwoływać do wyzwań przyszłości, do konieczności zapewnienia rozwoju a zarazem do normalnych ludzkich potrzeb: stabilizacji, sprawiedliwości i bezpiecznego życia. Niejeden raz podkreślałem zasługi ludzi różnych orientacji dla zbudowania demokracji w Polsce, dla powodzenia reform gospodarczych, dla zapewnienia sukcesu naszym staraniom o wejście do NATO. Czyniłem to z najgłębszym przekonaniem, nawet jeśli byli wśród nich moi polityczni konkurenci i przeciwnicy.

Kiedy słyszę pogląd, że to moje postępowanie ma być wyrazem wyobcowania ze świata wartości i przejawem nijakości programowej, jestem zdumiony. Nie bójmy się cudzych zasług, szanujmy współpracę, dostrzegajmy to, co nas łączy. Wtedy my będziemy lepsi i Polska będzie lepsza. Jeśli krytykują tych, co przekreślają pracę i oczywisty dorobek pokolenia lat 50., to zarazem powinienem doceniać wkład ludzi o różnych orientacjach w stworzenie naszego wspólnego domu. Po 1945 roku Polski nie odbudowały przecież krasnoludki, ale ludzie różnych poglądów, wśród których zwolennicy tzw. „władzy ludowej” stanowili mniejszość. A zdarza się, że i niektórzy zawzięci obrońcy dorobku lat PRL o tym zapominają.

W tym miejscu wypada przywołać pojęcie „dobra wspólnego”, które mając swe źródło w nauce społecznej Kościoła, wzbogaciło wielu polskich polityków. Pamiętam z jakim zaskoczeniem, w 1997 roku, niektórzy obserwatorzy przyjęli moje nawiązanie do słów słynnej modlitwy – wezwania Papieża Jana Pawła II z jego pierwszej pielgrzymki do

Polski w roku 1979 o „zmianę oblicza ziemi, tej ziemi”. I nie chodziło tylko o to, że właśnie ja cytowałem te słowa. Chodziło także o to, że sens tego apelu sprowadzano często wyłącznie do wymiaru politycznego. A przecież zmiany „oblicza polskiej ziemi” objęły wiele aspektów. Ich konsekwencje – pluralizm poglądów w polityce, ale także w kulturze i obyczajowości, wolność wyboru polityka, na którego się głosuje, ale i prawo wyboru stylu życia – były trudne do akceptacji przez tych, którzy marzyli o nowej jedności moralno-politycznej. Nie wszystkie zmiany były oczekiwane, nie wszystkie zresztą były zmianami na lepsze. Najważniejsze było jednak to, że wszystkie złożyły się na tę jedną wielką Zmianę, która odmieniła całą Polskę.

I dlatego właśnie w czerwcu roku 1997, po referendum konstytucyjnym, kiedy tak często posługiwano się uproszczeniami i nieprawdą, kiedy przeciwnicy nowej ustawy zasadniczej kwestionowali czasem całą drogę transformacji przebytą przez Polskę, tak trudno było niektórym pogodzić się z pochwałą tej Zmiany.

Podobną konsternację wywołały również, jak pamiętam, moje słowa podziękowania dla wszystkich osób pracujących nad Konstytucją. Podziękowania złożone także przeciwnikom wersji ostatecznie przegłosowanej w Zgromadzeniu Narodowym. Pamiętam też zdziwione twarze, gdy na mityngu mieszkańców Warszawy zwołanym po szczycie NATO w Madrycie, gdzie zaproszono nas do Sojuszu, wyraziłem w lipcu 1997 roku w obecności prezydenta USA swój szacunek dla wszystkich polityków, wielu wymieniając z nazwiska, którzy zasłużyli się na naszej drodze do Paktu. I znów trudno mi zrozumieć tę konsternację i to zdziwienie. Jestem bowiem pewien, że na przykład Lech Wałęsa zgłaszając Kartę Praw i Wolności, czy też Jan Olszewski de-

klarując atlantyckie aspiracje Polski, kierowali się interesem państwowym, a nie kalkulacjami jedynie własnymi czy też własnego politycznego obozu i dziś, ze wszystkimi Polakami, mogą czerpać satysfakcję ze swojego wkładu do... No właśnie, tu najbardziej odpowiednie jest pojęcie „dobra wspólnego”.

## Misja polityka to nie kruczata

Niestety, „wojny na górze” lub, jak może trafniej określił kiedyś to zjawisko Gustaw Herling Grudziński, „psychologiczne wojny domowe” wciąż należą do repertuaru polskiej sceny politycznej. Dobrze znamy ten swoisty klimat i dramaturgię. Te wojny – nowy przejaw polskiego piekła – pojawiły się już w III Rzeczypospolitej. W ostatnich latach mieliśmy w Polsce kilkakrotnie do czynienia z takimi sytuacjami, kiedy politycy strzelali z armat największego kalibru, kiedy uderzano w największe dzwony, choć przecież wróg nie stał „ante portas”, nie była też zagrożona demokracja czy tożsamość narodowa.

Dlaczego krytykuję takie zachowania? Owe „kampanie wojenne”, jako metody politycznego działania, podkopują zaufanie do demokratycznych instytucji i mechanizmów życia publicznego. Osłabiają wiarę obywateli w efektywność demokracji jako systemu, który poprzez stałe uzewnętrznianie różnych systemów wartości i programów, także na drodze ich ostrego ścierania się, tworzy przestrzeń trudnego, ale jednak dialogu. W rezultacie to właśnie różnego rodzaju wojny tworzą wizerunek całej klasy politycznej, ze szkodą – w przekonaniu dużych grup obywateli – dla rozwiązywania rzeczywistych problemów społeczeństwa

i kraju. „Psychologiczne wojny domowe” wypierają z życia publicznego dialog, tak jak zły pieniądz wypiera z rynku dobry pieniądz.

Cieszyłbym się, gdyby różne warianty wojen politycznych przestały być szczególnym wyróżnikiem polskiej polityki. Nie namawiam do zamazywania różnic politycznych. Pluralizm jest przecież podstawą demokracji. Idzie o to, aby znaleźć – używając pojęć jednego z wybitnych polskich filozofów – równowagę pomiędzy kategoriami „irracjonalności” i „racjonalności” w polityce. Idzie również o to, aby w miejsce obrazu wroga, jaki tworzony jest na użytek tego rodzaju kampanii, pojawiał się obraz politycznego konkurenta, z którym spór dotyczyłby jakości programów poprawy Rzeczypospolitej i kwalifikacji ludzi mających te programy realizować.

U progu swej prezydentury apelowałem wobec Sejmu i Senatu: *Nie ulegajmy emocjom związanym z wyborami, z kampanią, z tym wszystkim co jest charakterystyczne dla podniesionej temperatury ostatnich miesięcy i tygodni. Nie pozwólmy, by gorycz i gniew odebrały nam zdolność myślenia o wyzwaniach przyszłości.* Niestety, podobny apel byłby na miejscu również podczas kolejnych wielkich kampanii politycznych. Niektórzy partyjni i związkowi liderzy zachowują się tak, jakby ciągle trwała wyprawa krzyżowa, a cel – wygnanie niewiernych, a więc myślących inaczej – był jeszcze przed nimi.

W tym zwłaszcza kontekście badania z 1999 roku, dotyczące społecznej oceny demokracji, muszą budzić niepokój. Zdaniem istotnej części społeczeństwa wciąż jesteśmy bliżej systemu niedemokratycznego (ok. 35% badanych) bądź co najwyżej w połowie drogi do demokracji (32%). W porównaniu z rokiem 1993 oceny zawansowania przemian politycznych w Polsce niewiele się zmieniły. Autorzy badań

interpretują to jako efekt pewnego zamętu pojęciowego objawiającego się m.in. w pojmowaniu – przez część społeczeństwa – demokracji jako systemu gwarantującego sprawiedliwość (czytaj równość) w sferze dochodów. Badacze podkreślają również, że stan ten wynika z rozbieżności między – przeniesioną z przeszłości – wyidealizowaną wizją demokracji a tym, co można obserwować w życiu publicznym na co dzień.

Pamiętajmy jednak: ta rezerwa dotyczy „realnej demokracji” w naszym kraju, a nie świata wartości i głębokiego poczucia demokratyzmu, tak charakterystycznego dla Polaków. Klasa polityczna musi sobie uświadomić, że wyrażone w tych badaniach niezadowolenie z działania mechanizmów naszej demokracji jest rodzajem swoistego wotum nieufności do świata polityki. Ma ono swoje źródło nie tylko w społecznych kosztach zmian ustrojowych i w sposobie wprowadzania reform w całej minionej dekadzie, niekiedy źle przygotowanych i nie zawsze kompetentnie realizowanych. Źródłem tego dość powszechnego poczucia braku postępów w rozwoju demokracji upatrywałbym też w bardzo dużym spadku zaufania do rządu, jaki nastąpił w 1999 roku. To również związane jest z negatywnymi ocenami jakości polskiego życia politycznego, jakości politycznych debat i stylu uprawiania polityki. Znaczący wpływ na ukształtowanie takiej opinii miała rządząca od jesieni 1997 do czerwca 2000 roku koalicja AWS–UW. Polityzacja, upartyjnienie oraz ideologizacja wszystkich niemal dziedzin życia publicznego i gospodarczego były jej głównym grzechem.

Błędy rządzących kosztują podwójnie. Najpierw to oni sami płacą ich cenę. Bywa, że jest to bardzo wysoka cena – cena utraty władzy. Po raz drugi płaci za błędy rządzących całe społeczeństwo.



## Politycy i biznesmeni

Tematem bulwersującym od lat opinię publiczną są związki polityki z biznesem. Mamy dziś w Polsce wiele różnych wzajemnie konkurujących organizacji przedsiębiorców. Zastanawiam się nad przyczynami tego zjawiska. Zdaje się, że twórcy niektórych organizacji biznesowych zbyt wiele nadziei łączą z politykami i partiami politycznymi. Dlatego konflikty ze sfery polityki przenoszone są do środowisk gospodarczych. Bywa też, że biznesmeni szukają wsparcia dla swych interesów nie w samorządzie gospodarczym, firmach konsultingowych czy w bankach, ale bezpośrednio u polityków, u ludzi władzy. Tego rodzaju powiązania wyraźnie poszerzają szarą strefę wiążącą biznes z polityką.

Nie jest to zresztą polska przypadłość. Dziś już możemy z wielką dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że takie patologiczne zjawiska istniały zawsze i wszędzie. Jesteśmy przecież ciągle pod wrażeniem kłopotów, jakie ma Helmut Kohl i cała niemiecka chadecja z „lewą” kasą CDU. Wielki, niemiecki kanclerz musiał czuć się postawiony ponad prawem, skoro zdecydował się na niedozwolone praktyki. Przemysłowcy musieli mieć spore korzyści z decyzji administracji państwowej, skoro szefowi partii rządzącej powierzali tak znaczne sumy pieniędzy.

Powstaje pytanie: czy Polska musi doświadczyć takich samych złych praktyk i skandali, jakie znamy z zagranicy? Czy związek polityki i biznesu nie stał się w Polsce zbyt ostentacyjny i szkodliwy dla gospodarki, społeczeństwa oraz dla samej polityki? Wystarczyłoby przecież, gdybym przypomniał prasowe skandale, które w ostatnich latach zatuszowano lub zignorowano. Żelatyna, handel długami spółek węglowych, zagadkowe prywatyzacje... Przykładów,

niestety, jest więcej. Obawiam się i to bardzo, że w związkach biznesu z polityką zbyt szybko dogoniliśmy, a nawet przegoniliśmy, o wiele wyżej rozwinięte kraje. Raporty Banku Światowego, opisujące wysoki poziom korupcji w Polsce, powinny być dla nas poważnym ostrzeżeniem.

Korupcji z pewnością sprzyja zbiurokratyzowanie państwa, mnożenie koncesji i wyjątków, jakie w majestacie prawa może zastosować urzędnik. Niepokojące są coraz częstsze opinie, że korupcja w Polsce objęła nie tylko życie polityczne, ale też wymiar sprawiedliwości i organy ścigania. Uważam jednak, że u źródła tej opinii nie leży (jeszcze?) powszechność zjawiska, ale brak dociekliwości i stanowczości w paru głośnych, przez co rzutuujących na opinię publiczną, sprawach. Korupcję można ograniczać drogą prawną, na przykład eliminując korupcjogenne przepisy, ale to nie wystarczy. Musimy wytworzyć atmosferę braku przyzwolenia dla takich zachowań.

Niestety, w ostatnim czasie nie obserwuję tu postępu. Mamy wiele przykładów wykorzystywania przez biznes politycznych koneksji i związków. Z drugiej strony istnieje przekonanie, że to wszystko to rzecz normalna, że właśnie w ten sposób tworzy się kasy partii politycznych, zakłada i finansuje stacje telewizyjne, że takie są zwykłe elementy gry. Głęboko wierzę, że polska opinia publiczna nie pochwala takich zachowań. Potrzebny jest przełom. Dlatego deklarowałem gotowość rozpatrzenia wniosku o darowanie kary pierwszej osobie ze środowisk biznesowych, która przyzna się do przestępstwa, korupcji, przez co przyczyni się do wykrycia nielegalnych związków świata polityki ze światem gospodarki.

Pamiętam jak kilka lat temu próbowano podnieść standardy polityczne, prowadząc akcję „czystych rąk”, uchwalając

ustawy antykorupcyjne, ograniczające możliwość czerpania przez polityków korzyści z życia gospodarczego. Czy było to skuteczne? Z pewnością te działania zmieniły plany życiowe kilku czy kilkunastu biznesmenów, którzy chcieli zostać posłami. Były w tych ustawach słuszne rozwiązania. Żałuję, że zmiana koalicji i rządu przerwała te wielkie porządki jakby w pół drogi.

Pora zastanowić się nad zmianą systemu finansowania partii politycznych. Nie mam gotowych rozwiązań. Jak sądzę sama dyskusja parlamentarna w tej sprawie nie wystarczy. Wypada ją pogłębić o szerokie konsultacje społeczne, o dyskusję w mediach, badania opinii publicznej. Chodzi przecież o to, jaka część naszych podatków miałaby być przekazywana – i w jaki sposób – na utrzymanie partii politycznych, kośćca demokracji. Zdaje się, że znaczące partie polityczne powinny mieć zagwarantowane publiczne środki finansowe po to, aby skutecznie działać i uniezależnić się od pieniędzy kierowanych przez biznes. Po co to robić? Po to, by uniezależnić politykę od zobowiązań wobec biznesu. Po to, by ograniczyć pole korupcji. Wreszcie po to, by patologie na styku biznesu z polityką nie stały się hamulcem wzrostu gospodarczego.

## Nie dopuśćmy do alienacji

„Psychologiczne wojny domowe” nie tylko niszczą dialog sił politycznych. Dialog ten nie jest bowiem celem samym w sobie. Jego brak zakłóca nie tylko funkcjonowanie instytucji demokratycznych. Utrudnia też rozwój społeczeństwa obywatelskiego. Podobny skutek ma również korupcja i jej tolerowanie. Fakt, że kolejne wybory parlamentarne,

referendum konstytucyjne czy wybory samorządowe nie potrafią zainteresować połowy społeczeństwa, jest niewątpliwie słabością polskiej demokracji. Wnioski z tego muszą wyciągnąć nie tylko politycy. Także ci wszyscy, którym na sercu leży budowanie społeczeństwa aktywnie współtworzącego instytucje demokratyczne. Myślę tu o radnych, przedstawicielach związków wyznaniowych, społecznikach, naukowcach i publicystach. Tworzenie instytucji oraz zwyczaju włączania obywateli do działalności publicznej jest bowiem rzeczywistą miarą rozwoju demokracji.

Upadek społecznego autorytetu polityki i polityków wynika też z upartyjnienia wielu sfer życia publicznego. Dotyczy to przede wszystkim doboru kadr w administracji publicznej, w samorządach, ale także w tej części gospodarki, która powiązana jest w ten czy inny sposób z władzą publiczną różnych szczebli. Umacnia się społeczne przekonanie, że część polskiej klasy politycznej i jej klientela jest przez to bezzasadnie uprzywilejowana. Duża część społeczeństwa pozostaje w przekonaniu, że w systemie politycznym nie ma dostatecznego, skutecznego mechanizmu eliminowania takich praktyk. Jeśli nałożyć na to społeczne przekonanie o rosnącej korupcji, o obdzielaniu partyjnych kolegów stanowiskami oraz o niskim profesjonalizmie części polityków, to taka opinia – według badań coraz bardziej ugruntowująca się w znaczących kręgach społeczeństwa – powinna skłonić ludzi zajmujących się polityką do głębokiej i szybkiej refleksji.

Chciałbym przy tym powiedzieć, że zjawisko wycofywania się części społeczeństwa z życia politycznego obserwowane jest także w starych, dojrzałych demokracjach. Dla nas jest to jednak szczególnie niebezpieczne. Ciągłe mamy bowiem wiele kwestii społecznych i gospodarczych, które trzeba

rozwiązać przy aktywnym uczestnictwie wyraźnej większości społeczeństwa. Narastanie niechęci znaczących grup społeczeństwa do udziału w życiu publicznym może w konsekwencji hamować nasz rozwój i osłabiać aspiracje, zwłaszcza młodego pokolenia.

Musimy mieć więc program tworzenia społeczeństwa obywatelskiego. To nie może być kolejna, okazjonalna kampania.

Niektórzy politycy proponują wprowadzenie w Polsce obowiązku uczestnictwa w wyborach. Takie regulacje przyjęto w niektórych krajach zachodnioeuropejskich. U podstaw tej propozycji znajduje się przekonanie, że pójście do urn wyborczych znaczącej grupy obywateli, nie uczestniczących dotychczas w wyborach, zwiększy „masę krytyczną” demokracji. Głosując, będą oni zmuszeni do poznania programów wyborczych partii politycznych, zaś te z kolei będą zmuszone do zwiększonego wysiłku, aby przekonać głosujących. Ta propozycja zawiera swoistego rodzaju program powszechnej edukacji demokratycznej, realizowany przy okazji kolejnych wyborów prezydenckich, parlamentarnych i samorządowych. Jestem przeciwny takiej inicjatywie, przynajmniej w perspektywie najbliższych 10–15 lat. Nie dlatego, że sama w sobie niesie przymus uczestnictwa. Uważam, że przyjęcie takiego administracyjnego rozwiązania byłoby dowodem bezradności polityków. Spróbujmy porwać za sobą zniechęconych, przekonać ich, że głosowanie nie jest pustym gestem, ale ma głęboki sens, że kartka wyborcza może wpłynąć na zmiany.

## Wzór, praktyka i obyczaj polityczny

Poza literą Konstytucji, w demokratycznym systemie, ważna jest również praktyka konstytucyjna i obyczaj towarzyszący współdziałaniu naczelnym organów państwa. Tego nie sposób zapisać w paragrafach, życie przynosi przecież niespodziewane i nietypowe sytuacje, które przychodzi nam rozwiązywać, mając Konstytucję niejako w tle.

W tym miejscu wypada odpowiedzieć na pytanie, jaką rolę w kształtowaniu wizerunku polskiej klasy politycznej i demokratycznego państwa prawnego odgrywa urząd głowy państwa, między innymi sposób realizacji programu wyborczego.

Urządowanie rozpocząłem pod koniec 1995 roku. Osia mojego programu wyborczego były dwa hasła: „Wyberzmy przyszłość” i „Wspólna Polska”. Potraktowałem je nie tylko jako przesłanie w kampanii wyborczej, ale także jako swoiste motto dla pracy w całej kadencji. Były one punktem odniesienia dla mojego programu działania, dla podejmowanych przeze mnie inicjatyw, wystąpień w kraju i za granicą, dla różnego typu decyzji. To odwołanie się do poczucia troski Polaków o zbiorową i indywidualną przyszłość było dla mnie przez cały czas pełnienia urzędu ważnym zobowiązaniem do działania ponad podziałami politycznymi, do działania warunkowanego przede wszystkim koniecznością sprostania nadchodzącym wyzwaniom nowego stulecia. Starłem się to zobowiązanie realizować z konsekwencją i na miarę swych sił.

Jeśli więc mówiłem przed wyborami, iż sprawą zasadniczą dla prezydenta Rzeczypospolitej w okresie od roku 1996 do 2000 jest umocnienie demokratycznego państwa prawnego i stworzenie dla tego państwa niezbędnych ram prawnych

i konstytucyjnych, to włączyłem się i w tworzenie Konstytucji, i w kampanię konstytucyjną.

Mówiłem też w 1995 roku o społeczeństwie obywatelskim i o konieczności tworzenia takich instytucji, które będą włączały obywateli do działalności publicznej, do działalności politycznej. W swoim programie podkreślałem wielokrotnie konieczność wprowadzenia województwa i powiatu samorządowego. Dlatego też, w 1998 roku, pomogłem rządowi przeprowadzić reformę administracyjną, współpracowałem z organizacjami pozarządowymi, wspierałem inicjatywy obywatelskie.

Niezwykle ważną sprawą, która była w centrum mojej uwagi zarówno w kampanii wyborczej przed pięcioma laty, jak i w toku kadencji, był wzrost gospodarczy. Jego utrzymywanie traktuję jako rzecz zasadniczą dla przyszłości Polski. Uważam bowiem konsekwentnie, że tylko stały i trwający przez wiele lat wzrost gospodarczy może być podstawą dla rozwiązywania licznych problemów społecznych, jakie ciągle jeszcze mamy. Ostatnie lata, zwłaszcza lata 1995–1997 były nienajgorsze pod tym względem. Jestem przekonany, że stać Polskę na to, aby wzrost gospodarczy kontynuować. Zawsze byłem i jestem otwarty na wszystkie propozycje, które umacniały wzrost gospodarczy w Polsce, które zmieniały strukturę gospodarki na bardziej efektywną. Byłem i jestem otwarty na propozycje, które zwiększały konkurencyjność polskiej gospodarki, które pomogą w rozwiązaniu problemów społecznych, pomogą zmniejszyć lukę cywilizacyjną między krajami najwyższej rozwiniętymi a Polską – niezależnie od tego, kto je zgłaszał.

Rzeczą zasadniczą – o tym w swoim programie wyborczym również mówiłem, a w czasie kadencji pod tym kątem

oceniałem propozycje rządowe – są koszty reform i takie ich rozkładanie, aby żadna z grup społecznych nie mogła mieć poczucia pozbawienia szans czy upośledzenia. W sytuacjach rzeczywiście poważnych – jeśli trzeba było o tym przypomnieć rządowi i parlamentarnej większości – stosowałem przysługujące mi prawo sprzeciwu lub zaskarżenia ustaw do Trybunału Konstytucyjnego.

Wielkim sukcesem zakończyły się wieloletnie dążenia Polaków do zapewnienia bezpieczeństwa Polsce poprzez wejście do NATO. Jestem szczęśliwy, że mogłem być prezydentem Rzeczypospolitej w czasie, gdy te marzenia się ziszczyły i że mogłem do ich spełnienia również dołożyć swą cegiełkę.

Opowiadałem się zdecydowanie za polską integracją z Unią Europejską. Odbyłem chyba wręcz setki spotkań i rozmów na ten temat w kraju i za granicą. Wydaje mi się, dzięki wspólnym wysiłkom różnych ludzi, że ostatnie lata przyniosły postęp na tej drodze, jakkolwiek najważniejsze jeszcze przed nami. Odczuwam również osobistą satysfakcję z własnego wkładu do tego postępu.

Mówiłem także w swoim programie wyborczym o konieczności rozwoju współpracy regionalnej w Europie Środkowo-Wschodniej i cieszę się, że po niemal pięciu latach swojej działalności mogę powiedzieć, iż ta współpraca rozwija się, że jest coraz bogatsza w różnego rodzaju formy. Nie są to bowiem tylko kontakty na najwyższych szczeblach politycznych, ale również włączają do współdziałania organizacje społeczne.

Nowe rozwiązania konstytucyjne poddane zostały szczególnej próbie praktycznej weryfikacji po wyborach parlamentarnych w 1997 roku. Po wyborach, wygranych przez koalicję AWS-UW, rozpoczął się okres kohabitacji, czyli



współdziałania prezydenta i koalicji rządowej wywodzących się z różnych środowisk politycznych.

Demokracja przewiduje takie sytuacje, że prezydent może dysponować innym zapleczem politycznym, a rząd innym. Konstytucja i obyczaj polityczny zakładają, że niezależnie od tego trwa normalna współpraca, bo zarówno rząd jak i prezydent potrafią oddzielić to co jest państwowe i dotyczy spraw zasadniczych, od tego co jest polityczne i partyjne, choć nie zawsze jest to łatwe. Ta nowa sytuacja wywołała pytanie nie tylko o granice odrębnej odpowiedzialności konstytucyjnych organów władzy wykonawczej, ale też ich odpowiedzialności za sposób współdziałania bądź brak współpracy.

Ja taką gotowość współpracy zawsze deklarowałem. Uważam, że znaleźliśmy się w szczególnym momencie historii, kiedy przed Polską otwierają się wielkie szanse i nie ma żadnych powodów, żeby tracić niepotrzebnie czas na spory kompetencyjno-prestiżowe, na spory, które będą zajmować pierwsze strony gazet, a które niczego dobrego nie przyniosą. Stąd się brały moje propozycje, aby spotkania prezydenta i premiera miały charakter regularny i aby przedstawiciel prezydenta mógł być obecny na spotkaniach rządu.

Od pierwszych dni istnienia koalicji AWS-UW opowiedziałem się za tworzeniem – przy poszanowaniu i respektowaniu odrębności – płaszczyzn racjonalnego, mądrego współdziałania. Taka jest powinność Prezydenta RP wobec państwa i jego obywateli. Byłoby fatalnie – mówiłem wówczas publicznie – gdyby rząd deklarował, iż jest wyłącznie rządem wyborców Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności. Rzecz jasna rząd realizuje swoją wizję polityczną i ma prawo do własnej interpretacji najważniejszych interesów

narodowych. Podobnie z prezydentem. Także i ten urząd nie może być sprawowany w interesie lewicy czy prawicy.

Prezydent ma realizować politykę i działać w imieniu wszystkich Polaków, także tych, którzy na niego nie głosowali, i tych, którzy go nie lubią. Współdziałanie na płaszczyźnie państwowej to jest troska o wspólny dom, w którym są wyborcy wszystkich partii, a także ludzie nie interesujący się polityką. Pogląd o koniecznej współpracy głównych uczestników władzy nie powinien więc budzić wątpliwości. To nie jest kwestia dobrej woli, ale – nie boję się tego mocnego słowa – to obowiązek. Różne badania opinii publicznej pokazują jednoznacznie, że Polacy od prezydenta i rządu oczekują współpracy. Jest to obowiązek często trudny, wymagający umiejętności pokonywania różnic zdań, ale dla tych, którzy z demokratycznego mandatu pełnią najwyższe funkcje państwowe, jest to bezdyskusyjny obowiązek.

Poszukiwanie porozumienia na drodze trudnego czasami dialogu, w sprawach najistotniejszych dla bytu państwa i obywateli, łagodzi naturalne przeciwieństwa, realnie istniejące w społeczeństwie, różnice poglądów i podziały. Ta idea i zarazem sposób działania są mi szczególnie bliskie.

W dniu prezydenckiej inauguracji przyjąłem, że jedną z ważnych zasad mojego postępowania będzie dbałość o równowagę i równość. Rozumiem to wyzwanie jako działanie ponad politycznymi podziałami, stanie na straży konstytucyjnego ładu, ale również tworzenie klimatu współdziałania głównych uczestników władzy w interesie wspólnym: państwa i obywateli. Nie szczędzono mi krytyki za tę postawę. Z jednej strony słyszałem głosy, chociażby w czasie wprowadzania przez rząd reform, że sprzyjam rządzącej koalicji, że podpisuję zbyt wiele ustaw inicjowanych przez

ząd. Z drugiej strony, kiedy zdecydowałem się złożyć weto do jednej z podatkowych ustaw, zarzucano mi, że trzymam stronę opozycji.

W moim przekonaniu do wypełnienia misji prezydenta nie wystarczy tylko skrupulatne wykonywanie konstytucyjnych prerogatyw. Jeśli prezydent, w polskim systemie ustrojowym, chce odgrywać rolę arbitra, powinien zabiegać o polityczne przywództwo w kraju. Nie oznacza to, że prezydent może być sędzią we wszystkich sporach między koalicją rządzącą a opozycją. Swoje przywództwo prezydent musi rozumieć inaczej niż przywództwo rządu czy rywalizację o władzę polityczną między stronnictwami. Przywództwo polityczne prezydenta nie jest też walką o kompetencje i uprawnienia. To jest przede wszystkim zabieganie o społeczne poparcie dla głoszonych priorytetów i sposobu osiągnięcia narodowych celów, uzyskanie akceptacji społecznej dla stylu działania prezydenta.

Zdecydowana większość społeczeństwa rozumie tę szczególną pozycję prezydenta. Myślę, że moja koncepcja pracy na prezydenckim urzędzie nie różni się ze społecznymi oczekiwaniami. Mam nadzieję, że właśnie w ostatnich latach umocniło się przekonanie, że prezydent właśnie w ten sposób powinien wypełniać swój urząd.

Mam więc, jak sądzę, niemało powodów do satysfakcji. Odczuwam również wyrzuty sumienia, bo są sprawy, których nie udało się popchnąć do przodu. Największe, bo zbyt wielu ludzi cierpi w Polsce biedę, zbyt wielu młodych nie ma możliwości nauki i rozwoju, zbyt wielu mieszkańców wsi i małych miasteczek pozbawionych jest nawet nadziei. Chciałbym wierzyć, że te wyrzuty sumienia dzielą ze mną wszyscy rządzący i wszyscy, którzy mieli wpływ na władzę.

## Znajmy miarę w sporach

Niejeden raz spotykaliśmy się w ostatnim dziesięcioleciu z sytuacją, kiedy rząd traktował opozycję jako nie istniejącego uczestnika procesu decyzyjnego. Niemal równie częstym błędem opozycji bywała totalna krytyka programu i działalności rządu. Rzecz jednak nie w tym, aby kolejne ekipy u władzy i w opozycji w nieskończoność wytykały sobie błędy. Nie na tym polega polityka. Z działań polityków ludzie, obywatele, muszą mieć pożytek. W sprawach zasadniczych potrzebny jest dialog. Dzięki niemu buduje się też tożsamość ugrupowań działających na polskiej scenie politycznej. Brak dialogu, język politycznej agresji, a w skrajnych przypadkach „polityczny apartheid”, niosą ryzyko przełamania Polski na pół. Wtedy wrócimy do Polski podzielonej – na „naszą” i „onych”. To wielkie zagrożenie dla demokracji i przyszłości Polski. Nie chcę być posądzony o sarkazm, ale byłby to dowód braku wyobraźni – podcinanie gałęzi, na której siedzi cała nasza klasa polityczna.

Kiedy byłem dziennikarzem i kierowałem zespołami redakcyjnymi tygodnika studenckiego „itd”, a potem „Sztandaru Młodych”, sprzeciwiałem się stosowaniu języka agresji. Uważałem bowiem, że zadaniem mediów jest także podnoszenie kultury politycznej ich odbiorców, przyzwyczajanie ludzi do siły argumentów a nie do mocnych słów czy zarzutów. Prowadząc negocjacje „okrągłego stołu”, miałem wystarczająco dowodów na to, że język świadczy o polityku, o jego nastawieniu do partnera, język odsłania też rzeczywiste intencje negocjatora. Po doświadczeniu 1989 roku, po lekcjach demokracji Polacy chyba już wiedzą, że agresywny język utrudnia współpracę. Niestety, część polityków nie potrafi pohamować swych emocji i celuje

w mocnych wypowiedziach, w których w roli czarnego charakteru ustawiony jest zawsze polityczny adwersarz. Chcę jednak wyraźnie powiedzieć: politycy posługujący się językiem agresji i nienawiści sami skazują się na marginalizację. Wystarczy popatrzeć na sondaże popularności – skrajność i chamstwo znajdują miejsce w ogniu.

W sprawach zasadniczych dla Polski potrafimy osiągać porozumienie. Pokazaliśmy to chociażby w sprawach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa naszego kraju, w dążeniu do NATO, w negocjacjach z Unią Europejską. Jesteśmy w szczególnym momencie, kiedy przed Polską otworzyły się wielkie szanse. I dlatego z uporem powtarzam – znajmy miarę w swych sporach, nie traćmy czasu na kłótnie. Dyskutujmy, poznawajmy swoje racje i argumenty, zbliżajmy swoje pozycje.

Nie idzie przy tym wyłącznie o to, aby zademonstrować światu dobry obraz Polski i Polaków. Ważniejsze jest to, że nasza zdolność do wspólnego wysiłku jest warunkiem koniecznym w urzędowaniu Polski. Współdziałanie głównych uczestników władzy i – szerzej – dialog społeczny nie są celami samymi w sobie. Mają służyć narodowi i zapewnić osiągnięcie celów, jakie przed sobą stawiamy. Tak też rozumiem swoją rolę w tym procesie, jako jeden z jego uczestników.

Profesor Maria Szyszkowska w *Spotkaniach w salonie* napisała: *Narody i jednostki historia ocenia stosownie do dzieł, które po nich pozostały.*

Powtórzę więc pytanie: cóż jest fascynującego w polityce? To, że ona również należy do przestrzeni ludzkiej kultury. Tak więc historia oceni polityków stosownie do dzieł, jakie po nich zostaną. I wyłącznie w taki sposób.

# Konstytucja a nowoczesne państwo i prawo

W gorącym okresie poprzedzającym referendum konstytucyjne w 1997 roku profesor Wiktor Osiatyński napisał skierowaną przede wszystkim do ludzi młodych książkę pt. *Twoja Konstytucja*. Rzecz w sposób przystępny przybliżyła szerokiej publiczności sens, znaczenie i działanie ustawy zasadniczej w demokratycznym państwie prawnym. Dwie myśli zawarte w tej publikacji zwróciły moją uwagę, bo – jak sądzę – dotyczą sedna problematyki związanej ze sposobem odbioru konstytucji w społeczeństwie.

Osiatyński pisze, iż *w odróżnieniu od dawnych nowożytnych konstytucje zazwyczaj nie spoglądają wstecz, lecz wybiegają w przyszłość*. Autor ocenia, że tak właśnie stało się w Polsce, że taki właśnie charakter ma polska ustawa zasadnicza uchwalona 2 kwietnia 1997 roku.

I druga myśl z tekstu profesora Osiatyńskiego, której nie sposób odmówić racji. Otóż, uważa on, że dzięki tej konstytucji *...będziemy mogli zmniejszyć wagę przypisywaną od stuleci do nieco nam już cięższej kultury bezkompromisowości, rygoryzmu i potępień, a zwiększyć rolę odległej od naszych doświadczeń kultury prawnej – kultury*

*kompromisów i poszukiwania rozwiązań, współdziałania i tolerowania innych, nawet jeśli nie wierzą w to samo co my, kultury reguł, które pozwalają ludziom współżyć ze sobą, a nie tylko pryncypiów, które ludzi dzielią.*

Zgadzam się z tymi opiniami. Jak sądzę, taka właśnie była główna intencja wszystkich, którzy nad kształtem konstytucji pracowali.

Przy okazji trwających niemal osiem lat prac nad ustawą zasadniczą III Rzeczypospolitej niejedną raz mieliśmy okazję do zastanowienia się nad dziedzictwem myśli konstytucyjnej Polaków. W ostatnich dwóch stuleciach mieliśmy sześć konstytucji, chociaż tylko trzy z nich były wyrazem woli suwerennego przedstawicielstwa narodowego.

Często wracaliśmy zwłaszcza do roli, jaką w ukształtowaniu nowoczesnego narodu odegrała Konstytucja 3 maja. Ten nasz „historyzm” budzi czasem zdumienie u zagranicznych obserwatorów. Doceniają oni fakt, że dzięki zgodzie elit uchwalono w 1791 roku Ustawę Rządową, która pozostaje chlubą polskiej historii, że jej twórcy w dramatycznej sytuacji podjęli próbę naprawy ustroju, a przede wszystkim ratowania zagrożonej niepodległości, ale – mówią – było to ponad dwieście lat temu!

Ja jednak broniłbym w tym wypadku tego poczucia więzi z trzeciomajową tradycją. Była ona swoistym testamentem politycznym, który przez dziesiątki lat przypominał Polakom o wartościach najwyższych – o niezawisłości narodowej oraz o dobrze zorganizowanym, sprawnym państwie. Nie chodzi jednak tylko o to. Jest w tej sprawie także pewien aspekt psychologiczny. Gdy czyta się w preambule Konstytucji 3 maja słowa o potrzebie wykorzystania „chwili, która nas samą sobie wróciła”, trudno oprzeć się przeko-

naniu, że te dwa minione stulecia ciągle patrzą na nas, i że trzeba uczynić wszystko, aby tym razem nie była to jedynie chwila.

## W oczekiwaniu na prawo praw

Konstytucja otworzyła Polakom drogę do nowoczesnego państwa. Mówiąc obrazowo, określiła zasady technologii jego budowania, umożliwiła, ubezpieczyła i przyspieszyła dalsze reformy. Aby ją napisać i uchwalić, potrzeba było lat wytrwałej pracy nad formułą politycznej i światopoglądowej zgody, szanującej różnicowanie naszego społeczeństwa. Tworzenie ustawy zasadniczej wymagało wiedzy, odwagi i wyobraźni. Sądzę, że wszyscy, którzy uczestniczyli w przygotowaniu jej tekstu, podpisaliby się pod tym.

Nasza droga do nowej konstytucji była zaskakująco wyboista. Po „okrągłym stole” wzięliśmy nadzieje z jej szybkim uchwaleniem. Powszechnie oczekiwano, że będzie ona fundamentem przekształceń i stanie się punktem zwrotnym w polskiej historii. Najpierw, w grudniu 1989 roku, dokonano gruntownej zmiany ustawy zasadniczej odziedziczonej po czasach PRL.

Prowadzone w tamtych latach badania opinii publicznej wskazywały, że uchwalenie konstytucji miało być symbolem – przekroczeniem Rubikonu na drodze do dojrzałego demokratycznego państwa. Oczekiwano od niej niemało. Z jednej strony miała być definitywnym zerwaniem z przeszłością, z drugiej – zapowiedzią generalnej modernizacji. Miała też ostatecznie przesądzić, że istotą państwa będą rządy prawa i demokracja. Polacy chcieli takiej konstytucji,



która umożliwi im wpływ na decyzje publiczne nie tylko za pośrednictwem wyborów. Domagali się wyznaczenia czytelnych granic władzy, głównie w formie praw i wolności obywatelskich oraz środków ochrony tych praw. Potrzebowali instrumentu prawnego, aby zapewnić im poczucie podmiotowości. Swoje oczekiwania wobec konstytucji, coraz bardziej zróżnicowane, przedstawiały też krystalizujące się w latach 1990–1991 partie polityczne.

Nadanie tym oczekiwaniom formy przepisów konstytucyjnych wymagało ewolucji poglądów na państwo i prawo zarówno wśród elit politycznych, jak i w szerokich kręgach społecznych. Wymagało to czasu i wysiłku. Swobodne poruszanie się w kategoriach nowoczesnego konstytucjonalizmu okazało się skomplikowane. I dla elit, i dla obywateli. Ambicje potykały się o zróżnicowanie poglądów, o styl myślenia oparty na resentymentach.

Trzeba zarazem pamiętać, że w ówczesnym życiu parlamentarnym dominowały zachowania doraźne. Świadomość potrzeby dalekosiężnych wizji dojrzewiała, ale dość powoli. Żywiołowość wydarzeń pierwszych lat po przełomie politycznym utrudniała nam wszystkim widzenie spraw państwa w ujęciu perspektywicznym i systemowym. Już jednak w maju 1991 roku wspólna sesja obu izb parlamentu uświadomiła klasie politycznej, że sprawy idą jak po grudzie. Brakowało stabilnych punktów odniesienia, nie było też azymutu, ułatwiającego orientację w niejednorodnej przestrzeni zagadnień ustrojowych.

Wraz z przeciąganiem się prac na dalsze lata społeczne zainteresowanie problematyką konstytucyjną osłabło. Były takie chwile, kiedy wydawało się, że nie będzie można ruszyć z miejsca. Jednakże w ogniu polemik, sporów i swarów – a nade wszystko żmudnego poszukiwania porozumie-

nia – rozdziły się koncepcje, projekty i pomysły rozstrzygnięcia podstawowych zagadnień.

Trwało to dość długo. Zakończyło się sukcesem dopiero wiosną 1997 roku. Dlatego kiedy 2 kwietnia 1997 roku, po ośmiu latach od rozpoczęcia polskiej transformacji, udało się uchwalić Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, tak ważne stało się, aby również referendum konstytucyjne wypadło pomyślnie. Było bowiem pewne, że w przypadku jej odrzucenia, następnej konstytucji nie będzie przez wiele lat. Polsce groziło prowizorium konstytucyjne ze wszystkimi następstwami tego faktu.

Miałem tego świadomość, wysyłając wtedy do wszystkich rodzin polskich tekst ustawy zasadniczej. Fakt, że każda polska rodzina otrzymała konstytucję był bez precedensu. Poprzedziłem ją listem rekomendującym. Argumentowałem, że podobnie jak nie ma doskonałych ludzi, tak nie ma doskonałych praw – intencje prawodawców weryfikuje życie i jego zmieniające się warunki. Napisałem: *Jestem przekonany, że normy konstytucyjne sprostają wymaganiom polskiej rzeczywistości, tym dzisiejszym i tym przyszłym, które dopiero przed nami (...) razem tworzymy państwo silne i bezpieczne, zdolne do zaspokojenia potrzeb wszystkich Polaków, z którego dumne będą obecne i przyszłe pokolenia.* W liście wyraziłem też życzenie, aby nowa konstytucja stała się spoiwem łączącym nas wszystkich w trosce o dobro Rzeczypospolitej.

Nie pomyliłem się. Dzisiaj nasza ustawa zasadnicza pomyślnie zdaje egzamin. Jesteśmy w drodze – polska demokracja dojrzeje. Nie wszystko przebiega zgodnie z oczekiwaniami, ale zbieramy pierwsze plony. Konstytucja stabilizuje procedury demokratyczne, inspiruje przemiany ustawodawstwa, umacnia zasadę podziału i równowagi władz.

Krystalizują się kompetencje i styl pracy organów państwowych. Coraz wyraźniej nabiera życia idea samorządności, nie bez trudności wyłania się z niej zarys społeczeństwa obywatelskiego.

Być może niektórzy będą mi zarzucać przesadny optymizm, ja jednak wierzę, że będzie to jedna z bardziej stabilnych konstytucji w dziejach Rzeczypospolitej. Jestem przeciwnikiem zmian w konstytucji w ciągu najbliższego czasu. Musi minąć co najmniej kilka lat, by można było w sposób odpowiedzialny powiedzieć, co jest w niej dobre, a co złe. Jeśli rozpoczęlibyśmy zmiany w konstytucji, nawet uzasadnione, to bardzo szybko sprowadzilibyśmy ją znowu do prawa prowizorycznego. Ze wszystkimi konsekwencjami dla społecznych odczuć, związanych ze stabilnością porządku konstytucyjnego.

## Konstytucja mądrego porozumienia i kompromisu

Pierwsza próba sformułowania nowej konstytucji w okresie sejmu „kontraktowego” zakończyła się porażką z powodu braku demokratycznej legitymizacji ówczesnego parlamentu. O niepowodzeniu drugiej próby w kadencji 1991–1993 zdecydowało rozdrobnienie polityczne. Czasami mam jednak wrażenie, że mój poprzednik nie zrobił wtedy wszystkiego, co możliwe, żeby przyspieszyć proces konstytucyjny.

Jesienią 1992 roku, uchwalona została Mała Konstytucja. Jej głównym celem było stworzenie w nowych warunkach polityczno-ustrojowych sprawnego mechanizmu rządzenia. Chodziło o uwzględnienie ukształtowanego w procesie

transformacji systemu podstawowych zasad ustroju politycznego: zasady demokratycznego państwa prawnego, suwerenności narodu, pluralizmu politycznego.

Mała Konstytucja była aktem niepełnym. Zawierała rozwiązania tymczasowe, które – miały obowiązywać do czasu uchwalenia nowej konstytucji. Charakteryzowały ją nadmiernie ogólne przepisy, a także zauważalne „gołym okiem” wady systemowe. Dlatego nie potrafiła zapobiegać konfliktom politycznym, jakie rodziły się w relacjach między parlamentem, prezydentem i rządem. Nie można jej jednak obarczać wyłączną winą za te perturbacje. Wynikały one przede wszystkim z silnego spolaryzowania sceny politycznej, niedostatków tradycji i obyczajów parlamentarnych, braku utrwalonych w praktyce ustrojowej niepisanych reguł gry i kultury politycznej.

Ale porażki nie były daremne. Umożliwiły zdobycie doświadczeń, dawały orientację, jak nie powielać starych błędów. Trzecia próba okazała się udana. Bezspornie na ostateczny kształt projektu konstytucyjnego, przygotowanego wiosną 1997 roku, złożyła się wiedza zdobywana przez jego twórców od pierwszych prac, jeszcze w latach 1989–1991.

Jeśli ktoś zadałby sobie trud porównania treści obecnie obowiązującej konstytucji ze zgłaszanymi propozycjami, łatwo dostrzeże, że jej przepisy nie wywodzą się z jakiegoś jednego dominującego projektu. Sporo wywodzi się z projektu Unii Demokratycznej, z Karty Praw i Wolności zgłoszonej przez prezydenta Lecha Wałęsę, dużo z projektu komisji konstytucyjnej sejmu „kontraktowego”, przejętych w znacznym stopniu przez projekt PSL/UP, a mniej więcej po równo z projektów senatu pierwszej kadencji i SLD. Jest też zauważalny, i to wcale niemały, wpływ projektu

„Solidarności”, tzw. obywatelskiego, z 1994 roku. Proces, który doprowadził do uchwalenia konstytucji, opierał się na założeniu osiągnięcia możliwie jak najszerszej koalicji popierającej ją. I dlatego dzisiaj żadna z sił politycznych nie może głosić, iż ustawa zasadnicza wyraża wyłącznie jej wizję ustrojową państwa. Nie może też mówić, że konstytucja jest zasadniczo sprzeczna z jej systemem wartości.

Głównym czynnikiem powodzenia procedury konstytucyjnej był negocjacyjny sposób dochodzenia do rozstrzygnięć. Konstytucja opiera się na stopniowo wypracowywanych kompromisach w podstawowych sprawach. Oprócz polityków i najwybitniejszych polskich prawników konstytucjonalistów znaczący wpływ na przebieg dyskusji i ustaleń mieli przedstawiciele różnych wyznań, środowisk zawodowych, społecznych i związkowych, publicyści.

Spektakularnym przykładem osiągniętego porozumienia jest wstęp do ustawy zasadniczej. Godzi on polską tradycję narodową z wyzwaniem współczesności. Znalazły się w nim wartości i ideały bliskie całemu narodowi. Jest w nim odwołanie się do Boga pojmowanego jako źródło istoty człowieczeństwa. Są też respektowane poglądy ludzi, którzy nie wierzą w Boga. Jest także odwołanie do tysiącletniej tradycji naszego narodu i państwowości polskiej. W preambule znajduje się pamięć o gorzkich doświadczeniach z czasów, kiedy podstawowe wolności i prawa były łamane.

Nie przeceniam znaczenia tej preambuły. Ale nie mam też wątpliwości, że każdy Polak znajdzie w niej to co najlepsze, co niezbędne dla wspólnego, odrodzonego pojęcia obywatelskości, co określa naszą wrażliwość wobec Ojczyzny. Jestem przekonany, że sposób ujęcia tych kwestii w preambule, co zawdzięczamy przede wszystkim Tadeuszowi Mazowieckiemu, dobrze oddaje różnicowanie a zarazem jedność Pola-

ków, służy tolerancji i szacunkowi, jaki powinniśmy sobie wzajemnie okazywać.

Konstytucja oparta jest na wizji państwa dialogu społecznego i na zasadzie pomocniczości państwa. Najkrócej rzecz ujmując, chodzi o to, aby tam, gdzie obywatele sami potrafią się zorganizować, ingerencja państwa nie była potrzebna

W sprawie podziału władzy zrezygnowano z dążenia do czystego modelu prezydenckiego lub parlamentarnego, ulepsząc rozwiązanie osiągnięte podczas prac nad Małą Konstytucją. Konstytucja znacznie zwiększyła władzę Rady Ministrów, a zwłaszcza premiera. Usunięta została możliwość odwołania rządu przez sejm bez jednoczesnego powołania nowego premiera. Zdecydowanie zmniejszone zostało pole potencjalnych konfliktów między sejmem, prezydentem i premierem.

Nowa ustawa zasadnicza stworzyła zrównoważony system relacji między organami państwa. Nikt – ani prezydent, ani rząd, ani parlament – nie stoi ponad konstytucją. Prezydent czuwa nad przestrzeganiem konstytucji, parlament tworzy prawo, zaś Trybunał Konstytucyjny orzeka o jego zgodności z konstytucją. Nie ma tu ani dominacji, ani wyłączości. W szeroko dyskutowanej kwestii praw socjalnych udało się znaleźć porozumienie między oczekiwaniami opiekuńczej roli państwa a rzeczywistymi możliwościami ekonomicznymi. Również w zakresie stosunków między Kościołem i państwem udało się opracować formułę satysfakcjonującą obie strony.

Poza dyskusją jest to, że w pluralistycznym społeczeństwie zawsze będą istnieć realne różnice i podziały. Uchwalenie konstytucji było dowodem, że umieliśmy spotkać się pośrodku drogi. Potwierdza to moje przekonanie, że kierując się dobrą wolą i poczuciem obowiązku wobec Ojczyzny,

zawsze można osiągnąć sukces. Mówiłem o tym wielokrotnie. Powtórzę również w tym miejscu, że w tej sprawie nie było wygranych i przegranych. Polska klasa polityczna wykazała się poczuciem odpowiedzialności i rozważą. Społeczeństwo, akceptując konstytucję, zaaprobowало jej rozwiązania, uznając, że przyniosą korzystne następstwa.

Sukces końcowy był możliwy, gdyż w czasie sporów konstytucyjnych w zwolenniku innych poglądów potrafiliśmy dostrzec partnera i umieliśmy przedłożyć interesy obywatelskie i dobro państwa ponad racje partykularne. 2 kwietnia 1997 roku mówiłem do posłów i senatorów... *ten kompromis to dowód siły a nie słabości. Ten kompromis to przejaw mądrości a nie lęku.* Myślę, że upływ czasu w pełni potwierdził tę opinię.

Dzisiaj bardzo wiele osób ma prawo do zasłużonej satysfakcji w związku z tym, że konstytucja spełnia pokładane w niej nadzieje, że jest ich konstytucją. Nie warto licytować się, kto wniósł do niej więcej. Na sesji Zgromadzenia Narodowego powiedziałem, że historia oceni nas wszystkich jako całe pokolenie, które potrafiło wznieść się ponad podziały i dało Polsce konstytucję wolnej, demokratycznej, zmierzającej w kierunku nowoczesności Rzeczypospolitej.

Trzeba jednak podkreślić zarazem, że z upływem czasu lepiej widać całą demagogię i niesprawiedliwość zarzutów przeciwko konstytucji zgłaszanych przed referendum konstytucyjnym. Konstytucja nie zaprzeczyła narodowej tradycji i tożsamości Polski i Polaków, nie zagroziła suwerenności narodowej, nie zakłóciła realizacji misji Kościoła katolickiego, ani nie podważyła praw naturalnych. Nawet najzgorzalsi krytycy zapomnieli już o większości swych zarzutów, ale niestety nie odwołali ich.

## Konstytucja dla społeczeństwa obywatelskiego

Przez ponad trzy i pół roku zajmowałem się bardzo intensywnie przygotowaniem i dyskutowaniem tekstu ustawy zasadniczej. Najpierw jako przewodniczący Komisji Konstytucyjnej. Później jako prezydent. Proszę się więc nie dziwić, że nadal te kwestie bardzo mnie angażują.

W znaczeniu prawnym wszystkie przepisy konstytucji są równie ważne. Wszystkie mają moc powszechnie obowiązującą. Jednakowo wiążą obywateli i władze publiczne. Jednak z punktu widzenia tworzonoego przez nią modelu niektóre kwestie mają ciężar gatunkowy wyższy niż inne, nadają charakter konstytucji i określają system prawny, w którym żyjemy.

Kwestią podstawową jest zasada suwerenności ludu. Jest ona sednem demokracji. Najpełniej wyraża ją reguła równego udziału w życiu publicznym. Formami jej realizacji są prawo wyborcze, referendum oraz obywatelska inicjatywa ustawodawcza. Równość wobec prawa znajduje wyraz w jednakowym traktowaniu wszystkich przez władze publiczne i przez prawo. Rozwinięcie tej zasady stanowi zakaz wszelkiej dyskryminacji.

W kręgu wyzwań, które konstytucja postawiła przed nami, znajduje się dążenie do zapewnienia społeczeństwu podmiotowości. Konstytucja stara się chronić je przed nadmierną ingerencją państwa, jednocześnie chce pomóc odbudowywać więzi społeczne.

Należę do tych, którzy przywiązują wielką wagę do rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Widzę w nim jedno ze skutecznych narzędzi budowania demokracji. Sądzę, że idea społeczeństwa obywatelskiego ciągle zachowuje swą atrakcyjność. Zwróćmy jednak uwagę, jak na naszych



oczach zmieniła ona swój charakter. Przed rokiem 1989 idea ta podważała fundamenty dawnego systemu. Społeczeństwo obywatelskie było projekcją w przyszłość wizji opartej w zasadniczym stopniu na jedności emocji. Dzisiaj opiera się na długiej i wytrwałej pracy nad tworzeniem własnych instytucji, nad zaangażowaniem jak najszerszej rzeszy ludzi w życie publiczne. Głównym problemem jest teraz edukacja polityczna w duchu poszanowania prawa, pobudzanie aktywności obywateli, budowanie demokratycznych mechanizmów równowagi i kontroli. Społeczeństwo obywatelskie współdziała – lepiej może powiedzieć współtworzy – demokratyczne państwo.

Sądzę, że jeśli chodzi o budowanie siły i tożsamości społeczeństwa obywatelskiego jesteśmy jeszcze na starcie. Widać to choćby po niskiej frekwencji w wyborach, zwłaszcza samorządowych i parlamentarnych. Jednym z najważniejszych zadań, którymi będziemy zajmować się w najbliższym dziesięcioleciu, będzie – w moim przekonaniu – zwiększenie aktywności obywatelskiej, zwłaszcza w regionach najslabszych gospodarczo. Jeśli się uda, będzie to z całą pewnością wzmacniało nasze szanse rozwojowe.

Konstytucyjny katalog praw i wolności człowieka i obywatela jest zgodny ze standardami międzynarodowymi. Niektóre prawa, jak choćby prawo do informacji, oraz ograniczenie pozyskiwania informacji o ludziach przez władze publiczne – znajdują teraz u nas lepszą ochronę prawną niż w standardach międzynarodowych. Konstytucja potwierdza również zasadę wolności obywateli i ograniczonych uprawnień państwa. Żaden organ władzy nie może robić tego, co zechce, a obywatel zawsze może domagać się podstawy prawnej, na jakiej urząd realizuje swoje czynności. Obywatele mogą czynić wszystko, co nie jest prawem zakazane i nikt nie może obligować ich do tego, czego ustawa im nie nakazuje.

Przełomowym, ale ciągle jeszcze niezbyt szeroko uświadomianym, momentem było wprowadzenie skargi konstytucyjnej. Oznacza ona odejście od opiekuńczego modelu praw. Nową jakością jest to, że każdy skrzywdzony przez prawo, który stosuje tę skargę, ma możliwość stawienia czoła państwu i jego urzędnikom, a nawet ustawodawcy. Warto, żeby ludzie tworzący prawo i urzędnicy podejmujący decyzje mieli tego świadomość.

Nasza konstytucja dąży też do zagwarantowania określonego poziomu socjalnego bezpieczeństwa obywateli. Ład gospodarczy ma kierować się zasadami społecznej gospodarki rynkowej, a więc „opierać się na swobodzie prowadzenia działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności i współpracy partnerów społecznych.” Jest to rezultatem pewnego pragmatyzmu uwzględniającego różne koncepcje modelu gospodarczego, ale również praktyczne – często bardzo gorzkie – doświadczenia pierwszych lat transformacji.

Mówiłem już wcześniej o kompromisie między partiami. Sprawa ma jednak głębszy wymiar. W konstytucji znajdują się odwołania do różnych systemów wartości. Liberalno-demokratyczny rodowód mają zasady: państwa prawnego, pluralizmu etycznego, legalizmu działania organów państwa, gospodarki rynkowej. Z kręgu etosu socjaldemokratycznego pochodzi zasada sprawiedliwości społecznej, idea społeczeństwa obywatelskiego, ochrona pracy, praw socjalnych i gwarancji bezpieczeństwa socjalnego obywateli. Z kręgu wartości chrześcijańsko-demokratycznych wywiedziona została zasada solidaryzmu i pomocniczości państwa, przyrodzona i niezbywalna godność człowieka, ochrona prawna człowieka, ochrona rodziny. Jedność i niepodzielność państwa, ochrona kultury i dziedzictwa narodowego nawiązuje do wartości utożsamianych z myślą patriotyczno-narodową.

Za wielkie wspólne osiągnięcie uznaję, że nie jest to konstytucja ideologiczna; ma bowiem wyraźnie normatywny charakter. Sprawą o kapitalnym znaczeniu dla jej miejsca w systemie prawnym jest zasada bezpośredniego stosowania i określenie pełnego zakresu źródeł prawa.

## Reformy państwa i prawa – dla kogo splendor?

Nie ulega wątpliwości, że konstytucja umocniła i przyspieszyła zmiany zapoczątkowane po 1989 roku. W jej treści widać troskę o usprawnienie działania organów państwa, modernizowanie życia publicznego, poprawę gospodarki i jakości życia obywateli. Stworzyła podstawy prawne do dalszego przekształcania kraju. Wskazała zasadnicze kierunki zmian w państwie i społeczeństwie, uruchomiła mechanizmy przeprowadzenia kolejnych reform. Zbudowała fundamenty pod strategię działań na miarę wyzwań nadchodzących czasów.

Polska bywa często podawana za przykład udanej transformacji. Zmiany polityczne i gospodarcze zyskały szerokie poparcie w polskim społeczeństwie. Mimo tych osiągnięć Polska jest nadal krajem ubogim, przynajmniej w porównaniu z państwami Unii Europejskiej. Dziesięć lat szybkich zmian nie było w stanie nadrobić wieków burzliwej historii, zacofania i ubóstwa. Stopniowo zmieniamy jednak ten obraz kraju. Posuwamy się do przodu, aczkolwiek – jak na moje wyczucie – za dużo w tym, co robimy, pochodzi z nie zawsze uzasadnionej metodyki prób i błędów. Używając terminologii żeglarskiej: trzymamy właściwy kurs, choć wiele zwrotów moglibyśmy robić lepiej, sprawniej, płynniej...

Szczególne znaczenie dla przyszłości państwa mają normy konstytucyjne dotyczące samorządności. Wskazały one na konieczność gruntownego przeobrażenia kraju pod względem administracyjnym i samorządowym. I zmiany te dokonują się, acz można mieć zastrzeżenia do tempa i sposobów wprowadzania ich w życie.

Punktem wyjścia do zmian w tej dziedzinie było wprowadzenie w 1990 roku samorządu terytorialnego na poziomie gminy. Była to, jak sądzę, jedna z najbardziej udanych reform państwa. Udało się wytworzyć w wielu lokalnych społecznościach poczucie bycia gospodarzem na swoim terenie, udało się praktycznie urzeczywistnić ideę gospodarowania gminnymi budżetami. Określając kierunek dalszych przemian ustroju wewnętrznego państwa ku decentralizacji i dalszemu rozwojowi samorządności, nowa konstytucja uczyniła zasadniczy krok na drodze wprowadzenia samorządu powiatowego i wojewódzkiego.

Zarzuca się koalicji SLD-PSL osłabienie w latach 1993-1997 tempa reformowania państwa. Koronnym argumentem, jakim się szermuje, jest zaniechanie reformy administracyjnej i samorządowej. Jest bezdyskusyjnym faktem, że poprzednia koalicja jej nie przeprowadziła. Ale czy takie postawienie sprawy w pełni odpowiada rzeczywistości?

Zostały przecież przygotowane wyraziste założenia warsztatowe i legislacyjne tych reform, podobnie jak stało się to w kwestii przekształceń systemu ochrony zdrowia i ubezpieczeń społecznych. W okresie tamtych czterech lat w zasadniczy sposób poprawione zostało polskie prawo. Przyjęto nowy kodeks pracy, kodeks cywilny, kodeksy karne, kodeks celny. Wprowadzony został negocjacyjny system płac w gospodarce, uchwalono ordynację podatkową, prawo bankowe, prawo budowlane, ustawy o służbie

cywilnej i o zamówieniach publicznych. Wprowadzono cywilną kontrolę nad wojskiem i kontrolę parlamentarną nad służbami specjalnymi. Jeśli to nie są reformy, to co nimi jest? Nowa ekipa przejęła w 1997 roku tę schedę, traktując ją jako punkt startowy dla własnych rozwiązań. W dziedzinie reformowania organizacji państwa nie było więc zastoju.

Przypomnijmy również, że za tamtej koalicji uchwalona została ważna ustawa o wielkich miastach. Dzisiaj oceniam, że bez niej wprowadzenie całościowej reformy administracyjnej okazać by się mogło bardzo trudne. Trzeba także pamiętać, że przygotowana została koncepcja trójszczeblowego podziału administracyjnego kraju, która została poddana szerokim konsultacjom. Projekty te nie uzyskały wówczas akceptacji PSL, nie mogły więc być uchwalone przez rząd i parlament.

Od początku do końca przeprowadzono natomiast reformę centrum. Na skutek reformy została zlikwidowana część ministerstw. Powołano Ministerstwo Gospodarki, Ministerstwo Skarbu, odmiennie niż wcześniej określono zakres kompetencji resortów i to zarówno gospodarczych, jak i funkcjonalnych. Niestety, ustawa o działach administracji rządowej weszła w życie dopiero w 1999 roku, dwa lata po uchwaleniu. Podejmuję ten wątek, aby pokazać, jak ważne jest myślenie o państwie w kategorii ciągłości demokratycznej władzy.

Rząd Jerzego Buzka podjął reformę administracyjną i samorządową kraju, starając się na swój sposób realizować konstytucyjne zadanie decentralizacji władzy i budowy społeczeństwa obywatelskiego. Ta sztandarowa reforma – podobnie jak następne – obciążona jest jednak wieloma niedostatkami.

W moim przekonaniu grzechem pierworodnym całego podejścia ekipy sprawującej władzę od 1997 roku do problematyki reformowania było jej „ideologizowanie”. Od sa-

mego początku reformy realizowane były przeciw poprzedniej koalicji. Miały wykazać rozmach nowej ekipy na tle „niezdolności poprzedników do skutecznego reformowania kraju”. Było to zagranie wyjątkowo nie fair, bowiem jak już wspomniałem, zarówno reforma administracyjna, jak i inne reformy, były przez koalicję SLD–PSL koncepcyjnie i legislacyjne przygotowane. Myślę, że dominowało rozumowanie: w przypadku powodzenia – cały splendor miał przypaść tym, którzy reformy wprowadzili w życie. Taka wykluczająca innych, ideologiczna postawa koalicji AWS–UW doprowadziła do sytuacji, w której cała odpowiedzialność, wszystkie koszty polityczne spadają w całości na obóz rządzący.

Zaczęło się od równie spektakularnej, jak i niepotrzebnej walki o liczbę województw. Najpierw taką ostateczną, niemożliwą do przekroczenia liczbą było 13, później 14 itd. Przed ogólnokrajową publicznością odbyła się prawdziwa „gra w numerki”. Koalicja sama ze sobą przeprowadziła „heroiczny” bój, aby w końcu ogłosić kompromis na poziomie 15, nie uwzględniając w ogóle, tak ważnej ustrojowo sprawy, jaką jest głos i stanowisko opozycji, wyrażającej przeciwieństwo opinii znaczącej części społeczeństwa. Skończyło się to następnym uzgodnieniem, tym razem z opozycją. I mamy 16 województw. Odbyły się w końcu wybory samorządowe. Reforma mogła ruszyć.

Dzisiaj krytycy tej reformy podnoszą różne jej mankamenty. W moim przekonaniu jej główną wadą jest mapa powiatowa. Wiem, że jest to problem wyjątkowo trudny społecznie. Nie mam pretensji, że ostateczną decyzję w tej sprawie podjął rząd. Myślę, że sejmowi przyszłoby to z wielkim trudem. Decyzja rządu była jednak w tej materii oportunistyczna. Niemal każde miasto, które chciało zostać powiatem – zostało nim. Dodano do tego jeszcze kilkadziesiąt powiatów grodzkich, co sprawiło, że powiatów jest dwa razy

za dużo. Sytuacja ta oznacza, że wykreowano wiele powiatów finansowo słabych, niezdolnych – jak się okazuje – do samodzielnego bytu.

Chcę jednak powiedzieć wyraźnie: jestem gorącym zwolennikiem reformy samorządowej. Uważam, że stworzenie powiatów, nadanie samorządowego charakteru województwom – przyniesie spodziewane korzyści. Zwiększy pole lokalnej inicjatywy, sprzyjać będzie powstawaniu lokalnych stowarzyszeń i inicjatyw gospodarczych. Zwiększy także, co bardzo ważne, stabilność polityczną w Polsce.

Zauważmy przecież, że dziś opozycja rządzi w wielu powiatach, miastach i niemal połowie województw. I jeżeli zdarzy się tak, że do władzy dojdzie SLD, to także opozycja, co prawda inna, będzie rządzić w wielu powiatach, miastach i województwach. Od czasu wprowadzenia reformy żadna z liczących się sił politycznych nie będzie tak w całości i do końca w opozycji. To jest bardzo ważne. Uważam to za czynnik stabilizujący państwo, zwiększający poczucie odpowiedzialności za nie. W tym układzie już nikt nie może na poważnie abstrahować od tego, że na nim także spoczywa część odpowiedzialności za kraj.

W niektórych regionach pojawiły się symptomy ożywienia lokalnej demokracji, ludzie odczuli, że mogą brać „swoje sprawy w swoje ręce”. Ale proces ten daleki jest zarówno od ideału, jak i realnych możliwości. Na pewno nie zostały wykorzystane wszystkie możliwości rozbudzenia ducha społeczeństwa obywatelskiego. Być może oczekuję zbyt wiele i w zbyt krótkim czasie, ale mam poczucie straconej szansy. Dobry początek ułatwia przecież drogę do sukcesu...

Ale jeśli samorządy będą cierpieć niedostatek środków na elementarne potrzeby, to obawiam się, że stracimy w ten sposób wiele ze społecznego kapitału zaufania.

Na koniec tej części rozważań – kilka uwag ogólnych. Bronię poglądu, że wszystkie reformy, a zwłaszcza samorządowa, są potrzebne. Ich założenia były prawidłowe. Z wieloma wątpliwościami podpisywałem jednak ustawy wprowadzające owe reformy. Pytałem uporczywie o stopień ich przygotowania i środki finansowe do ich realizacji, o akceptację społeczną. Przedstawiciele rządu zawsze mówili mi, że wszystko jest w porządku. Okazało się jednak, że nie zawsze tak było.

Powoływałem więc zespoły monitorujące, które na bieżąco współpracowały z resortami wdrażającymi wszystkie reformy, nie tylko samorządową, która znów, podobnie jak w 1990 roku, okazała się najbardziej udana. Na takiej płaszczyźnie, kiedy już nie liczyła się ideologia i publiczne przepychanki, kooperacja moich ekspertów z urzędnikami rządowymi układa się harmonijnie. Budzi to optymizm, wzmacnia przekonanie, że dostrzeżone mankamenty dadzą się usunąć, a błędy – poprawić. Wierzę, że tego rodzaju działania są nadal możliwe, potrzebne i celowe.

## Nowoczesne państwo musi gwarantować bezpieczeństwo osobiste

Konstytucja i ład prawny nie są same dla siebie. Służyć mają stworzeniu nowoczesnego państwa – przyjaznego ludziom i służącego im. W wywiadzie, jakiego wiosną 2000 roku udzieliłem „Polityce”, wśród strategicznych celów, jakie stoją przed Polską na progu XXI wieku, wymieniłem członkostwo w Unii Europejskiej i umacnianie demokracji. Często podnoszę te kwestie, bo – w moim przekonaniu – nie ma ważniejszych spraw dla przyszłości kraju.



Demokracja w naszym kraju ma nadal istotne słabości, do których zaliczam nieposzanowanie prawa, niewystarczający poziom porządku publicznego i bezpieczeństwa obywateli, chroniczną słabość organów ochrony prawa i wymiaru sprawiedliwości. Kolejne ekipy rządowe nie radziły sobie z tymi bolączkami. Podejmowane próby zaradcze, jak dotąd okazywały się zawodne. W lata przełomu weszliśmy z bagażem prawnym z przeszłości. Prawo, które odziedziczyliśmy, nie przystawało w żaden sposób do nowych uwarunkowań. Problem był tym większy, iż nie można było zmienić wszystkich starych przepisów w ciągu jednej nocy, ogłaszając następnego dnia rano obowiązywanie nowych rozwiązań. Prawo należało zmieniać stopniowo, nowelizować, starać się nie dopuszczać do powstawania luk prawnych i sprzeczności. Nie zawsze to się udawało. Polskie prawo było (i w części jeszcze jest) bardzo niedoskonałe i częstokroć lekceważone, wręcz kontestowane. A do tego funkcjonowanie w realiach wolnego rynku i demokratycznych procedur okazało się być rzeczą trudną i skomplikowaną, wymagającą często wiedzy i umiejętności, jakich nie sposób było nabyć w realnym socjalizmie.

Od kilku lat zaczęliśmy smakować dobrodziejstwa współczesnej cywilizacji, ale dotknęły nas również negatywne konsekwencje zmian. Jak wszystko w życiu, tak i wolność ma swoją cenę. Tym razem cena ma swój prozaiczny, ale jakże niepokojący wymiar. Statystyki mówią o wysokiej przestępczości, krzyczą o tym tytuły gazet, informacje o napadach zapełniają serwisy dzienników radiowych i telewizyjnych. Zresztą nie musimy posługiwać się statystykami, czy wiadomościami z mass mediów, ludzie czują to sami, wychodząc ze strachem na ulice, niekoniecznie nawet po zmroku. Mamy wrażenie, że jest gorzej niż przed kilkunastu, czy nawet kilku laty.

Bezpieczeństwo obywateli zaliczane jest do jakościowych standardów życia w demokratycznym państwie prawa. Należy do podstawowych praw człowieka i obywatela. Samopoczucie na tle osobistego bezpieczeństwa w istotnym stopniu decyduje nie tylko o zadowoleniu z życia, lecz wręcz o jego sensie. Bo co to za życie w strachu, w ciągłej obawie o los własny i bliskich.

Co się takiego stało i co się nadal dzieje, że żyjemy w mniej bezpiecznym państwie i w brutalniejszym świecie? Jest to z pewnością pytanie, na które muszą odpowiedzieć przede wszystkim socjologowie. Ale przecież od poszukiwania odpowiedzi na takie pytania nie mogą się uchylać także politycy, wszak stan bezpieczeństwa obywateli to jedna z najważniejszych sfer rzeczywistości społecznej. Powszechne wśród Polaków poczucie zagrożenia bezpieczeństwa osobistego jest poważnym wyzwaniem dla państwa i jego systemu prawnego.

Jeśli poziom bezpieczeństwa osobistego obywateli się obniża, to oznacza, że poszerza się sfera bezprawia. A więc – ważny segment państwa funkcjonuje wadliwie. Zapewnienie bezpieczeństwa osobistego obywatelom są to w swej istocie usługi państwa wobec obywateli opłacone przez nich samych w formie podatków. Wszystkie działania innych organizacji i instytucji, a także inicjatywy obywatelskie, choć bardzo pożądane, są tylko wspomaganiami powołanych do tego celu państwowych służb publicznych.

Jednym z głównych źródeł słabości systemu zapewnienia bezpieczeństwa, wszędzie gdzie żyjemy, pracujemy bądź się uczymy, jest sfera wymiaru sprawiedliwości. Jeśli nie ma kary adekwatnej do winy, to taki fakt urąga sprawiedliwości. Jeśli w ogóle czyn przestępczy nie jest osądzony, to wtedy jest to bezprawie rozsadzające wszelkie zasady państwa prawnego. Dla zbiorowej psychiki Polaków ważne wydaje się odzyskanie poczucia bezpieczeństwa. I dlatego prawo

oraz cały system ścigania przestępców i wymiar sprawiedliwości muszą być w swej sprawności adekwatne do rozmiaru zjawiska przestępczości i oczekiwań społecznych.

Kodeksy karne uchwalone w 1997 roku poddawane są dość powszechnej krytyce. Ożywione dyskusje wśród prawników rzeczywiście wyłoniły słabości nietrafnych zapisów prawa karnego i procesowego. W wielu przypadkach zgodzili się z uwagami krytycznymi sami twórcy nowych kodeksów. Takie spory i dyskusje zawsze towarzyszą tworzeniu nowego prawa, zwłaszcza o zasadniczym charakterze. W równym stopniu ta refleksja dotyczy prawa już ugruntowanego długoletnią praktyką stosowania. Zmieniają się wszak realia życia i prawo musi to uwzględniać.

Krytyczna dyskusja wokół nowych kodeksów, która się rozwinęła na szerokim forum publicznym, zwłaszcza poza kręgiem prawników, stawiała znak zapytania nad całą filozoficzną i aksjologiczną podstawą nowych kodyfikacji. Generalny zarzut wielu krytyków mających oparcie w opinii potocznej sprowadzał się do tego, że nowe prawo karne jest zbyt wyrozumiałe dla przestępców. Często słyszy się zarzut, że przestępca nawet złapany na gorącym uczynku szybko wypuszczany jest na wolność i staje przed sądem z wolnej stopy, po bardzo długim oczekiwaniu na proces. To skandal, pośmiewisko z wymiaru sprawiedliwości – takie głosy są nieodłączną reakcją w dyskusjach o bezpieczeństwie osobistym obywateli.

Czy taka reakcja jest słuszna? Jeśli tak, to odczuwamy, i to powszechnie, to tak. Rzecz jednak w tym, że tak formułowane opinie zawierają wiele zarzutów nie zawsze precyzyjnie adresowanych. Jeśli słyszy się zdanie, że jest złe prawo, bo przestępca chodzi po ulicy zamiast siedzieć w więzieniu, to na taką sytuację wpływ mogło mieć nie prawo, ale na przykład to, że policjanci prowadzący śledztwo pracowali

wadliwie, przez co prokurator nie miał dobrze przygotowanych dowodów, by sporządzić akt oskarżenia, na podstawie którego sąd mógłby wydać wyrok skazujący.

Jeśli jednak nawet wszystkie czynności policji i prokuratury zostały przeprowadzone prawidłowo, to pozostaje sąd ze skomplikowaną procedurą procesową, rozpoznaniem sprawy, oceną dowodów i orzeczeniem. We wszystkich tych fazach oczywiście występuje prawo, ale nie tylko. W znacznej części efektywność jego zastosowania zależy od wiedzy ludzi, ich rzetelności, mądrości życiowej, intuicji i sztuki. Jest ona obecna w działaniach operacyjnych policji, pracach prokuratury i w orzecznictwie sędziów. We wszystkich tych działaniach możliwe są pomyłki, które są przecież udziałem ludzi i zdarzają się w rzeczywistości.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad czynnikami mającymi wpływ na stan naszego bezpieczeństwa, by podkreślić, że bynajmniej nie musi tu wystąpić syndrom złego prawa. Uważam, że przyjęte przez nas kodyfikacje karne szły we właściwym kierunku. Uwzględniają tendencje obecne w naszym kręgu kulturowym, zbieżne są z ustawodawstwem Unii Europejskiej, do której aspirujemy. Główny zarzut postawiony tym kodeksom: zniesienie kary śmierci jest nie do przyjęcia, choć kłóci się to być może z potocznymi odczuciami części Polaków, ukształtowanymi na tle narastającej przestępczości kryminalnej, oraz z wyobrażeniami o winie i karze. Są to odczucia uzasadnione, ale przecież doraźne. Filozofia prawa i wyznawany system wartości nakazywały znieść ten nieodwracalny wymiar kary, jako zamach na istotę życia ludzkiego.

Nie oznacza to, że akceptuję dotychczasowe efekty w zwalczaniu przestępstw zagrażających naszemu codziennemu bezpieczeństwu. Tu odczucia wyrażane potocznie zgodne są z moimi odczuciami – przestępczość w zbyt dużym stopniu

korzysta z bezkarności, a służby publiczne, których ustawowym obowiązkiem jest likwidacja źródeł przestępczości, ściganie i karanie, czynią to mało efektywnie, a w niektórych przypadkach może są zbyt wyrozumiałe. Niemało w tym zapewne przyczyn obiektywnych.

Spójrzmy na policję, za którą w pierwszej kolejności się rozglądamy w chwili zagrożenia. Najczęściej jej nie ma. Pozostaje uciekać lub bronić się. Rzadko te sposoby skutkują. Policji albo jest za mało, albo ślęczy nad wypełnianiem biurokratycznych formularzy, albo nie może szybko dojechać, bo brakuje samochodów czy pieniędzy na benzynę.

Trzeba sobie powiedzieć jasno – to jest stan najwyższego zagrożenia i powinny być zastosowane środki nadzwyczajne. Rozwiązanie tego problemu ma również ważny aspekt międzynarodowy. Nasz kraj, niestety, ma opinię bardzo niebezpiecznego pod względem przestępstw pospolitych. Boją się do nas przyjeżdżać zagraniczni specjaliści, zaczynają omijać nasz kraj turyści, zwłaszcza poruszający się własnymi samochodami. To uwłacza prestiżowi naszego kraju i przynosi wymierne straty.

Drugim, szczególnie narażonym na krytyczną ocenę, składnikiem systemu bezpieczeństwa osobistego obywateli jest wymiar sprawiedliwości, zwłaszcza sądownictwo. Mówi się o nim „trzecia władza”, jak najbardziej zasadnie. Trójpodział władz w państwach europejskich systemów politycznych opartych na regułach demokratycznych jest właściwie normą. Zasada trójpodziału władz niezależnych od siebie jest również normą konstytucyjną w naszym kraju.

W zasadzie nie ma na ten temat sporów, choć w niektórych kręgach politycznych mówi się, że sądownictwo ma za dużo samodzielności i niezależności nie tylko w kierowaniu swojej działalności, w obsadzaniu stanowisk kierowniczych, lecz także w orzecznictwie. Zasadniczo z takimi

opiniami się nie zgadzam. Gdy mówimy o sprawach ustrojowego statusu sądownictwa, to myślę, że nie nadmiar jego samodzielności i niezależności jest dziś polskim problemem.

Sądownictwo jest po prostu zbyt biedne. Nie jest to bezasadne gderanie. Widzą to gołym okiem dziesiątki tysięcy ludzi przewijających się przez korytarze i sale rozpraw. Alarmują szczegółowe raporty sporządzane pod kątem realizacji przez polskie sądy jednego z podstawowych praw człowieka, zapisanego w naszej konstytucji: prawa do sądu. Wywiązanie się państwa polskiego z tego obowiązku stanowi normę prawa europejskiego. Radykalna poprawa w tej dziedzinie, to znaczy widoczne doinwestowanie sądownictwa, jest zatem zadaniem zasadniczej wagi.

Źródła naprawy leżą w sferze decyzji politycznych. Myślę, że za dużo w niektórych kręgach mówi się o polityce wyrokowania w sprawach będących na wokandzie, zwłaszcza o posmaku politycznym, a za mało o polityce pomocy sądownictwu. Podobnie jest w przypadku policji i prokuratury.

Jestem głęboko przekonany, że starczy nam dość rozumu politycznego i odpowiedzialności, by nadać działaniom państwa kierunek zgodny z potrzebami i oczekiwaniami obywateli w tej dziedzinie. Jestem też przekonany, że polskie społeczeństwo poprze takie działania, nawet kosztowne, jeśli przeznaczone na ten cel środki będą wydawane racjonalnie.

## Konsolidacja systemu demokratycznego

Rozważania o konstytucji i o prawie siłą rzeczy dotyczyć muszą aktualnego stanu państwa i problemów rozwoju społeczeństwa. To rzecz naturalna. Wypełnianie jej treści w co-

dziennym działaniu państwa i jego instytucji oraz w życiu obywateli stanowi w końcu – często jakże wymierną wbrew potocznemu przekonaniu – miarę rozwoju demokracji. Dla państw i społeczeństw znajdujących się ciągle przecież w procesie transformacji, a do takich należy Polska i Polacy, także odpowiedź na pytanie, czy budowa ładu demokratycznego powiodła się. Profesor Jerzy. J. Wiatr w książce *Socjologia polityki* w następujący sposób ujmuje tę kwestię: *Konsolidację systemu demokratycznego rozumiem jako utrwalenie się czterech cech proceduralnej demokracji: (1) regularne odbywanie uczciwych i wolnych wyborów do podstawowych władz państwa, (2) rządów prawa, w tym przestrzegania konstytucji przez wszystkie instytucje państwa, (3) ochrony praw jednostki i wolności politycznych, (4) wolnej od dyskryminacji polityki państwa w stosunku do mniejszości etnicznych i religijnych. W szerszym sensie – dodaje autor – konsolidacja demokratyczna wymaga także dobrze funkcjonującego społeczeństwa obywatelskiego opartego na niezależnych od państwa samorządnie zorganizowanych grupach obywateli.* Z punktu widzenia tych kryteriów, które wpisane są w Konstytucję Rzeczypospolitej, możemy dzisiaj z satysfakcją powiedzieć, że Polska jest krajem demokratycznym, że proces „konsolidacji młodej demokracji” powiódł się. Nie oznacza to oczywiście, że nie istnieje rozdział pomiędzy treściami zapisów konstytucji a rzeczywistością. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że praca nad ich urzeczywistnianiem pozostaje niezmiennie wyzwaniem dla nas wszystkich.

# Polska reform ekonomicznych

Przyzwyczailiśmy się już chyba w Polsce do roli prymusa w Europie Środkowej, jeśli chodzi o postępy w reformowaniu gospodarki. Często powtarzamy: „jesteśmy liderem transformacji”. Zawsze jednak trzeba do tego mieć duży dystans, jak i poczucie drogi, którą udało nam się przebyć. Przecież od 1989 roku zaczęliśmy nadrabiać opóźnienia cywilizacyjne narosłe nie tylko w czterdziestolecu realnego socjalizmu, ale w ciągu stuleci. Przecież pogardliwe określenie „polnische Wirtschaft” nie powstało po drugiej wojnie światowej. Start więc mieliśmy bardzo trudny, ale jednocześnie tkwiła w tych trudnościach szansa – my nie mieliśmy dokąd wrócić. Każde zatrzymanie się wpół drogi oznaczałoby kolejne dziesiątki lat pozostawania w stagnacji i zacofaniu, zaprzepaszczenie kolejnej szansy wyrwania się z zakłętego kręgu niemocy.

## Dlaczego nie powiodła się reforma gospodarki socjalistycznej?

Źródeł procesów, które doprowadziły do polskiej transformacji, szukałbym jednak w latach wcześniejszych, w okresie agonii dawnego ustroju. W okresie realnego socjalizmu



gospodarka i polska polityka gospodarcza pełne były dramatów. Być może dzięki temu w Polsce Ludowej grupy przywódcze o wiele wcześniej niż w innych państwach „obozu” rozumiały, że tzw. socjalistyczny system gospodarczy jest niewydolny, że w gruncie rzeczy jest systemem bezprowrotnego marnotrawienia ludzkiej energii. Dziś, z pewnej perspektywy widać, że była to swojego rodzaju ślepa uliczka. Przecież wszystkie próby reform, podejmowane w czasie mego świadomego życia, kończyły się fiaskiem i mniejszą lub większą kompromitacją.

Myślę, że u schyłku realnego socjalizmu niemal wszyscy ludzie władzy, którzy mieli prawo decydowania, ale i ci będący biernymi obserwatorami zachodzących procesów, widzieli konieczność zmian, ale zarazem też beznadziejność prób ich urzeczywistnienia. Przypominam sobie, że kiedy premierem był Zbigniew Messner, w trakcie posiedzenia Rady Ministrów podjęto temat perspektyw telefonizacji kraju. Referujący sprawę minister łączności, skądinąd znakomity fachowiec, kreślił świetlane perspektywy dogonienia Europy w 70 lat! Miałem wtedy przeświadczenie, że uczestniczę w jakiejś farsie politycznej, w jakiejś wyśnionej w koszmarnym śnie nierzeczywistości.

Przypominam sobie także inne próby reform. Na przykład te proponowane przez prof. Zdzisława Sadowskiego. Starsze i średnie pokolenie na pewno przypomina sobie przysłowiowe swego czasu „świeże bułeczki” ministra Krasińskiego... Jeśli dzisiaj chłodnym okiem spojrzymy na te próby reform, to ludziom, którzy się w nie angażowali, nie można odmówić wiedzy ekonomicznej, racjonalności i dobrej woli. Mimo to gospodarka brnęła w kolejne kryzysy. Nie zapominajmy przecież, że w 1989 roku do transformacji przystąpiliśmy

z gospodarką wysoce zdestabilizowaną i staczającą się po równi pochyłej.

O tym, że wśród elit rządzących PRL nie brakowało ludzi racjonalnie myślących o gospodarce, świadczą najwyraźniej działania ostatniego przedsolidarnościowego rządu premiera Mieczysława Rakowskiego. Tak naprawdę to decyzje o modernizacji systemu walutowego zapadły w 1988 roku, zanim zaczęliśmy myśleć o „okrągłym stole”, a ustawę o działalności gospodarczej z grudnia 1988 roku można, patrząc obiektywnie, traktować jako jeden z filarów nowego systemu gospodarczego. Pamiętam też jak natrzęsano się i rugano Rakowskiego, kiedy w ostatnim przejawie aktywności swojego rządu uwolnił ceny żywności. Dziś wiadomo, że był to prezent ustępującego rządu dla premiera Tadeusza Mazowieckiego. Bez przesady można powiedzieć, że w elitach rządowych schyłkowego PRL byli ludzie myślący perspektywnie, będący autentycznymi prekursorami sukcesu późniejszej transformacji.

Pozostaje oczywiście otwarte pytanie: dlaczego w warunkach realnego socjalizmu żadne reformy gospodarcze nie mogły się powieść. Do tej pory np. powielana jest teza, a właściwie zarzut w stosunku do Wojciecha Jaruzelskiego, że wprowadzając stan wojenny, nie wykorzystał go do przeprowadzenia radykalnych reform gospodarczych. Tymczasem prawda jest taka, że „pod osłoną bagnetów” nie można skutecznie przeprowadzić żadnych reform, które wymagają z jednej strony uczestnictwa ludzi, z drugiej zaś ich gotowości do poświęceń. Zabrakło zatem zarówno demokracji, jak i społecznego przyzwolenia na reformy.

To jednak tylko pierwsza przyczyna. Druga to ta, że wraz z pojawieniem się (w latach osiemdziesiątych) koncepcji reform natychmiast i to ze zdwojoną siłą nastąpił kontratak

ludzi, którzy nie tylko mieli inną wizję rozwoju, ale także poczuli się zagrożeni planami reform, a „bagnety” miały służyć do ich osobistej ochrony, a nie do osłaniania jakichś reformatorskich (czytaj: podejrzanych) wymysłów. Tak więc z perspektywy doświadczeń można powiedzieć, że reformy mogły rozpocząć się jedynie wraz ze zmianą układu rządzącego, ze zmianą całego systemu politycznego, z jego ostatecznym odrzuceniem przez społeczeństwo.

## Kontraktowa transformacja

Czym innym jest jednak rozpoczęcie transformacji, a czym innym jej sukces. Niezwykle ważne dla ostatecznego sukcesu polskiej transformacji początku lat dziewięćdziesiątych było to, że wielu ludzi aktywnych w okresie realnego socjalizmu lub funkcjonujących na jego poboczach, miało, gdy chodzi o sprawy gospodarcze, poglądy w znacznej mierze tożsame z ówczesnym obozem solidarnościowym. Przypominam tylko, że od początku lat siedemdziesiątych młodzi ludzie mieli możliwości wyjazdu na stypendia naukowe. Te tysiące osób – ekonomistów, socjologów, prawników – które bardzo ważny, formacyjny okres w swoim życiu spędziły na Zachodzie, były mentalnie i kompetencyjnie przygotowane do nowego systemu. Uznajmy w końcu powszechnie za fakt, że polskie reformy to nie jest sukces jakiegoś desantu z innej planety. Sukces reform jest oczywiście wielką zasługą opozycji demokratycznej i efektem determinacji pierwszej solidarnościowej ekipy rządowej, ale i sukcesem różnych sił politycznych, które zrozumiały, że bez dźwignięcia polskiej gospodarki niemożliwa jest transformacja ustrojowa.

W trakcie obrad „okrągłego stołu” o sprawach gospodarczych mówiło się tam ogólnie, na bardzo wysokim szczeblu abstrakcji. Wszystkie dyskusje ekonomiczne celebrowane przy stolikach i „podstolikach” okazały się mieć bardzo nikłe przełożenie na późniejszą politykę gospodarczą rządu Tadeusza Mazowieckiego firmowaną przez Leszka Balcerowicza.

Koniec roku 1989 i pierwsza połowa 1990, to okres w naszej historii niepowtarzalny. Niepowtarzalne było i to, że wtedy to właśnie wszystkie pomysły reformatorskie przyjmowane były bez konsultacji, bez dyskusji i co najważniejsze – bez przeciwdziałania ze strony opozycji. Tłumacząc to tym, że dla elit byłej PZPR konieczność reformowania i to drastycznego gospodarki była poza sporem. Ważne jest także to, że nowa ekipa nie pozbyła się całej rzeszy urzędników ministerialnych (i to do szczebla wiceministra włącznie) odziedziczonych po poprzednim systemie. Większość z nich się sprawdziła.

Zadecydowała o tym polityka zaproponowana przez Tadeusza Mazowieckiego. Wbrew powszechnemu przekonaniu nie polityka „grubej kreski”, ale głęboka świadomość skali problemów, w tym gospodarczych, jakie trzeba było rozwiązywać nieomalże natychmiast. Ta polityka stworzyła wolną od konfliktów atmosferę, atmosferę twórczą, która pozwoliła na wyzwolenie w ludziach wszystkiego, co było w nich najlepsze. Wielu ludzi starego systemu dostało po prostu szansę odnalezienia się w nowej rzeczywistości i zrobiło to. Często pytam krytyków tej polityki: czy Polska na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych mogła obyć się bez tych ludzi? Skąd można było wziąć innych? Przecież jedyną alternatywą dla polityki Tadeusza Mazowieckiego było wyrzucenie tych ludzi na margines

i stworzenie silnej grupy frustratów z poczuciem krzywdy, hamujących pewnie proces przemian.

Często w tym kontekście przywołuje się przykład niemiecki, jako że po zjednoczeniu faktycznie cały establishment byłej NRD został wyrzucony poza nawias aktywności publicznej. To wszystko prawda, ale ma się ona nijak do sytuacji w Polsce. Kto Polsce mógł dać niemal dwa biliony marek w ciągu dziesięciu lat? Skąd miało przyjść tysiące żądnych kariery, młodych, nowoczesnie wykształconych i świetnie opłacanych urzędników i menedżerów? A rezultaty? Mam wrażenie, że w Polsce własnymi siłami osiągnęliśmy w porównaniu z terytorium byłej NRD znacznie więcej. Zbudowano tam co prawda wspaniałą infrastrukturę, której tylko poza-zdrościć, zrobiono to wszystko, co można zrobić za pieniądze. Czy jednak osiągnięto wyższy niż u nas poziom identyfikacji ludzi z przemianami, czy zlikwidowano bezrobocie oraz gospodarczy i społeczny marazm? Zastanówmy się przez chwilę poważnie, jak wyglądać mogła Polska bez racjonalnej, liczącej się z realiami polityki rządu premiera Mazowieckiego.

Niekiedy z lekceważeniem nazywa się wybrany w 1989 roku sejm „kontraktowym”. Ja twierdzę, że tylko w takim sejmie możliwy był consensus w sprawie reform. Nie ukrywajmy, przyjętych przez wszystkie ugrupowania „w ciemno” we wspólnym przekonaniu, że jedynym ratunkiem dla Polski jest odważna ucieczka do przodu.

## Na tle sąsiadów

Równie ważne dla oceny polskiej transformacji ma porównanie jej rezultatów i przebiegu w innych państwach byłego realnego socjalizmu, u naszych bliższych i dalszych sąsia-

dów. Trzeba sobie przede wszystkim uświadomić różnice w sytuacji Polski i innych państw postkomunistycznych. Podobnie jak w Polsce sytuacja przedstawiała się na Węgrzech. W zasadzie od 1968 roku zaczęły modernizować, wtedy jeszcze socjalistyczną, gospodarkę, wprowadzać do niej elementy rynku, dostosowywać instytucje, kształcić ludzi i zmieniać ich mentalność. Ten „gulaszowy socjalizm” wcale jednak nie spowodował kwitnącego stanu węgierskiej gospodarki. Były tam i załamania, i konwulsje, ale był ruch – czegoś chciano dokonać.

W NRD i Czechosłowacji sytuacja była zupełnie inna. Z jednej strony były to gospodarki stabilne. Prowadzono tam drastyczną politykę makroekonomiczną, której efektem było, na plusie – stabilność cen i względnie dobre zaopatrzenie, a na minusie – stagnacja. To były gospodarki, które oparły się wszechobecnym wśród państw komunistycznych brakom rynkowym. Pamiętamy przecież jeszcze owe wyprawy Polaków po buty do NRD, czy po mięso i na piwo do Czechosłowacji. Kraje te nie wykształciły natomiast elit, które byłyby zdolne do absorpcji nowego systemu. W NRD nie było ich w ogóle, a w Czechosłowacji bardzo wąskie.

I wreszcie pozostali pasażerowie tego pociągu, który zwał się RWPG – Rumunia, Bułgaria, no i cały Związek Radziecki, który zresztą wkrótce rozpadł się na kilkanaście organizmów. W każdym z tych krajów sytuacja była trochę inna i wcale nie przypominały, jak na początku transformacji oceniali to zaoceaniczni obserwatorzy, jednolitej szarej masy. Różnice były choćby w stopniu otwartości i tu byliśmy niewątpliwie w czołówce.

Dawno temu jeden z wybitnych polskich publicystów napisał, że w naszym kraju można wszystko powiedzieć, ale nic nie można zrobić. To stwierdzenie świetnie oddaje

sytuację w schyłkowych latach PRL – otwartość na idee, cenne pomysły i totalna niemoc w realizacji. Ot, taki kraj 50/50 (tu też posiłkuję się cudzą myślą) – wszystko udaje się w 50 procentach i wszystko w 50 procentach równocześnie się wali.

Musimy jednak zdawać sobie sprawę z faktu, że mimo naszego otwarcia na nowe prądy intelektualne to, biorąc pod uwagę poziom rozwoju cywilizacyjnego, np. za Czechosłowacją byliśmy daleko w tyle. Pół żartem można powiedzieć, że przed wojną Czechy były o wiele wyżej rozwinięte od Austrii. Po wojnie, przez 40 lat rosły w tempie dwukrotnie szybszym niż Austria, po czym okazało się, że zostały za Austrią dwadzieścia lat w tyle. Bez wątplenia to właśnie Czechy na realnym socjalizmie straciły najwięcej. Niemniej jednak w poziomie rozwoju cywilizacyjnego górowały nad Polską wyraźnie. Polacy jednak mieli o wiele wyższe aspiracje. My chcieliśmy być państwem Zachodu, my wiedzieliśmy, jak tam jest i dlatego byliśmy skłonni do zmian, do akceptowania daleko idących wyrzeczeń.

## Marsz w nieznane

Wszystko to nie oznacza, że w momencie rozpoczynania transformacji w Polsce wszystko działało się dobrze. Wprost przeciwnie. Patrząc na Polskę przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wyłącznie przez technokratyczne okulary otrzymalibyśmy obraz państwa zdestabilizowanego, z kilkudziesięcioprocentową miesięczną inflacją, z dyżurnym octem na sklepowych półkach. Mieliśmy gigantyczny dług publiczny, który paraliżował nasze perspektywy wzrostu. Dług, którego nie spłacaliśmy, którego nie obsługiwaliś-

my, występując w stosunku do państw – wierzycieli, ale też do banków komercyjnych, jako parias i żebrak jednocześnie. Dziś może już zapomnieliśmy o tym, że gdy wówczas zachodni obserwatorzy patrzyli na Polskę, to mało który z nich wierzył w możliwość jakiegokolwiek udanej transformacji. W ich ocenie mogło to się udać Węgrom, Czechom, ale Polakom... Na pewno klasyfikowani byliśmy wtedy w drugiej albo i trzeciej lidze państw rozpoczynających przemiany gospodarcze.

Świadomość naszej sytuacji była tak powszechna, że bez wahania zgodziliśmy się na długi marsz w nieznane. W nieznane, bowiem świadomość celów transformacji i środków, jakie trzeba dla ich osiągnięcia przedsięwziąć, miał może tylko wówczas Leszek Balcerowicz i jego ekipa. A zespół ludzki, jaki go otaczał, był świetny. W 1989 roku zgromadził on wokół siebie najwybitniejsze postaci polskiej i nie tylko polskiej ekonomii. I nie byli to wyłącznie pochlebcy.

Oczywiście, mówienie wyłącznie o poparciu społecznym, cierpliwości ludzi i ich gotowości do wyrzeczeń, byłoby nadużyciem. Z perspektywy lat uważam, że przyzwolenie społeczne na drastyczne reformy gospodarcze było o wiele mniejsze niż gotowość elit politycznych do tego zabiegu. Gotowość, będąca niemalże jednomyślnością. Przecież niepokoje społeczne i niezadowolenie ludzi pojawiły się bardzo wcześnie, niemal na samym początku transformacji. Jednakże związki zawodowe, zarówno Solidarność jak i OPZZ, a w każdym razie ich centrale, nie były skłonne brać na siebie odpowiedzialności za organizowanie protestów, mogących wyrzucić tworzący się dopiero nowy ustrój. Sam sobie zadaję pytanie, czy czasem my wszyscy nie mitologizujemy społecznego poparcia dla reform na początku transformacji? Czy nie było ono jednocześnie bardzo



szerokie i bardzo płytkie? Czy gdyby elity, gdyby przywódcy nie byli zgodni, że należy iść ciągle do przodu, to cała transformacja nie zakończyłaby się już na samym początku klapą?

Paradoksalnie, bardzo skomplikowaną i dość ambiwalentną postacią z tych czasów był Lech Wałęsa, który najpierw jako lider Solidarności, a później jako prezydent miał olbrzymi wpływ na nastroje społeczne. Wszyscy jednak pamiętamy jego szeroko kolportowane hasła, a to o przyspieszeniu, a to o wojnie na górze, a to o siekierce... Czy więc wpływał on tylko kojąco na nastroje społeczne, czy też je podgrzewał dla osiągnięcia tylko sobie wiadomych celów? Z drugiej strony jednak to Wałęsa zdecydował po objęciu prezydentury o pozostawieniu Balcerowicza jeszcze przez rok na stanowisku, dając mu jednocześnie bardzo silne wsparcie, osobistym autorytetem żyrując jego politykę.

## Źródła naszego sukcesu

Zacznijmy może od tego, co jest najczęściej wymieniane czy wręcz opiewane w poematach na cześć polskiej transformacji. Chodzi mi o kurację szokową zaaplikowaną w 1990 roku polskiej gospodarce. Była ona bolesnym uderzeniem w zastaną polską gospodarkę. Uderzenie to z jednej strony doprowadziło do uporządkowania sceny gospodarczej, z drugiej zaś spowodowało powstanie olbrzymich kosztów społecznych – znaczącą obniżkę dochodu narodowego i indywidualnych dochodów ludzi.

Gdy czytamy, szczególnie współczesną, publicystykę na temat owej kuracji szokowej, zwraca uwagę jej czarno-biały koloryt. Jedni wystawiają jej pomnik, gubiąc się w czasie

nieszczerych komplementach. Inni odsądzają ją od czci i wiary, kreując jej obraz jako zniszczenie polskiego dorobku i tradycji równe niemalże zdradzie narodowej. Te skrajne opinie najlepiej świadczą o tym, jakie znaczenie dla współczesnej Polski miał plan Balcerowicza.

Przyjęcie go 23 grudnia 1989 roku, w niepowtarzalnej atmosferze, budziło już wówczas różne reakcje. Byli również wybitni ludzie Solidarności, np. Karol Modzelewski, którzy mówili: „to się musi zakończyć krwawą rewolucją”... Z dzisiejszej perspektywy rzecz można, że ów pakiet posunięć był wewnątrznie, powiedziałbym „bezlitośnie”, spójny. Błędy merytoryczne, o których często piszą ekonomiści krytycznie nastawieni do Balcerowicza z perspektywy dziesięciu lat, nie mają większego znaczenia. Terapia szokowa dotyczyła w gruncie rzeczy stabilizacji gospodarki. Dzisiaj wszyscy już chyba zrozumieli, że nie można stopniowo walczyć ze zbliżającą się do 1000 procent rocznie, hiperinflacją. Program Balcerowicza to nie tylko były działania antyinflacyjne, ale także liberalizacja gospodarki, która pozwoliła Polsce przetrwać pierwsze ciężkie lata. Naprawiono przy okazji większość absurdów cenowych. Ceny zaczęły mniej więcej odzwierciedlać relacje kosztów. Dla przedsiębiorstw bardzo bolesne było podniesienie stóp procentowych w bankach, bo zaczęły one, po raz pierwszy od lat, przewyższać poziom inflacji. Dzisiaj to nie tylko dla przedsiębiorstw, ale i ogółu obywateli, jest jasne. W 1989 roku to było „odkrywanie Ameryki”.

Bardzo ważne na samym początku było budowanie wiarygodności gospodarczej rządu. Polska wkraczała w transformację jako kraj, w którym menedżerowie z państwowych przedsiębiorstw nie wierzyli w żadne reformy. Oni w większości, o czym już pisałem, w czasie swojej aktywności zawodowej przeżyli kilka nieudanych reform. Dlaczego więc

mieli wierzyć, że teraz to wszystko dzieje się naprawdę? Dlaczego mieli sądzić, że reforma nie załamie się za kilka miesięcy i że rząd nie ugnie się wobec wręcz dramatycznych konsekwencji niektórych posunięć? Te przewidywania nie sprawdziły się. Zbudowanie wiarygodności władzy to jedno z najważniejszych osiągnięć pierwszego okresu transformacji.

O wartości takiej polityki niech zaświadczy przykład bułgarski. Bułgarzy na początku transformacji też mieli bardzo dobry program, ale później się przestraszyli, zaczęli „filozofować”, zamiast z uporem go wdrażać. Skończyło się to najpierw całkowitym załamaniem, a później koniecznością zaczynania wszystkiego od początku, w o wiele trudniejszych warunkach wewnętrznych i zewnętrznych.

Cechą programu Balcerowicza było wprowadzenie twardych reguł gry w gospodarce. Dla wielu państwowych przedsiębiorstw okazały się one być za twarde. Miały one do wyboru: albo dostosować się do nowych warunków, albo przestać istnieć. Dla wielu sektorów był to „wyrok śmierci”. Przypomnę choćby, że w ciągu kilku miesięcy 1990 roku przestał istnieć cały państwowy handel hurtowy, „padło” pół przemysłu lekkiego, przestała praktycznie istnieć spółdzielczość pracy, upadło, aby więcej się nie dźwignąć, rzemiosło i wicepremier nawet „nie mrugnął okiem”. Wspomnę tylko o tym, że – co uważam za jeden z bardzo społecznie kosztownych skutków programu Balcerowicza – doprowadzono do likwidacji niemal wszystkie PGR, pozostawiając pracujących tam ludzi samych sobie. Nie ukrywajmy tego, czego ukryć się nie da: program ten zakładał z góry pojawienie się w Polsce bezrobocia jako zjawiska masowego. Dlatego mówimy, że była to terapia szokowa, twarda, czasem bezwzględ-

dna, ale patrząc na nią z perspektywy całego państwa – konieczna i nieunikniona.

Ta terapia nauczyła także wiele menedżerów polskiej gospodarki. Potwierdzenie tego znajdujemy, patrząc na to, co dzieje się przede wszystkim za naszą wschodnią granicą. Choćby, znane kiedyś w Polsce, zjawisko „zatorów płatniczych”. Polega ono na tym, że wobec braku pieniędzy przedsiębiorstwa przestają sprzedawać i kupować za pieniądze, a prowadzą między sobą handel wymienny. Powstaje więc coś w rodzaju drugiego obiegu gospodarczego. Firmy, nie płacąc sobie nawzajem, przestały płacić także państwu podatki. Gospodarka stała się niemożliwa do regulacji. W Polsce też było takie niebezpieczeństwo! Wysłano jednak do przedsiębiorstw państwowych wyraźny sygnał: sami musicie uważać, sprzedawajcie tylko tym, którzy mogą zapłacić, bo jeśli popadniecie w tarapaty, rząd nie będzie was z nich wyciągał. Przyznać trzeba, że większość menedżerów skorzystała z tych lekcji.

Jednak nie wszyscy. Takim negatywnym przykładem jest sektor górnictwa węgla kamiennego – prawdziwej enklawy socjalistycznej gospodarki w rynkowym otoczeniu. Miało oczywiście to swoje obiektywne przyczyny. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł nawet pomyśleć o doprowadzeniu do upadku tej branży, tak jak stało się to np. z przemysłem lekkim. Zmiany w górnictwie mogą być dokonane tylko przy znaczącym udziale, przede wszystkim finansowym, państwa. Tych środków jak wiadomo ciągle jest za mało. Zabiegi restrukturyzacyjne też są niewystarczające, kopalnie przestają płacić swoje zobowiązania (podatki i składki ZUS), czekając na środki na restrukturyzację itd. Powstaje klasyczne błędne koło. Wierzę jednak, że i to da się rozwiązać.

Terapia szokowa zakończyła się wielkim sukcesem ekonomicznym, ale jednocześnie wieloma negatywnymi skutkami społecznymi. Czy wszystkie były konieczne i uzasadnione? Dzisiaj już nie pamiętamy, że według ówczesnych prognoz rządowych bezrobocie miało sięgnąć 6 procent, a było już na poziomie niemal 18 procent. Po pół roku gospodarka miała zacząć znów rosnąć, a zaczęła po 2,5 roku... Wprawdzie okazało się, że ten nasz kryzys był najśłabszy w porównaniu z innymi krajami regionu, ale słaba to pociecha szczególnie dla tych ludzi, którzy musieli tak zacisnąć pasa, że często nie starczało już dziurek... Generalnie rzecz biorąc rzekłbym, że transformacja w Polsce udała się między innymi dlatego, że jakaś część ludzi w zamian za wyrzeczenia coś jednak otrzymała.

## Przedsiębiorczość obywateli

Bardzo często fakt udostępnienia paszportów obywatelom, co zresztą uczynił jeszcze rząd Rakowskiego w 1988 roku, uważa się wyłącznie za sprawę z dziedziny praw człowieka. Tymczasem ma ona także wymiar ściśle gospodarczy. Przypomnę, że jedna z ustaw pakietu Balcerowicza likwidowała monopol państwa w handlu zagranicznym. Jeżeli dodamy do tego wewnętrzną wymienialność złotego, a więc łatwość w dostępie do dolara, to w połączeniu ze swobodą poruszania się stworzyło olbrzymią płaszczyznę dla nowego rodzaju aktywności gospodarczej dla indywidualnych obywateli oraz małych firm i firemek.

Te drobne podmioty, wyrastające już od początku 1989 roku jak grzyby po deszczu, uzyskały wtedy wielką szansę. Wiele z nich tę szansę wykorzystało. Jednak impuls, który

gospodarka otrzymuje od rzesz obywateli angażujących się w drobną i średnią przedsiębiorczość nie jest wieczny. Dziś tak naprawdę chodzi o to, aby z tych niemal dwóch milionów małych – często rodzinnych – firm utworzonych w pierwszych latach transformacji powstało, powiedzmy, sto tysięcy firm średnich i dziesięć tysięcy firm dużych. Na tej drodze pojawiają się jednak coraz widoczniejsze przeszkody. Właścicielom zaczyna brakować środków finansowych, ale także umiejętności zarządzania. Pamiętamy przecież doskonale firmy rodzinne obracające setkami milionów dolarów i zatrudniające kilkaset osób, które były zarządzane jak, nie przymierzając, wiejski sklepik z artykułami mieszanymi. Takie firmy w większości zbankrutowały, a ich właściciele mieli nawet kłopoty prokuratorskie i sądowe. Nie mówię tu oczywiście o przestępcach gospodarczych. Mówię o ludziach, którym do zarządzania wielkim majątkiem nie starczyło umiejętności, a nie mieli w sobie na tyle samokrytycyzmu i odwagi, aby się do tego przyznać i poprosić o pomoc fachowców.

Są oczywiście i pozytywne przykłady firm, które osiągnęły sukces. Zwiększyły produkcję i sprzedaż także na rynkach międzynarodowych. Dziś jest niemal regułą, że gdy gdzieś daleko, na antypodach, organizowane są jakieś targi, zawsze Polska jest na nich obecna, ale w osobach kilku lub kilkunastu przedsiębiorców, właścicieli firm, których nawet najskrupulatniejszy czytelnik prasy specjalistycznej nie jest w stanie rozpoznać. Pytam tylko, ciesząc się z ich aktywności, czy są oni w stanie na tych rynkach na dłuższy czas się zakotwiczyć. Wydaje mi się, że bez aktywnego wsparcia państwa takiej szansy nie mają. Nie ma w Polsce instytucji, które wspierałyby drobny kapitał. Nie ma instytucji specjalizujących się w „kapitale

wysokiego ryzyka”, które inwestują w różne ryzykowne przedsięwzięcia, mając pełną świadomość, że nie wszystkie „wypalą”, ale jeśli już, to ich zyski będą bardzo znaczące. Działalność tzw. funduszu „Mikro” specjalizującego się w kredytowaniu małych i średnich firm potwierdza, że są one znakomitym, i podkreślić należy, wypłacalnym partnerem.

Rozwój takich inicjatyw na polskim rynku kapitałowym uważam za jedno z najważniejszych zadań. Inicjatywy takie powinny być wspomagane aktywnie przez państwo, w tym przez tak zwane środki pomocy publicznej dla tej grupy przedsiębiorstw. Dzisiaj bowiem najpotężniejszą barierą na drodze ich rozwoju i wzrostu jest brak kapitałów, nawet wtedy, kiedy są dobre pomysły i projekty. Moje rozmowy z przedstawicielami tej grupy polskich przedsiębiorców najczęściej rozpoczynają się od opowieści o swoistym torze przeszkód, jaki muszą oni pokonać, aby otrzymać kredyt.

Nie mamy wreszcie samorządu gospodarczego z prawdziwego znaczenia. Powszechnego samorządu gospodarczego, który by nie tylko bronił interesów prywatnych przedsiębiorców, ale stawał się także rzeczywistym partnerem władz państwowych i samorządowych w kreowaniu polityki gospodarczej. W takich krajach jak Niemcy czy Włochy istnieje on po to, aby wspierać i promować rodzimą przedsiębiorczość. Przykładów siły i skuteczności takich organizacji można szukać także poza Europą. W Indiach np. powiada się, że Konfederacja Przemysłu Indyjskiego jest potężniejsza niż indyjski rząd. Powtarzam raz jeszcze: w Polsce bez wspierania przez państwo małego i średniego biznesu nie pozwolimy mu na wzrost i okrzepnięcie. Ucierpią na tym ludzie z inicjatywą, ale w pierwszym rzędzie regiony mocno zapóźnione w rozwoju, gdzie właśnie, jak pokazują przykłady z różnych krajów, mały i średni biznes jest najbardziej aktywny.

Podkreślenia wreszcie wymaga i to, że mała i średnia przedsiębiorczość to kapitał rodzimy. Jest to tym bardziej warte wypuklenia, że toczy się obecnie w Polsce (i zapewne toczyć się będzie jeszcze wiele lat) dyskusja na temat wysokości udziału kapitału obcego w gospodarce narodowej. Mówi się przecież o nadobecności obcego kapitału w bankowości, o „wynaradawianiu” całych sfer życia gospodarczego. Tej akurat dyskusji, mimo że w kręgach ultraliberalnych jest wykpiwana, nie mamy się co wstydzić. Tego typu argumenty występują na całym świecie. Także państwa, które na zewnątrz głoszą „globalizację”, „pełne otwarcie”, w praktyce faworyzują własny kapitał i rodzimy biznes. Dlaczego my nie mamy robić tego samego? Oczywiście tam, gdzie dopływ kapitału jest niezbędny jak tlen dla żywego organizmu musimy go zachęcać do inwestycji. Ale wspierać drobny i średni biznes też musimy. Nie zawaham się powiedzieć, że tego wymaga gospodarca polska racja stanu.

Wróćmy jednak do głównego wątku. Warte podkreślenia jest to, że plan Balcerowicza był wprowadzany w bardzo korzystnej sytuacji międzynarodowej. Polska jako pierwsza zaczynała transformację i przez przysłowiowe „5 minut” skupiliśmy na sobie uwagę świata. W takich warunkach można było liczyć na wsparcie. Było ono zresztą początkowo śladowe, a poważne kapitały zaczęły do Polski napływać parę lat później. Niemniej trzeba pamiętać o funduszu stabilizacyjnym złotego, a także o tym, że pojawił się wtedy z naszej strony postulat redukcji naszego zadłużenia zagranicznego. Najpierw traktowany był niemal jak typowa polska bezczelność, a później okazał się być bardzo dobrym interesem i dla Polski, i dla wierzycieli. Dla nas, bo umożliwił nam funkcjonowanie na rynku finansowym, było nas



wreszcie stać na zapłatę kosztów długu. A wierzyciele otworzyli sobie w ten sposób nasz rynek, który bez oddłużenia otwierałby się dłużej i nie byłby tak atrakcyjny.

## Zmniejszyć koszty społeczne i ożywić gospodarkę

Nie należę do ludzi, którzy kiedykolwiek podważaliby zasługi Leszka Balcerowicza i innych reformatorów z pierwszych rządów solidarnościowych. Jeśli już jednak o zasługach mowa, to zawsze podkreślam, że trzeba przede wszystkim pamiętać o zasługach milionów bezimiennych Polaków. To bowiem ich wyrzeczenia i cierpliwość umożliwiły zarówno start transformacji, jak i jej pomyślny przebieg.

Od początku polskim przemianom towarzyszyło pytanie o skalę społecznych kosztów reform. Trudno dziś wyrokować, czy te koszty mogły być mniejsze. Nie dziwię się więc, że gdy na przełomie 1989 i 1990 roku społeczna aprobata dla rządu Tadeusza Mazowieckiego sięgała 90 procent, Balcerowicz chciał iść z reformami do przodu tak daleko, jak tylko się da. Na pewno jednak odpowiedzialna polityka gospodarcza nie może od tych kosztów abstrahować. Je również trzeba uwzględniać w ogólnym bilansie. Jeśli się tego nie czyni, trzeba liczyć się z konsekwencjami.

Z woli wyborców, jesienią 1993 roku, doszło do zmiany ekipy rządowej. W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć o atmosferze, w jakiej przyszło przejmować władzę koalicji SLD-PSL. Reakcje były bardzo nerwowe, a niekiedy historyczne. Profesor Winiecki z hukiem zrezygnował z posady w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju. Ileż wtedy napisano, jakie to plagi spadną na Polskę pod rządami

lewicy: a to że w sklepach znowu będzie tylko ocet, a to że wróci gospodarka ręcznie sterowana, że znowu się wszystko upaństwowi, że Zachód się od nas odwróci itd. itp. Te, śmieszne z dystansu czasowego, konfabulacje czynione przez bardzo światłych polityków i publicystów świadczą, jak trudno jest być „prorokiem we własnym kraju”, jak niechęć polityczna prowadzić może do ocen i prognoz krzywdzących dla konkurentów, a w tym konkretnym przypadku także szkodliwych dla całego państwa i gospodarki.

Tymczasem, pomijając całą emocjonalną retorykę, istotą rzeczy było pytanie: czy przejmująca władzę lewica będzie chciała i czy będzie w stanie poprowadzić Polskę ku gospodarce rynkowej. Na to pytanie nowa ekipa rządu udzieliła w latach 1993–1997 odpowiedzi zdecydowanie pozytywnej. Czuję się z oczywistych względów współodpowiedzialny za tę politykę i za jej efekty.

Przez niemal trzy lata za kwestie gospodarcze w rządzie odpowiadał Grzegorz Kołodko. Do rządu wszedł nie sam, ale z całym gronem współpracowników, którzy zostali rozmieszczeni w różnych resortach. Pozwoliło mu to spojrzeć na politykę gospodarczą całościowo. Jego, opublikowane wkrótce po objęciu stanowisk rządowych dzieło *Strategia dla Polski* miało za główne cele uporządkowanie gospodarki, przywrócenie w niej ładu i dyscypliny. Strategia zapowiadała także konieczność reformy ubezpieczeń społecznych i przygotowania do tej reformy rzeczywiście ruszyły z miejsca. Grzegorz Kołodko, nie ukrywajmy, nadawał kreowanej przez siebie polityce wyraz autorski. *Strategia dla Polski* stała się więc nie tylko programem gospodarczym rządu, ale także jego osobistym materiałem marketingowym, szeroko upowszechnianym w kraju i zagranicą.

Jednak, bodaj czy nie najważniejszym pytaniem, jakie do dziś sobie stawiamy, jest to, czy polityka SLD-PSL była jedynie kontynuacją reform rozpoczętych wcześniej. Moim zdaniem oczywiście tak – była to kontynuacja ale nie automatyczna, reagująca na potrzeby chwili, wykorzystująca możliwości, jakie wtedy się przed gospodarką pojawiły. Zaczynajmy może od tego, że koalicja SLD-PSL obejmowała władzę, kiedy gospodarka jako całość była ciągle jeszcze w stanie bardzo widocznej zapaści. Dopiero zaczęły się pojawiać pierwsze sygnały ożywienia gospodarczego, ale tymczasem finanse państwa były w stanie opłakanym. Wprawdzie wcześniej wprowadzono podatek VAT, który stał się jednym z głównych źródeł dochodów budżetowych (przede wszystkim dlatego, że zatroszczono się od razu o możliwości jego bezwzględnego egzekwowania). Jednak nie zmieniło to w znaczącym stopniu sytuacji gospodarczej.

Grzegorz Kołodko w pełni świadomy stanu gospodarki, dostrzegł konieczność jej ożywienia. Gospodarka wprawdzie sama zaczęła nieco odbijać się od dna, ale przez pierwsze dwa lata rządów SLD-PSL był to wzrost prawie bezinwestycyjny. Wówczas politycy i ekonomiści mieli poważne wątpliwości, czy jest to faktyczne ożywienie. Z perspektywy czasu myślę, że był to dowód na to, że firmy zaczęły myśleć po nowemu – oszczędzać każdy grosz, a do rozwoju wykorzystywać najprostsze rezerwy, a więc przeorganizować posiadane zasoby, pozbyć się zbędnych, po prostu racjonalizować swój kształt. Zaslugą Kołodki jest to, że wspomógł ten rozwój, wprowadzając do systemu podatkowego ulgi inwestycyjne. Te ulgi wpierw poddane zostały ostrej kontestacji przez ówczesną opozycję, a następnie w 1999 roku zlikwidowane. Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że spełniły jednak z nawiązką swoją rolę.

Przed wszystkim były one jednym z najważniejszych źródeł ożywienia inwestycyjnego, które tak naprawdę zaczęło się w Polsce na przełomie lat 1994–1995. Można powiedzieć, że to właśnie wtedy, pod rządami koalicji SLD–PSL Polska wkroczyła na dobre w fazę modernizacji. Polityka makroekonomiczna straciła swoją dramatyczną ostrość, za co byliśmy mocno krytykowani przez środowiska ultraliberalne, gdyż w przeciwnym wypadku wzrost gospodarczy zostałby zduszony. Stworzono różne zachęty prorozwojowe – wspomniana już ulga inwestycyjna, ale też ulga eksportowa, a z drugiej strony zadbano i o to, aby stopniowo i konsekwentnie ograniczać inflację.

Słynne ówczesne powiedzenie Kołodki „co ma rosnąć rośnie, a co ma spadać spada” okazało się prawdziwe. Stopniowo zaczęło także spadać bezrobocie. Przypomnę, że w szczytowym okresie przewyższało ono 17 procent, aby pod koniec rządów SLD–PSL osiągnąć pułap niewiele wyższy niż 10 procent. Był to więc okres, w którym bardzo umiejętnie godzono stabilizowanie gospodarki z wejściem na ścieżkę wysokiego wzrostu gospodarczego.

Warto zauważyć i to, że w latach 1993–1997 mieliśmy potężne ożywienie w eksporcie, który się podwoił, a w niektórych dziedzinach nawet potroił. Właśnie wtedy Polska i to całkiem zasłużyła zyskała sobie miano „tygrysa Europy” lub, jak mówił Kołodko, „wznoszącego się orła”. Polska zaczęła właśnie wtedy być postrzegana jako lider transformacji. Pod względem dynamiki rozwoju inne kraje naszego regionu zaczęły wyraźnie zostawać za nami w tyle. Zwracam też uwagę, że był to czas, w którym wyraźnie rosły płace realne, rosły dochody, ludzie posmakowali pierwszych owoców transformacji. Owocami tymi nie były przy tym obdzielane jedynie jakieś społeczne enklawy. Objęło

to szerokie społeczne rzesze. Ludzie zaczęli modernizować swoje gospodarstwa domowe, masowo kupować nie tylko samochody, ale i inne dobra trwałego użytku. Wzrósł wyraźnie społeczny optymizm.

## Prywatyzacja i komercjalizacja

Ważnym problemem, przewijającym się od początku procesu transformacji, była odpowiedź na pytanie: jak zarządzać wciąż bardzo dużym sektorem państwowym w gospodarce, skoro prywatyzacja idzie powoli, nie przeprowadziliśmy (na szczęście) masowego uwłaszczenia, a NFI objęły jedynie część tego sektora. Pamiętam wielką dyskusję o programie komercjalizacji przedsiębiorstw, której protagonistą był ówczesny wiceminister Jan Monkiewicz. Jego koncepcja została wprowadzona, mimo jej totalnej krytyki ze strony ówczesnej opozycji, która widziała w niej wyłącznie sposób na budowanie imperiów ekonomicznych przez ludzi starego systemu. A jednak – przecież gdyby nie ta komercjalizacja, a więc przekształcenie przedsiębiorstw państwowych w spółki prawa handlowego, to dzisiaj nie mielibyśmy możliwości porządnego ich sprywatyzowania, o znalezieniu inwestorów strategicznych nie wspominając. Był to zabieg konieczny i należy tylko wyrazić wdzięczność ówczesnej ekipie, że go przeprowadziła mimo obraźliwej wręcz kontestacji ze strony parlamentarnej i pozaparlamentarnej opozycji, a więc ugrupowań, które od trzech niemal lat sprawują w Polsce władzę i dziś same chętnie korzystają ze skutków tamtych uregulowań.

W tym miejscu nie sposób nie odnieść się do procesu prywatyzacji, który jak żaden wzbudza i chyba wzbudzać

będzie nadal emocje i kontrowersje. Prywatyzacja rozpoczęta za rządów Tadeusza Mazowieckiego została niemal zastopowana za rządów Jana Olszewskiego, by znowu przyspieszyć za rządów Hanny Suchockiej i być wyhamowaną za premierostwa Waldemara Pawlaka. Przyspieszenie nastąpiło w drugiej połowie kadencji rządów SLD-PSL i to tak dalece, że gdy w 1997 roku miało miejsce jej apogeum, to koalicja została natychmiast oskarżona, że zawłaszcza gospodarkę prywatyzując zdecydowanie za szybko. Przełomem psychologicznym w podejściu do prywatyzacji było, moim zdaniem, uruchomienie programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Dziś program ten oceniany jest krytycznie. Wiele nadziei, jakie wiązały z nim firmy, pozostało tylko nadziejami. Nie można jednak w całości rysować go jedynie w czarnym kolorze. Całkowitą klapą zakończyła się jego część „uwłaszczeniowa”. Ludzie nie uzyskali w jej rezultacie praktycznie nic. To oczywiście nie jest zjawiskiem pozytywnym, jednakże z drugiej strony pozwala z większym dystansem patrzeć na pojawiające się dawniej i obecnie różnie szalone pomysły uwłaszczeniowe. Z drugiej jednak strony w ramach programu NFI udało się zrestrukturyzować wiele przedsiębiorstw, dla wielu znaleźć inwestorów strategicznych, dokonała się także prywatyzacja Narodowych Funduszy Inwestycyjnych, które w większości stają się segmentem polskiego rynku kapitałowego. Pozostaje oczywiście pytanie, czy efekty tego programu są na miarę oczekiwań, jakie z nim wiązano.

Nie mogę nie zastanowić się nad następującą sprawą. Co stałoby się, gdyby Leszek Balcerowicz – faktyczny likwidator gospodarki socjalistycznej i twórca podstaw gospodarki rynkowej – kierował polską gospodarką w latach 1993–1997. Twierdzę otóż, że byłoby to złe dla państwa,

dla społeczeństwa i samego Leszka Balcerowicza. Krajowi, ludziom potrzebna była nie tylko chwila oddechu, ale stosując terminologię wojskową, podciągnięcie tyłów, uporządkowanie instytucji i przygotowywanie się do następnego kroku. Jeżeli będziemy przez rozwój rozumieć konwulsje społeczne, to jestem tego zdeklarowanym przeciwnikiem. Myślę, że konwulsje czasem się zdarzają, ba – bywają nawet ozdrowieńcze. Gdy jednak trwają zbyt długo, lub powtarzają się zbyt często, pacjentowi grozi zejście śmiertelne. Rolą Kołodki było uspokojenie wzburzonych polityką Balcerowicza fal społecznych. Ten barwny, ostrożny i w gruncie rzeczy konserwatywny ekonomista bardzo się do tego nadawał.

## Reformy – dzieło pragmatyków

I podkreślmy – Grzegorz Kołodko nie był jedynym ostrożnym pragmatykiem sterującym polską gospodarką. Ważnego źródła sukcesu transformacji upatruję w ekonomicznym pragmatyzmie kolejnych polskich rządów, włączając w to także rząd Tadeusza Mazowieckiego. Pamiętam przecież doskonale ultraliberalne manifesty Leszka Balcerowicza, słynny *zwischenruf* Tadeusza Syryjczyka – ministra przemysłu w tamtym rządzie, że „najlepszą polityką przemysłową jest brak takiej polityki” i wiele innych, które zostały ostro zweryfikowane przez praktykę życia gospodarczego. Jednocześnie, trzeba przyznać, politycy ci – jakby wbrew swej retoryce – działali dość pragmatycznie. Po prostu, choć na pewno byli liberałami z przekonania, to nie wierzyli, że niewidzialna ręka rynku naprawdę w pełni i szybko zadziała. Mówiąc z przymrużeniem oka, to choć byli przekonani, że przedsiębiorstwa nie będą podnosić płac

ponad zdrowy rozsądek i możliwości finansowe firm, to jednocześnie na wszelki wypadek wprowadzono słynny popiwek, aby jednak nie ulegać zbyt roszczeniom płacowym załóg. I choć wówczas szczególnie robotnicy nienawidzący tego podatku uważali go za skrajnie liberalny, to faktycznie był on skrajnie nieliberalny, bo wprowadzał do gospodarki elementy „ręcznego sterowania”.

Reformatorzy nie mogli także uwierzyć, że banki będą funkcjonować racjonalnie i w związku z tym wyznaczyli, w iście nakazowo-rozdzielczym stylu, limity kredytowe. Było to oczywiście bardzo słuszne, bo system bankowy należało zdyscyplinować. Była to więc decyzja pragmatyczna, ale na pewno nie liberalna. A przypomnijmy sobie przygotowaną w 1992 roku, a uchwaloną w 1993 ustawę o restrukturyzacji banków i przedsiębiorstw, która pozwoliła bankom „złapać drugi oddech”, a wielu państwowym wielkim przedsiębiorstwom dała drugą szansę. To wcale nie były posunięcia liberalne, ale w Polsce przyniosły pozytywne rezultaty.

Przykładem takiego pragmatyzmu była także i jest nadal polityka kursowa. Bardzo szybko odeszliśmy od sztywnego kursu waluty i wprowadziliśmy kurs pełzający. Co prawda zwiększało to nieco inflację, ale zapobiegało sztucznemu zawyżaniu kursu złotego i dało naszym eksporterom trochę więcej czasu na dostosowanie się. I wprawdzie inflacja była większa, ale i wzrost gospodarczy wyższy niż w państwach utrzymujących sztywny kurs waluty. Na początku transformacji całkowicie otworzyliśmy granice i zlikwidowaliśmy cła. Zaczęła funkcjonować niemalże „wolna amerykanka”. Kiedy jednak skończył się dla naszych przedsiębiorstw impuls rozwojowy związany z dewaluacją złotego w styczniu 1990 roku oraz liberalizacją handlu zagranicznego, to pragmatycznie, ale konsekwentnie, wprowadzono



czasem niemal zaporowe cła. Znacznie później trzeba było je demontować, realizując nasze zobowiązania w stosunku do Unii Europejskiej. W sumie więc w polityce gospodarczej początków transformacji skrajny liberalizm obecny był raczej tylko w słowach. W praktyce powstał specyficznie polski „liberalizm pragmatyczny”, co wyszło nam wszystkim zdecydowanie na zdrowie.

Trzeba też powiedzieć, że nie przyjmowaliśmy bezkrytycznie wszystkich rad ekspertów zagranicznych, które brzmiały: walczyć z inflacją, prywatyzujcie i liberalizujcie gospodarkę, za całą resztę odpowiedzialny będzie mechanizm rynkowy i wszystko się jakoś ułoży. Jak błędne były to rady, pokazał najdobitniej przykład Rosji, gdzie usiłowano wcielić go w życie. Naszym wielkim sukcesem jest to, że nigdy tych rad nie posłuchaliśmy. Nie poszliśmy zatem na szokową prywatyzację, w postaci np. prywatyzacji kuponowej. Gdybyśmy ulegli nie tylko zresztą doradcom zagranicznym, ale i rodzimym demagogom, mielibyśmy dziś w Polsce sytuację taką jak w Rosji, gdzie doprowadziło to do hurtowego złodziejstwa, czy w Czechach, gdzie znacznie skomplikowało to sytuację gospodarczą.

W Polsce postąpiliśmy o wiele racjonalniej. Zamiast żywiołowo liberalizować przepływ kapitału, prywatyzować, aby tylko rozdać i pozbyć się odpowiedzialności za własność państwową, zaczęliśmy stopniową, trudniejszą, mniej efektywną, ale o ile owocniejszą drogę budowania instytucji. Zbudowaliśmy przyzwoity system bankowy kontrolowany przez nadzór bankowy, Zbudowaliśmy całkiem sprawny system podatkowy, o którym można powiedzieć wiele krytycznych słów, przy którym ciągle usiłuje się majstrować lub który chce się rewolucyjnie zmieniać. Jednego tylko nie można mu odmówić – okazał się być fiskalnie sprawny, podatki są sprawnie ściągane, a wbrew pojawiającym się tu

i ówdzie opiniom nie hamuje wzrostu gospodarczego (a przynajmniej nie zahamował osiągnięcia przez nasz kraj najwyższego wzrostu w tej części kontynentu), z braku wpływów podatkowych budżet nie przeżywa poważnych trudności, czego nie można powiedzieć o innych krajach regionu. Poszliśmy więc własną drogą może trudniejszą i bardziej wyboistą, ale na pewno skuteczniejszą, bo w odróżnieniu od tych, którzy wspomniane rady przyjęli z całym dobrodziejstwem inwentarza, u nas gospodarka rynkowa ma się nie najgorzej.

## Reformy to nie konkurencja sportowa

Często słyszy się utyskiwania, że społeczeństwo staje się konserwatywne, że pragnie w pierwszym rządzie stabilizacji. A czegoż to innego społeczeństwo ma chcieć? Świat zmienia się dosłownie z dnia na dzień i każdy, nawet jeśli tego głośno nie mówi, oczekuje na dłuższą chwilę spokoju – także od reform i reformatorów.

W tym miejscu chciałbym nieco dłużej zatrzymać się nad polityką gospodarczą prowadzoną przez rząd Jerzego Buzka. Obejmując władzę w 1997 roku koalicja AWS–UW otrzymały w spadku po czteroletnich rządach SLD–PSL gospodarkę w bardzo dobrym stanie. Był stały, sięgający 7 procent rocznie wzrost gospodarczy, malała inflacja, bezrobocie było najniższe od 1989 roku, rosły inwestycje zagraniczne i eksport polskich towarów, chociaż wyraźnie rysowały się również „strukturalne bariery” dla jego wzrostu. Wiedząc o tym, z tym większym rozbawieniem obserwowałem próby propagandowego dezawuowania rządów SLD–PSL w tak zwanym „bilansie otwarcia”. Żenujący

poziom tego dokumentu i jego ideologiczna nachalność sprawiły, że odcięła się od niego znaczna część rządu.

Koalicja AWS–UW zapowiedziała realizację kilku ważnych reform społecznych, a jednocześnie przyspieszenie wzrostu gospodarczego. W pewien sposób kłóciło się to z tezami o konieczności „schładzania” gospodarki. O tym schłodzeniu zapomniano jednak natychmiast, zapowiadając błyskawiczny wzrost rządu 8–9 procent rocznie i niemalże powszechną szczęśliwość. Tymczasem gospodarka pozostała nieczuła na zakłęcia i zaczęła nieuchronnie zwalniać. Nałożyły się na to rezultaty kryzysu rosyjskiego, który co prawda można było przewidzieć, albo przynajmniej liczyć się z jego skutkami dla polskiej gospodarki. Lata 1998–1999 nie były dla gospodarki najłatwiejsze. Zaczęło niepokojąco rosnać bezrobocie, inflacja i co (jak twierdzą ekonomiści) jest najniebezpieczniejsze – utrzymujący się wzrost gospodarczy był pochodną niemalże wyłącznie wzrostu popytu wewnętrznego. Nie to jednak w okresie trzylecia rządów AWS–UW jest najistotniejsze.

Przypomnę, że koalicja ta ustami premiera zapowiedziała przełom. W praktyce polegało to na tym, że w ideologiczny i tendencyjnie nieprawdziwy sposób oceniono rządy poprzedniej koalicji, zapowiadając powszechną szczęśliwość pod rządami AWS–UW. Zapowiedziano wprowadzenie czterech wielkich, bez wątpienia, potrzebnych reform społecznych.

Grzechem tego procesu reform było to, że zaczęto przy nich majstrować. Deklarowano ich polepszenie, a jednocześnie je psuto. Reformy były przyjmowane w atmosferze niemalże gorączki – wyczynowego reformowania. Skutki tego są widoczne. Myślę, że to na skutek właśnie tej gorączki, były prezes ZUS podjął tragiczną w skutkach decyzję o wycofaniu się ze starego systemu informatycznego i przejściu na nowy system, który jeszcze nie istniał. Kolejnym

wreszcie grzechem owego szerokiego frontu reformowania było to, że z góry było wiadomo, że nie mają one szansy być w wystarczający sposób sfinansowane. Myślę, że ten rząd, a na pewno jego ówczesny minister finansów, wiedział o tym doskonale. Napisał zresztą o tym w *Strategii średniookresowej finansowej państwa*. Okrzyknięty hamulcowym reform bardzo szybko się ze swych poglądów wycofał, autoryzując zasadę finansowania reform ze środków bieżących.

Tyle może o reformach. Pozostaje jeszcze refleksja ogólna na temat polityki gospodarczej koalicji AWS–UW. I znowu nie sposób abstrahować od kierownika tej gospodarki od listopada roku 1997 do czerwca 2000 – Leszka Balcerowicza. Wydaje mi się, że obejmując po kilkuletniej przerwie te same funkcje co w 1989 roku, zamierzał on powtórzyć swoje historyczne doświadczenia. Tymczasem wokół wszystko się zmieniło. Odmienna jest sytuacja gospodarcza – w Polsce mamy do czynienia z nieźle funkcjonującą gospodarką, a nie z gospodarką w rozsypce. Mówiąc krótko: teraz jest tyle samo do zniszczenia, co na początku transformacji do naprawienia. Zmieniła się także sytuacja polityczna. Jest pełnokrwista opozycja parlamentarna, a nawet silna opozycja w ramach koalicji rządzącej, na którą Balcerowiczowi – szefowi Unii Wolności – trudniej było wpływać niż Balcerowiczowi wynajętemu technokracie.

Zmieniła się także paradoksalnie rola Ministerstwa Finansów. Na początku transformacji był to prawdziwy ośrodek reformatorski, obecnie jest ono tym, czym być powinno – ministerstwem budżetu i podatków. Władza ministra finansów staje się (z czym chyba Leszkowi Balcerowiczowi trudno było się pogodzić) „władzą negatywną”, tzn. może on nie dopuszczać do pewnych rzeczy, które mu się nie podobają tylko w ten sposób, że nie da na nie pieniędzy.

Wielkie reformy praktycznie tym razem odbyły się poza ministrem finansów. Jediną reformą, którą Balcerowicz zamierzał przeprowadzić, to dokończenie w Polsce „liberalnej rewolucji”. W tym mieści się i koncepcja podatku liniowego, i radykalne obniżenie udziału państwa w gospodarce, ograniczanie wysokości budżetu bez zwracania uwagi na konsekwencje społeczne. Analizując program owej „rewolucji liberalnej”, czy wręcz libertariańskiej, trzeba zadać sobie pytanie: czy w Polsce możliwe jest wprowadzenie systemu amerykańskiego? Lub inaczej: czy w Polsce można zaimplantować amerykańską wersję gospodarki liberalnej? W Polsce, która ma swoje tradycje, która ma aspiracje do wejścia w skład Unii Europejskiej? To bardzo poważne dziś pytanie, a nasuwająca się od razu odpowiedź negatywna nie jest chyba zgodna z wizją Balcerowicza.

## Kapitał nie ma narodowości?

Nie sposób nie wspomnieć o problemie, który wzbudza wielkie emocje. Chodzi o udział kapitału zagranicznego w procesie prywatyzacji banków. Na dobrą sprawę to w Polsce do sprywatyzowania pozostało już bardzo niewiele banków. Te, które zostały już sprywatyzowane (a więc przytłaczająca większość sektora), dostały się w ostateczności w ręce strategicznego inwestora zagranicznego.

W żadnym znanym mi państwie zachodnim takiego wzorca prywatyzacji sektora bankowego nie przeprowadzono. W owych wysoko rozwiniętych państwach jedynie 10 do 15 procent kapitału bankowego znajduje się w rękach cudzoziemców. Wyjątkiem jest Wielka Brytania, mająca tradycyj-

nie bardzo zinternacjonalizowany system bankowy i część krajów transformacji – Węgry i Czechy, kraje bałtyckie.

Pozostaje zatem otwarte pytanie, czy podążamy właściwą drogą? Z jednej strony zagraniczni inwestorzy podnoszą kapitał banków, wnoszą nowe technologie, z drugiej jednak nie można zlekceważyć tych, którzy głoszą, że zagraniczny właściciel banku zaczyna decydować o całkiem poważnej części gospodarki. Właściciele banków decydują lub współdecydują o losach znacznej części przedsiębiorstw, czy nawet całych sektorów i branż, poprzez kreowanie polityki kredytowej.

Niektórzy twierdzą, że kapitał nie ma narodowości – być może tak jest, ale z pewnością narodową tożsamość mają firmy. To samo można powiedzieć o przytłaczającej większości banków. Wyobraźmy sobie (czy naprawdę teoretyczną?) sytuację, w której bank, będący udziałowcem zagranicznej firmy przemysłowej odmawia kredytowania jej polskiej konkurentce i to ze względów pozabankowych. Nie bądźmy więc idealistami.

Proszę jednak nie rozumieć, że uważam, iż należy wstrzymać prywatyzację banków. One powinny być sprywatyzowane, ale w sposób gwarantujący ich polską identyfikację, ze znaczącym choć biernym udziałem Skarbu Państwa. Piszę o tym dlatego, że całkiem niedawno obserwowałem zadziwiające kontredanse wokół bodaj czy nie najważniejszego polskiego banku PKO BP. To jest przecież „polski bank szarego człowieka”: kilka milionów osób posiada tam ROR, ponad 400 tysięcy małych i średnich firm prowadzi tam swoje rachunki. I właśnie wokół tego banku wykonywano niebywały wręcz spektakl niekompetencji w nadzorze właścicielskim. Okazało się oto, że część rady nadzorczej (zainstalowanej tam przez rządzącą koalicję) odwołuje prezesa i to, szczerze mówiąc, z niewiadomych powodów, a parę dni

później Komisja Nadzoru Bankowego (a więc też państwo ale już w bardziej kompetentnej postaci) tegoż zawieszono prezesa powołuje na kuratora banku, a więc kogoś, kto jest postawiony ponad zarządem po to, aby realizował opracowany przez siebie program rozwoju PKO BP. Oznacza to, że albo ów nadzór właścicielski jest bardzo ułomny, albo ktoś wykonuje „skok” na ten bank, by zrealizować partykularne (polityczne, a może i nie polityczne) interesy.

W prywatnej firmie coś takiego nie mogłoby się chyba wydarzyć. Stąd też wcale nie apeluję, aby zostawić ten bank w rękach państwa – musi on stać się bankiem publicznym, a więc obecnym na giełdzie i podporządkowanym jej rygorom.

Najważniejsze jednak w tym kontekście pozostaje pytanie, stawiane dzisiaj przez wielu niezależnych ekspertów i ekonomistów, jakie instrumenty kształtowania polityki sektora bankowego wobec potrzebujących kapitałów na rozwój i modernizację wielu sektorów polskiej gospodarki posiada rząd. Jak zamierza „wpływać” na sektor bankowy, aby był on „udziałowcem” polityki gospodarczej rządu.

## Nie popadajmy w huraoptymizm

Z perspektywy ponad dziesięciu lat od chwili rozpoczęcia procesu transformacji polskiej gospodarki, mimo wielkich kosztów społecznych i wielu nie załatwionych spraw, na pewno mamy powody do satysfakcji. Bez wątpienia Polska na tle regionu odniosła olbrzymi sukces. Dokonania Polski w ostatnim dziesięcioleciu są ogromne. To, co udało się nam osiągnąć w innych państwach, wymagało lat kilkadziesiąt. Przestrzegam jednak przed „huraoptymizmem”. Musimy mieć ciągle na uwadze, że nasz sukces jest względny.

W dalszym ciągu przecież jesteśmy krajem ubogim, konkurencyjność naszej gospodarki, choć się podnosi, nie jest za wysoka, nie dokonaliśmy znaczącego przełomu w wyrównywaniu szans rozwoju poszczególnych regionów kraju. Nasiłają się nierówności społeczne. Musimy więc ciągle szukać takich rozwiązań, które z jednej strony sprzyjać będą rozwojowi gospodarki, a z drugiej pozwolą korzystać z jej dobrodziejstw coraz większej rzeszy ludzi. Z wielu względów nie wolno utracić akceptacji społecznej dla procesu zmian, pozostawiać na ich marginesie dużych grup społecznych. Skala wyzwań – co obrazują zapisy w rządowej *Strategii finansów publicznych i rozwoju gospodarczego. Polska 2000–2010* – jest ogromna: stworzenie około 3–4 milionów miejsc pracy dla ludzi młodych, wchodzącego w dorosłe życie pokolenia wyżu demograficznego lat 80., aktywna walka z bezrobociem, rosnący deficyt w wymianie handlowej z zagranicą, poprawa konkurencyjności polskich przedsiębiorstw i całej polskiej gospodarki, konieczność inwestowania w rozwój nauki i nowoczesny system edukacyjny, aby lepiej przygotować się do udziału w globalnej gospodarce, to węzłowe problemy, które przyjdzie nam rozwiązywać.

Grożą nam przy tym różne niebezpieczeństwa. Na krótką metę grozi nam po prostu bolesna wywrotka. Dzisiaj, a więc w czerwcu 2000 roku, widać już bardzo wyraźnie, że deficyt na rachunku obrotów bieżących niebezpiecznie się rozwiera. Przekroczyliśmy już wszelkie zakreszone przez ekonomistów granice bezpieczeństwa. Stąpamy zatem po bardzo cienkim lodzie. Pytanie brzmi: czy i kiedy ten lód się załamie?

Można oczywiście powiedzieć, że ten deficyt jest bezpiecznie finansowany, że jest rzeczą naturalną, będącą konsekwencją olbrzymiego napływu inwestycji zagranicznych. Ekonomiści powiadają przecież, że takie inwestycje



najpierw powodują narastanie importu, a dopiero po jakimś czasie splacają się zwiększonym eksportem. Na razie jednak, mimo pozytywnych sygnałów dotyczących np. eksportu przemysłu samochodowego, oczekiwanej i koniecznej „skali przełomu” nie widać. Jesteśmy więc w sytuacji bardzo trudnej, bo w każdej chwili grozić nam może twarde lądowanie, a więc osłabienie waluty polskiej ze wszystkimi przykrymi tego konsekwencjami: większą inflacją, zwiększonymi kłopotami tych przedsiębiorstw, które importują surowce, półprodukty i maszyny.

Zastanawiam się, czy rząd oprócz prowadzenie normalnej, „codziennej” polityki gospodarczej nie powinien zastanowić się także nad dwiema sprawami. Po pierwsze: jak reagować, gdyby doszło do wyżej opisanej sytuacji ekstremalnej w gospodarce, opracować jakiś plan awaryjny. Na początku 1999 roku zwołałem Radę Gabinetową, gdzie postawiłem rządowi konkretne pytania, np. co będzie, jak deficyt handlowy osiągnie 8 procent. Zbyto mnie pełnymi pewnością stwierdzeniami, że ten rząd do takiego deficytu nigdy nie dopuści. Dzisiaj, zaledwie rok po tym wydarzeniu, deficyt na rachunku obrotów bieżących przekroczył tę granicę. Pakietu rozwiązań nadal nie ma...

Po drugie: czy jeżeli jest taka możliwość, nawet teoretyczna, że taki zły wariant rozwoju sytuacji się pojawi, nie warto niejako wyprzedzająco przedsięwziąć kroki, które złagodząby ewentualne problemy. Mogłyby one dotyczyć choćby wspierania eksportu czy polityki kursowej. Prezydent nie odpowiada za politykę gospodarczą, ale to są bardzo poważne problemy związane już ze sferą bezpieczeństwa narodowego, przed którymi stoi ten rząd i przed którymi stanie każdy następny. Uważam, że nie można lekceważyć żadnych sygnałów ostrzegawczych, które pojawiają się w różnych miejscach naszej gospodarki.

## Co nas czeka

W okresie kilku lat przed polską gospodarką stoją poważne wyzwania. Pierwsze, to jak pogodzić wymogi dynamiki gospodarczej (nadal przecież będziemy musieli doganiać świat) z wymogami równowagi. Wiadomo, że równowaga gospodarcza jest w Polsce bardzo krucha i wahliwa. Kiedy pytam ekonomistów, jak tę równowagę ustabilizować, zawsze pada podobna odpowiedź: trzeba umacniać dyscyplinę budżetową i likwidować budżetowy deficyt. Trzeba więc wiedzieć, jak to zrobić. Jak to osiągnąć, jednocześnie zapewniając współfinansowanie przez państwo wysiłków modernizacyjnych. Przecież już wiemy, że autostrad nie zbuduje nam kapitał prywatny, że kapitał prywatny nie zrestrukturyzuje nam górnictwa, hutnictwa i innych trudnych dziedzin gospodarki. Kolejne wielkie wyzwanie – co raz jeszcze mocno podkreślam – niesie zbliżający się wyż demograficzny. Potrzebne będą nowe miejsca pracy.

Nie można także nie dofinansować rozpoczętych i – co widać gołym okiem – wymagających poważnych korekt reform, nie można w końcu nie dofinansować koniecznego wysiłku restrukturyzacyjnego w rolnictwie. Problem restrukturyzacji polskiego rolnictwa staje się dzisiaj jednym z najpoważniejszych narodowych wyzwań przełomu wieków i tysiącleci. Wielkie nadzieje wiąże z paktem dla wsi. Wiem, że rząd pracuje nad programem polityki rozwoju regionalnego. Tej sprawy nie możemy zaniedbać, bo od tego zależy m.in. nasza zdolność do absorpcji funduszy pomocowych Unii Europejskiej. Jeżeli Unia Europejska obiecuje nam miliardy, a może nawet, w perspektywie, dziesiątki miliardów euro, to nie zapominajmy, że aby

je otrzymać, będziemy musieli z własnych środków dołożyć najpierw 25, a później 50 procent. Te środki będą musiały znaleźć się w budżecie. Jak to zrobić? To właśnie był jeden z czynników, który legł u podstaw mojej decyzji o zawetowaniu rządowego projektu podatków od osób fizycznych. Bo czy przed takimi wyzwaniem jakie nas oczekują, możemy trwale obniżyć wpływy z tytułu podatków?

Średnioterminowy program rozwoju przewiduje, że w najbliższych latach wzrost produktu krajowego brutto będzie oscylował w pobliżu 5 procent. Równocześnie zakładamy zbijanie inflacji, zmniejszenie deficytu budżetowego, zwiększenie eksportu. Sądzę, że te cele są ambitne, ale zarazem realne. Uważam, że dążenie do ich realizacji jest cywilizacyjnym, ponadpartyjnym zadaniem.

Najważniejsze jest jednak to, że jeśli dotychczas przyrównywani byliśmy do innych państw regionu, gdzie słusznie uznawano nas za „prymusa”, to teraz przeszliśmy już do nowej, wyższej klasy, którą jest Unia Europejska, a w każdym razie jej przedsiónek. Coraz częściej będziemy porównywani zatem z Portugalią, Hiszpanią, Grecją nawet Irlandią, może nie tą dzisiejszą ale np. sprzed 10 lat. To z jednej strony jest wielka nobilitacja, która jednak powinna nas nieco otrzeźwić. Musimy być świadomi, że jesteśmy ciągle na dorobku, że przez całe dziesięciolecia musimy rozwijać się szybciej niż inni, żeby wypełnić lukę cywilizacyjną, jaka narosła nie przez 50 lat, ale przez stulecia.

Celem strategicznym pozostaje Polska nowoczesna, bezpieczna, zamożna. Trzeba spieszenie iść naprzód. Podstawą jest dobrze zorganizowana, efektywna gospodarka. Jeśli ona będzie mocna, wszystko inne będzie łatwiejsze.

# Polska społecznej solidarności

Co jest najciemniejszą stroną polskiej biedy? Chyba to, iż miliony ludzi pozbawia nadziei. Nadziei na godne życie dla siebie, ale także dla swoich dzieci. Są obszary i środowiska w Polsce, gdzie bieda ma charakter endemiczny. I właśnie tam, w tych środowiskach, młodzi ludzie dziedziczą niski status materialny po swoich rodzicach, sami mając znikome szanse na zmianę sytuacji, na społeczny awans. Młodzież ta często kończy swoją edukację na poziomie podstawowym lub zawodowym. Nie dlatego, że nie ma zdolności czy ambicji, lecz z powodów materialnych. Zdarza się, że nie stać ją nawet na dojazd do najbliższej szkoły, nie mówiąc już o środkach na studiowanie.

Karol Modzelewski, wybitny działacz pierwszej „Solidarności”, dziś raczej stroniący od polityki, powiedział w jednym z wywiadów:

*Proszę spojrzeć na środowiska naukowe, na dzisiejszych profesorów. Wielu z nich jest chłopskiego pochodzenia. To samo dotyczy elit politycznych. Gdyby ci ludzie dzisiaj byli dziećmi, nie mieliby szans na zdobycie wykształcenia i pozostałoby w środowisku wiecznych wiejskich bezrobotnych (...) A przecież procent ludzi obdarzonych talentami w tych środowiskach wcale nie jest mniejszy niż w poprzednich pokoleniach. W którą stronę pójdą ich talenty?*

To dramatyczne pytanie. Adresowane do społeczeństwa, do państwa, do polityków wszystkich szczebli. Kumulowanie się polskiej biedy, jej dziedziczenie z pokolenia na pokolenie, budzić musi naturalny sprzeciw. Jeśli nawet komuś trudno o uczucie zwykłej ludzkiej solidarności, to świadomość, że narastająca frustracja stać się może bombą zegarową podłożoną pod stabilność Polski, budzić musi najwyższy niepokój.

## Dramat ubóstwa

Przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przyniósł ze sobą prawdziwą rewolucję. W istocie rzeczy doszło do wycofywania się państwa z wielu pełnionych dotychczas funkcji. Państwo – w dużym uproszczeniu – miało raczej stwarzać możliwości, niż zapewniać określone dobra, przestając być ich jedynym dysponentem. Każdy ma prawo wziąć swoje sprawy we własne ręce, kształtować swoje życie tak, jak uważa za stosowne. Dotychczasową administracyjną dystrybucję dóbr społecznie pożądanych zastąpiło prawo popytu i podaży. Zwiększył się zakres wolności obywatelskich – jednym słowem staliśmy się wolnymi ludźmi w wolnym kraju.

Jak wszystko w życiu, tak i wolność ma swoją cenę. To zdanie w naszej historii brzmiało patetycznie. Ale tym razem cena miała inny wymiar. Do głosu doszła nie tylko mądrość, wykształcenie, pracowitość i zaradność, ale też spryt, cwaniactwo, dążenie do bogactwa *per fas et nefas*. Nie wszyscy Polacy akceptowali tę sytuację, nie wszyscy też odnaleźli się w niej. Trudno było znaleźć swoje miejsce na rynku pracy po bankructwie własnego zakładu, mając jako kapitał zakładowy jedynie 20–30 lat pracy „na państwo-

wym”. Rodziła się – w niezamożnej części społeczeństwa – coraz większa frustracja. Można oczywiście zadać sobie pytanie, czy te skutki były nieuniknione i czy ich skala nie mogła być mniejsza.

Polska jest krajem na dorobku. Nie rozwiązane problemy socjalne częściowo dziedziczymy po latach realnego socjalizmu. W większości jednak są to „naturalne” zjawiska towarzyszące wolnorynkowej transformacji. Naturalne w tym sensie, że pojawiają się wszędzie. Natomiast ich skalę i dotkliwość można i oczywiście trzeba regulować. Jest to właśnie kwestia wrażliwości społecznej.

Specjaliści dostrzegają różne rodzaje biedy. Absolutną – kiedy brak jest możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb; relatywną – wynikającą z nierówności społecznych; i subiektywną, czyli odczucia ludzi na temat tego, czy są biedni czy nie. Profesor Stanisława Golinowska wyróżnia trzy przyczyny ubóstwa.

*Bieda może być problemem indywidualnym, skutkiem złego losu (choroby, niepełnosprawności), niedostosowania i uzależnień, a także nonszalanckiej postawy wobec norm społecznych, w konsekwencji czego ma miejsce odrzucenie (tak ze strony jednostki, jak i społeczeństwa). Może też być związana z brakiem podstaw normalnej egzystencji z przyczyn ekonomicznych – brakiem pracy, mieszkań i wysokimi ich kosztami, brakiem infrastruktury umożliwiającej ludziom mobilność przestrzenną. Może również wynikać z niskich dochodów, spowodowanych np. niskimi kwalifikacjami jednostki, ale i nieefektywnością zakładów pracy czy złą polityką płac, a szerzej – polityką makroekonomiczną.*

Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem złożonym, o wielu przyczynach i przejawach. Bieda towarzyszy egzystencji ludzkich zbiorowości od zarania dziejów po współczesność.

Nie jest przypadkiem, że nawet najbogatsze państwa świata nie zdołały uporać się z tym problemem. Jednak wielu społeczeństwom udało się znacznie ograniczyć obszary zagrożone nędzą, między innymi dzięki trafnej ocenie przyczyn zjawiska i skutecznej polityce państwa.

Oceny skali ubóstwa w Polsce są niezwykle zróżnicowane. Instytuty badawcze i GUS stosują różne kryteria, dlatego trudno jest ustalić precyzyjnie rzeczywisty rozmiar zjawiska. Na pewno chodzi o miliony ludzi. I z pewnością należy przyjąć, że jest to jeden z najważniejszych polskich problemów.

Średnie statystyczne i tak nie odzwierciedlają dokładnie wszystkich aspektów polskiej biedy. Tego, że są powiaty, miasteczka i wioski dotknięte kilkudziesięcioprocentowym bezrobociem. Albo, że dziesiątki tysięcy rodzin z byłych PGR-ów żyje do dzisiaj w zatrważająco trudnych warunkach. Z dnia na dzień pozbawiono ich pracy, nie proponując żadnego parasola socjalnego. Owszem, PGR-y na pewno, w większości, w gospodarce rynkowej by się nie odnalazły. Błędem było jednak to, że potraktowano je wszystkie tak samo – i te dobre i te złe, że nie przewidziano programów osłonowych, a w stosunku do ich pracowników postąpiono wręcz nieludzko. Nie pomyślano o tym, że tracąc pracę, stracili oni wszelkie szanse na godne odnalezienie się w nowym systemie. Byli to przecież mieszkańcy wsi, ludzie słabo wykształceni, którzy nie mieli żadnych innych możliwości zatrudnienia. Żal mi tych ludzi. Z dnia na dzień świat zawalił im się nagle na głowę i z tego upadku nie potrafią się podnieść. A przede wszystkim – żal mi ich dzieci, bo już na życiowym starcie mają szanse mniejsze od innych.

Statystyka nie jest też dobrym narzędziem do oceny stanu psychicznego ludzi bezdomnych, opuszczonych, bez-

robotnych. Nie oddaje dramatu osób starszych, które nie są już w stanie pracować i jednocześnie nie mają wystarczających środków na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Dlatego na polską biedę powinniśmy patrzeć nie tylko przez pryzmat liczb. Równie ważna jest wrażliwość sumień i serc, osobisty stosunek do tego, co dzieje się w naszym otoczeniu.

## Solidarność i sprawiedliwość – pojęcia przestarzałe?

Pamiętam, że kiedyś przy okazji jakiegoś sporu dziennikarze zapytali mnie, co oznacza dzisiaj pojęcie sprawiedliwości społecznej. Odpowiedziałem, że – upraszczając sprawę – *problem ten można sprowadzić do kilku fundamentalnych pytań. Na przykład o możliwości kształcenia wiejskich dzieci do poziomu uniwersyteckiego łącznie, o korzystanie z ochrony zdrowia na zasadach gwarantujących ludziom ubogim przynajmniej bezpieczeństwo. To pytanie o zakres nędzy, biedy, wtedy, gdy wynika nie z woli człowieka a z warunków zewnętrznych. To są pytania o dostęp do kultury środowisk wiejskich, małomiasteczkowych, czy z obrzeży wielkich miast.*

Pojęcie sprawiedliwości społecznej było niewątpliwie nadużywane przez władzę w okresie PRL-u, ale nie zużyło się. Niemal wszystkie buntury społeczne, łącznie z walką „Solidarności” w latach 80., odbywały się pod sztandarami i hasłami tejsze sprawiedliwości. Również dzisiaj wiele środowisk i organizacji, niezależnie od orientacji politycznej, domaga się większej sprawiedliwości społecznej. Oczywiście, sprawiedliwość niejedno ma imię. Według jednych wystarczą rządy



prawa i wolny rynek, według innych konieczna jest ingerencja państwa w każdej dziedzinie.

Nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć o dyskusji, jaka wywiązała się po zgłoszeniu w ubiegłym roku przeze mnie weta w stosunku do ustawy o podatku od dochodów osobistych. W uzasadnieniu tej decyzji napisałem o sprawiedliwości społecznej, o solidarności... Ku mojemu zdziwieniu spotkały mnie za to razy i to ze strony ludzi, którzy byli autorami tych sformułowań, którzy wprowadzili je do konstytucji.

Poczucie sprawiedliwości społecznej to nie jest nic obiektywnego. Każdy ma prawo inaczej to odczuwać. To nie jest tak, że taka czy inna progresja podatkowa jest wyrazem sprawiedliwości społecznej – dla jednych tak, dla innych nie. Jest jednak i inne pojęcie – solidarności międzyludzkiej. Bo cóż to takiego solidarność? W minimalnym wymiarze to pomoc słabszemu, szczególnie kiedy sytuacja zmusza nas do ponoszenia wyrzeczeń. Przecież w ten sposób działamy w naszych rodzinach. Jeżeli kogoś z naszych bliskich spotyka nieszczęście lub gorzej mu się wiedzie, to wtedy mu pomagamy. Dlaczego tak rozumiana solidarność tak słabo odczuwana jest na płaszczyźnie publicznej?

Solidarność oznacza, że jeśli przychodzą trudne czasy, to większe obciążenia na swoje barki powinni brać ludzie silniejsi, ci, którzy na pewno są w stanie przetrwać. Ludzie słabsi natomiast powinni być objęci przynajmniej czasowym parasolem ochronnym. W pewnym sensie Jacek Kuron, jako minister pracy i polityki socjalnej, w pierwszym rządach solidarnościowych realizował te zasady. To, że mniejsze koszty transformacji ponosili ludzie starsi i słabsi, to był właśnie wyraz solidarności. Niestety, wydaje mi się, że nie wszystkim rządcom po 1989 roku przyświecał ten cel.

Także obecnemu rządowi, wywodzącemu się przecież z tego samego etosu co ta z 1989 roku, czasami takiej społecznej wyobraźni brakuje. Czy Jacek Kuroń by nie protestował, gdyby w budżecie państwa rząd projektował realną obniżkę świadczeń emerytalno-rentowych? A jeśli jeszcze w takiej sytuacji proponuje się obniżenie stawek podatkowych dla najwyższej zarabiających, to gdzie tu miejsce na solidarność?

## Dlaczego brakuje pracy i mieszkań?

Ważną przyczyną ubóstwa jest bezrobocie. Jest ono pochodną wielu zjawisk. Zależy od tempa i poziomu rozwoju gospodarczego, kwalifikacji „zasobów ludzkich”, organizacji rynku pracy oraz rozwiązań instytucjonalnych i prawnych. W ogromnej mierze jest również zależne od modelu polityki społecznej państwa i gotowości społeczeństwa do zmian. Zjawisko to było praktycznie nieznanne w latach powojennych, w czasie transformacji ustrojowej urosło jednak do rangi najważniejszych problemów ekonomicznych, politycznych i społecznych kraju. O zmniejszeniu liczby pracujących w gospodarce narodowej zadecydowały przede wszystkim restrukturyzacja przemysłu, przeobrażenia organizacyjne w przedsiębiorstwach, zmiany technologiczne oraz procesy zmian własnościowych,

Początkowo (w latach 1990–1991) liczba bezrobotnych przyrastała w tempie przekraczającym średnio 1 milion osób rocznie. Potem tempo przyrostu spadło, ale i tak w 1994 roku bez pracy znalazło się prawie 3 miliony osób, a stopa bezrobocia osiągnęła poziom 16 procent. Dopiero w latach następnych udało się opanować zjawisko i zredukować liczbę bezrobotnych. W roku 1998 zesliśmy nawet poniżej 10 procent. Niestety, kolejne miesiące znowu

ujawniły tendencję wzrostową. Dziś stopa bezrobocia znów oscyluje w pobliżu 14 procent.

Dodatkowo sytuację komplikuje duże zróżnicowanie przestrzenne bezrobocia. Niepokój musi budzić fakt, że ogromna część zarejestrowanych bezrobotnych, na skutek zbyt długiego „stażu”, straciła prawo do zasiłków. Jak również to, że około jednej czwartej wszystkich osób pozostających bez pracy stanowią ludzie młodzi, do lat 24.

Trzeba przyznać, że stosunkowo szybko uruchomiliśmy programy przeciwdziałania bezrobociu. Aktywna polityka społeczna, preferująca rozwiązania wzmacniające znaczenie pracy i zatrudnienia, przyniosła pewne efekty. A jednak poziom tego zjawiska – jak się wydaje nieusuwalnego w gospodarce rynkowej – musi niepokoić. Tym bardziej, że przed nami jest jeszcze wiele koniecznych zmian w poszczególnych branżach i sektorach gospodarki, a więc i redukcji zatrudnienia. Musimy również brać pod uwagę zbliżającą się falę wyżu demograficznego, który w najbliższych latach wejdzie na rynek pracy. Dlatego polityka przeciwdziałania bezrobociu powinna stać się jednym z najważniejszych priorytetów państwa w nadchodzących latach.

Wpływ na powstawanie ubóstwa mają również inne zjawiska. Czynnikiem wyjątkowo mu sprzyjającym jest powszechny niedobór mieszkań. Niestety, budownictwo mieszkaniowe wciąż dalekie jest od zaspokojenia społecznych potrzeb. Budowane dzisiaj mieszkania są niewątpliwie dobrej jakości, ale są drogie i jest ich o wiele za mało.

Bezrobocie i załamanie budownictwa mieszkaniowego nie są jedynymi ciemnymi stronami transformacji. Wiele badań potwierdza postępujące rozwarstwienie naszego społeczeństwa.

## Rozwierające się nożyce

Na jednym biegunie pojawiła się grupa osób bogatych, która nie wstydzi i nie boi się okazywania zewnętrznych oznak zamożności. Czasem przybierało to i jeszcze czasem przybiera wymiar komiczny. Wszyscy pamiętamy tych świeżo upieczonych „tygrysków” transformacji, wysiadających z luksusowych mercedesów, obwieszonych złotem, w czarnych garniturach i obowiązkowych białych skarpetkach. Część tych ludzi nie wytrzymała próby czasu. Ich bogactwo było chwilowe i ulotne. Odnieść chwilowy sukces na tworzącym się rynku nie jest trudno, ale żeby go utrzymać, potrzeba bardzo dużo umiejętności i przysłowiowego oleju w głowie.

Pojawienie się grupy ludzi bogatych, z całą obyczajowością nuworyszów, który temu zjawisku towarzyszy, nie jest w końcu wielkim problemem. Problemem jest to, że na drugim biegunie społeczeństwa pojawili się ludzie biedni. Oczywiście biedni istnieli zawsze, niebezpieczne jest to, że zaczynamy mieć do czynienia z procesem marginalizacji, czy wręcz wykluczenia poza system społeczny całych grup ludzi.

Miejmy zatem świadomość powstawania wokół nas jakby dwóch światów. Z jednej strony wiecznie spieszących się, eleganckich, pachnących drogimi kosmetykami młodych ludzi, tych „bohaterów pracy kapitalistycznej”, o najwyższych kwalifikacjach, świadomych swojej wartości i czekającego ich w przyszłości sukcesu. Obok nich, niemalże w zasięgu wzroku i ręki są ich rówieśnicy, których jedyną troską jest zdobycie kilku złotych. Nie są to bynajmniej bezdomni nieszczęśnicy z Dworca Centralnego, którzy częstokroć znaleźli się na marginesie z własnej woli. Są to ludzie, których

na margines wypchnęły okoliczności od nich niezależne, za powstanie których wina leży nazbyt często po stronie państwa i jego instytucji.

Świadomość rozmiaru tego zjawiska jest dla mnie nieznośna. Boję się, że na naszych oczach tworzy się grupa ludzi nikomu niepotrzebnych, którzy sprawiają tylko kłopoty sąsiadom (bo są brudni i hałaśliwi), państwu (bo trzeba łożyć na pomoc społeczną) i lecznictwu (bo jak ich leczyć, gdy nie płacą składek). Przestrzegam, jeśli dopuścimy do rozszerzania się tego zjawiska, to możemy się upodobnić do niektórych państw Ameryki Łacińskiej, gdzie występuje ono w postaci klinicznej. Mam nadzieję, a nawet jestem przekonany, że do tego nigdy nie dojdzie. Miejmy jednak świadomość zagrożenia, nie gódźmy się na dalsze istnienie tak szerokiego marginesu ludzi społecznie odrzuconych.

Ksiądz Józef Tischner powiada przekornie: *Bieda nie musi być święta, bogactwo nie musi być grzeszne*. Nikogo nie trzeba przekonywać o kryminogennej roli biedy. Jeśli, na przykład, poważnie myślimy o podniesieniu poziomu bezpieczeństwa, musimy znaleźć sposób na jej ograniczenie, a przede wszystkim – na zahamowanie procesu jej dziedziczenia społecznego, który biedę utrwała i powiela. Nie chcę przez to powiedzieć, że każdy biedny, niewykształcony człowiek stwarza zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa, zaś bogacz z doktoratem staje się sam z siebie jego gwarantem. Jednakże, właściwa ludziom motywacja do poprawy własnego losu, która tak naprawdę jest motorem rozwoju społeczeństwa, musi zostać ukierunkowana tak, aby zaspokajając własne interesy, ludzie działali równocześnie na rzecz dobra wspólnego. Łatwiej bowiem przekonać biednego, niewykształconego chłopaka do zostania „żołnierzem mafijnym”, niż jego odpowiednika, widzącego przed sobą jasne, od-

powiadające mu perspektywy. Jest to – rzecz oczywista – reguła, od której zdarzają się wyjątki.

Czy fakt, że pod względem zróżnicowania płac i rozpiętości dochodów Polska znajduje się dzisiaj w światowej czołówce oznacza, że tolerancja dla wolnorynkowych reguł gry jest w naszym kraju wyjątkowo duża? Myślę, że nie, co jakiś czas społeczeństwo sygnalizuje, że dopuszczalny pułap zróżnicowań zostaje przekroczony. Tak było, na przykład, w sprawie wynagrodzeń dla samorządowców, kierownictw kas chorych czy zarządów spółek Skarbu Państwa.

Toczy się obecnie dyskusja, czy duże rozpiętości płacowe i materialne mają pozytywny wpływ na wzrost gospodarczy, czy też przeciwnie – działają hamująco. Niewątpliwie są one potrzebne, aby uzyskać efektywność. Istnieje jednak granica, powyżej której nierówności tracą racjonalne uzasadnienie i stają się poważnym źródłem zagrożenia ładu społecznego. Nie chodzi tu o ideologię, lecz o udokumentowaną wiedzę na temat mechanizmów rynku pracy i rozwoju społecznego. Pamiętajmy, że jedynym właściwie instrumentem oddziaływania państwa na płacowe kominy poza sektorem publicznym jest polityka podatkowa. Ma ona jednak skutki obosieczne, bowiem jeśli jest zbyt restrykcyjna może dławić przedsiębiorczość. Dlatego potrzebne są przede wszystkim działania pozytywne, łagodzące skutki biedy, dające szanse na pracę, mieszkanie, wykształcenie.

Wchodzimy w XXI wiek z bagażem biedy, której skala powinna nas zawstydząć, ale i pobudzać do działania. Oprócz bowiem swojego głęboko niehumanitarnego charakteru bieda jest rozsadnikiem społecznych patologii. Na nic się zdają czynione w niektórych społeczeństwach próby zamknięcia zagrożonych środowisk w gettach, otoczenia kordonem sanitarnym. Prędzej czy później nagromadzona

agresja może się wylać. I dlatego rozerwanie odradzającego się kręgu biedy, udroźnienie kanałów awansu społecznego, edukacyjnego, cywilizacyjnego to wielkie narodowe zadanie dla Polski.

Ogromnym wyzwaniem jest też rozbudzenie mobilności społecznej grup dziś upośledzonych i marginalizowanych. Właśnie ta alienacja jest źródłem apatii, rezygnacji i braku nadziei, co sprawia, że tak trudno jest zmobilizować ludzi biednych do działania. Cóż z tego, że demokracja, zwłaszcza lokalna, daje im szansę wpływu na kształtowanie swego otoczenia. Oni o tym nie wiedzą lub w to nie wierzą. Ta bezradność wobec świata zewnętrznego przenoszona jest z pokolenia na pokolenie. Podobnie jak inne czynniki współodpowiedzialne za położenie biednych rodzin: alkoholizm, przemoc, wielodzietność. Tak być jednak nie musi.

## Jak ucłowieczyć transformację

Polska transformacja ustrojowa trwa już ponad 10 lat. Nic jednak nie zostało jeszcze rozstrzygnięte do końca. Świat dostarcza nam różnych przykładów. Historia dowiodła, że żadna droga nie jest idealna. Nie ma uniwersalnego modelu, który by sprawdzał się w każdych warunkach geograficznych i historycznych. Dlatego każde społeczeństwo musi znaleźć taki model rozwoju, który odpowiada jego potrzebom i możliwościom.

Polskie doświadczenia ostatniej dekady to przekładaniec różnych tendencji w kreowaniu modelu państwa. Ta zmienność nie jest przypadkowa. Po prostu trwa poszukiwanie optymalnych rozwiązań w nowej i ciągle zmieniającej się sytuacji.

Szczególnie ciekawe wydają doświadczenia z początków polskiej transformacji. Wielkie reformy z tamtych lat symbolizowały dwie twarze. Twarz chłodnego technokraty – Leszka Balcerowicza – i bliska, poczciwa twarz Jacka Kuronia, tego „gościa z chochłą”, który rozdawał zupeł bezdomnym. Był to oczywiście tylko jeden aspekt działalności tego wybitnego Polaka po 1989 roku. Jacek Kuroń umiał rozmawiać z ludźmi, potrafił dodać im otuchy. Jego cotygodniowe telewizyjne kwadransy były powszechnie oczekiwane i wysłuchiwane. Balcerowicz reformy konstruował, Kuroń je uczłowieczał. Jak ważne było to dla reform, chyba każdy nie głuchy społecznie obserwator musiał zauważyć. Kuroń rozumiał – być może jako jedyny człowiek w ówczesnie rządzącej ekipie – że transformacja to nie jest zabieg technokratyczny, który ocenić można jedynie według kryteriów logiki, wewnętrznej spójności i ekonomicznego zbilansowania. Rozumiał, że jest to bardzo skomplikowany proces społeczny, w którym niemal każdy zmieni lub zmodyfikuje swoją rolę społeczną; że wielu straci, ale każdemu trzeba stworzyć perspektywę rozwoju, uzyskania korzyści w przyszłości. Kuroń wiedział również, jak ważne jest dla ludzi poczucie, że ktoś myśli o ich osobistej godności, o ich losie, o sytuacji ich rodzin. Że ktoś czasem zwyczajnie, po ludzku im współczuje i chce pomóc.

Przypominam, że tenże Jacek Kuroń, czasem wbrew Balcerowiczowi, przemyślał do polityki gospodarczej różne rozwiązania prospołeczne. Na przykład, możliwość wcześniejszego przejścia na emeryturę, aby ludzie w starszym wieku mający mało czasu na dostosowanie się do nowego systemu mogli znaleźć azyl i wsparcie ze strony państwa. To dzięki Kuroniowi wprowadzono bardziej korzystną niż przewidywał to Balcerowicz indeksację świadczeń społecznych, rent



i emerytur. Dzięki temu środowiska ludzi słabszych znalazły się pod względną ochroną. To, co robił Jacek Kuroń, solidarność jaką okazywał ludziom, pomagało rozładowywać napięcia i przetrwać społeczeństwu najtrudniejsze chwile.

Sposób rozumienia transformacji, akcentowanie roli społecznego dialogu, jaki prezentował i prezentuje Jacek Kuroń, jest mi bliski. Jestem bowiem przekonany, że w naszym marszu do dobrobytu możemy utrzymać wysoką dynamikę rozwoju gospodarczego, zachowując jednocześnie wrażliwość i odpowiedzialność społeczną, łagodząc społeczne koszty zmian.

Czy na naszej drodze reform możliwe jest ignorowanie potrzeb grup ludzkich? Czy wystarczy powiedzieć, że „wzrost gospodarczy”, że „najpracowitsi stworzą bogactwo i podzielią się nim z uboższymi”, że jedynie racjonalność ekonomiczna rozwiąże nam problem biedy i zacofania? Bez wzrostu gospodarczego prowadzenie jakiegokolwiek polityki społecznej jest niemożliwe. Wzrost gospodarczy nie jest możliwy w dłuższym czasie, bez odpowiedzialnej i długofalowej polityki makroekonomicznej. Trzeba jednak też bardzo wyraźnie powiedzieć, że istnieje także coś takiego jak równowaga społeczna. To oczywiście jedynie eufemizm. Faktycznie chodzi o to, jak łagodzić najważniejsze problemy społeczne. Nie da się ignorować zbyt dużych napięć społecznych, nierówności, biedy, niedostatku, bo społeczeństwo odmówi i to w sposób skuteczny poparcia dla reform. W społeczeństwie muszą być duże grupy „zwycięzców”, beneficjentów reform lub przynajmniej ludzi mających nadzieję, że będzie lepiej ich dzieciom. Myślę, że aby tę równowagę utrzymać, aktywnie walczyć z niedostatkiem, należy inwestować w szeroko pojęty „kapitał ludzki”, a więc szczególnie w oświatę dla mieszkańców ośrodków zacofanych. Trzeba

„wyciągać” z takich ośrodków dzieciaki do szkół i trzeba je w tych szkołach utrzymać. Człowiek lepiej wykształcony uzyskuje nawyk uczenia się, dąży do polepszenia swojego statusu, nie popada w apatię i bierność. Zastanówmy się, w jaki sposób to zrobić.

Istnieje oczywista konieczność zwiększenia wysiłku państwa i obywateli na rzecz bezpośredniej walki z ubóstwem. Aktywniejsza, bardziej skuteczna i lepiej adresowana musi być polityka pomocy socjalnej w przypadkach ubóstwa indywidualnego. Zasiłki, renty, pracownicy socjalni, opieka zdrowotna – wszystko to powinno docierać do każdego, kto znalazł się w nędzy. Potrzebne do tego są nie tylko pieniądze, ale również szeroko rozbudowana sieć monitoringu socjalnego.

Do zadań państwa należy też opracowanie bardziej skutecznej strategii walki z bezrobociem. Wszechstronnej, uwzględniającej różne sposoby aktywizacji ludzi niewykształconych, często uzależnionych, żyjących w zamkniętych kręgach społecznych. Im potrzebne są nie tylko pieniądze, ale również, a może nawet bardziej programy edukacyjne, szkoleniowe, doradcze; programy walki z alkoholizmem i przemocą; szeroka infrastruktura łącząca ich ze społeczeństwem. Potrzebna jest też oczywiście praca. Lecz chodzi o tworzenie pracy, a nie tylko miejsc pracy. Czyli także o wyposażanie tych ludzi w cechy umożliwiające im podjęcie pracy oraz o jej kreowanie.

Musimy zadbać o to, aby pieniądze z Unii Europejskiej i odpowiednio uzupełniające je fundusze własne skierować szerokim strumieniem na polską prowincję. Tam tworzyć pracę, pobudzać aktywność zawodową, wspomagać małe i średnie firmy, zachęcać do tworzenia rodzinnych przedsiębiorstw. Wydaje się, że w tym zakresie jest jeszcze ogromnie dużo do zrobienia.

## Historia pewnego nieporozumienia

Zadaniem państwa jest również tworzenie warunków do rozwoju budownictwa mieszkaniowego. Powszechna dostępność mieszkań wpłynęłaby korzystnie na możliwości awansu społecznego, gospodarowanie zasobami pracy, niwelowanie różnic między środowiskami zawodowymi i dzielnicami kraju. Dlatego trzeba szukać nowych form wspierania budownictwa. W myśl zasady: im więcej mieszkań, tym większy wybór, niższe ceny i więcej zaspokojonych potrzeb.

W tym miejscu muszę nawiązać do historii pewnego nieporozumienia. Od kilku lat niektórzy publicyści i politycy zarzucają mi, że nie wypełniam wyborczych obietnic. *Kiedy pan zapewni* – pytała w sejmie w marcu 2000 roku posłanka AWS Urszula Wachowska – *obiecane 5 lat temu w ramach kampanii wyborczej mieszkanie każdej rodzinie?* Otóż pamiętam, że takich obietnic nikomu nie składałem. Można to bez trudu sprawdzić, ale mam wrażenie, moim krytykom nie chodzi o fakty, lecz o wywołanie skojarzenia, efektu propagandowego, że to właśnie prezydent odpowiada za nie rozwiązane problemy mieszkaniowe kraju.

Nie uchylam się od odpowiedzialności. Opowiadałem się i opowiadał za tym, aby budownictwo mieszkaniowe było jednym z najważniejszych priorytetów w polityce gospodarczej i społecznej kraju. Skala problemu jest bowiem ogromna. W Polsce liczba lokali mieszkalnych jest mniejsza od liczby gospodarstw domowych o ok. 1,5 miliona, co wymusza wspólne zamieszkiwanie kilku pokoleń i prowadzi do przeludnienia mieszkań. Samodzielnie mieszka zaledwie 1/3 młodych rodzin, zaś w lokalach o obniżonym standardzie – około 10 milionów Polaków. Dzieje się tak, mimo stworze-

nia nowego modelu mieszkalnictwa w latach dziewięćdziesiątych. Ograniczone zostały kompetencje administracji, skomunalizowano zasoby mieszkaniowe Skarbu Państwa, oddano wiele kompetencji gminom, zniesiono faktyczny monopol spółdzielczości mieszkaniowej. Prawdziwa rewolucja dokonała się w sposobie finansowania budownictwa, środki budżetowe państwa zastępowane są kapitałem społeczności lokalnych i prywatnym, dzięki temu mieszkanie stało się towarem rynkowym, dobrem konsumpcyjnym. Jedną z moich pierwszych inicjatyw ustawodawczych jako prezydenta była ustawa o listach zastawnych i bankach hipotecznych. Stworzone zostały liczne systemy dochodzenia do własnego mieszkania, jak również możliwości odnowy istniejących zasobów mieszkaniowych.

Z perspektywy czasu trzeba jednak przyznać, że rozwiązywanie problemów mieszkaniowych w Polsce nie przebiega właściwie. Spośród licznych inicjatyw w tej dziedzinie tylko dwie – chociaż i tu nie ustrzeżono się błędów – osiągnęły w miarę pozytywne rezultaty. Myślę tu o ulgach w podatku dochodowym od osób fizycznych związanych z budową lub zakupem nowego mieszkania (działki budowlanej). Szanse na rozwój mają również Towarzystwa Budownictwa Społecznego (TBS), chociaż rozmiary stosowania tego programu są ograniczone ze względu na wysoki udział środków budżetu państwa oraz fakt, że program adresowany jest do grup o niskich, ściśle określonych dochodach. Stąd nie więcej niż 8–12 procent gospodarstw domowych ubiegających się o mieszkanie w miastach może być beneficjentami tego rozwiązania.

Pozostałe formy wspomaganie przez państwo budownictwa mieszkaniowego nie przynoszą dobrych rezultatów. Niestety, często jest to wina braku wyobraźni ustawodawców

i nazbyt restrykcyjnej polityki rządu. Z tych powodów, między innymi, nie rozwinęły się w Polsce kasy oszczędnościowo-budowlane, choć w krajach niemieckojęzycznych okazały się masową, skuteczną formą oszczędzania i dostępu do taniego kredytu mieszkaniowego. Nie udało się wystarczająco również manewr z przerzuceniem ciężaru odpowiedzialności za rozwiązywanie problemów mieszkalnictwa na gminy, gdyż nie poszły za tym odpowiednie środki finansowe, w efekcie nie nastąpił znaczący rozwój budownictwa komunalnego i socjalnego.

Niepokojący jest realny spadek nakładów na budownictwo mieszkaniowe z budżetu państwa w ostatnich latach. Zwłaszcza w świetle faktu, że drastycznie maleje dostępność mieszkań. Jeszcze w 1998 roku za przeciętną płacę można było kupić 3/4 metra kwadratowego mieszkania, podczas gdy już 1999 roku tylko nieco ponad pół metra. Tak więc mimo szybkiego, nieprzerwanego wzrostu gospodarczego, realna siła nabywcza środków statystycznej polskiej rodziny na rynku mieszkaniowym zaczęła maleć, zamiast rosnąć.

Czas zatem na stwierdzenie, że dotychczasowa działalność państwa, podparta często wiarą w uzdrawiającą moc „niewidzialnej ręki rynku”, nie do końca zdaje egzamin w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Nic dziwnego, że nawet najbogatsze kraje (USA, Niemcy) nie rezygnują w tym przypadku z interwencjonizmu państwa. Tym bardziej, że taki interwencjonizm wcale nie musi oznaczać marnotrawstwa czy nieefektywnego wydawania środków publicznych. W wielu krajach zachodnich udowodniono znaczącą rolę rozwoju budownictwa mieszkaniowego dla wzrostu PKB oraz wzrastających z tego tytułu dochodów budżetu państwa. Dzieje się tak, jeśli wydawanie środków

publicznych jest dobrze skorelowane ze strukturą społeczną i z możliwościami finansowymi poszczególnych grup gospodarstw domowych. Wtedy istnieje możliwość skutecznego stymulowania wysiłku samych rodzin w kierunku budowania mieszkań i tworzenia sobie perspektyw rozwojowych. Wymaga to wielkiego zróżnicowania systemu wsparcia i trafnego adresowania pomocy.

Przed nami wielkie wyzwanie. Około roku 2005 pokolenie wyżu demograficznego lat osiemdziesiątych zacznie zakładać rodziny. Jednocześnie kończy się w tym okresie wytrzymałość techniczna dużej grupy starych budynków, w związku z czym oczekiwać należy wyjątkowej kumulacji potrzeb mieszkaniowych. Tu już z pewnością nie wystarczą dotychczasowe formy interwencji państwa. Potrzebne są nowe środki, nowe pomysły, skuteczniejsze formy pomocy.

Myślę, że rozwiązania powinny pójść w następujących kierunkach:

- powszechności ulgi podatkowej skonstruowanej w sposób nie preferujący najlepiej sytuowanych;
- dostępu do preferencyjnych kredytów oraz możliwości jego powiązania z oszczędzaniem nawet w bardzo długim okresie (dzieci);
- pomocy młodym ludziom (małżeństwom) w dochodzeniu do pierwszego mieszkania w postaci grantu. Jest to korzystniejsza forma od częściowej spłaty odsetek;
- organizowania przedsięwzięć samopomocowych – na przykład w formie „odnawialnego funduszu mieszkaniowego”, realizowanego przez różne podmioty, z udziałem gmin – umożliwiającego wydłużenie okresu spłacania (wykupu) mieszkania.

Myślę też, że gospodarstwom o średnim poziomie dochodów, skłonnym – z różnych powodów – do wynajmowania mieszkań, należy pomóc poprzez rozszerzenie puli lokali budowanych przez TBS-y (umiarkowane czynsze) oraz lokali budowanych przez spółdzielnie mieszkaniowe, na zasadzie mieszkań lokatorskich. Dla gospodarstw domowych o najniższych dochodach podstawową formą wsparcia powinna pozostać budowa mieszkań komunalnych i socjalnych. Natomiast jeśli chodzi o gminy, to dotychczasowa praktyka pokazała, że najlepszą formą jest połączenie funduszy własnych gmin z subwencją państwową. Wymaga to wydzielenia środków na ten cel i jasno określonych kryteriów podziału, związanych z sytuacją ekonomiczną i mieszkaniową danej gminy.

Powtarzam: nie obiecałem każdemu mieszkania. Jednak starałem się, staram i będę się starał wykorzystać wszystkie dostępne prezydentowi środki prawne i polityczne, aby wspierać budownictwo i tworzyć korzystny klimat do rozwiązywania problemów mieszkaniowych. Temu służyły inicjatywy ustawodawcze. Temu poświęcone były liczne spotkania, dyskusje, współpraca z kolejnymi ministrami budownictwa. I w tym kierunku zamierzam podejmować następne inicjatywy. Jestem przekonany, że w nadchodzących latach przyniesie to widoczne rezultaty.

## Wspierajmy tych, co chcą być na swoim

Chciałbym powiedzieć także o kolejnej metodzie rozwiązywania problemów społecznych.

Jest nią w moim przekonaniu aktywna polityka wobec drobnej przedsiębiorczości, albo jak kto woli – małego i śre-

dniego biznesu. Wielu obserwatorów naszego życia gospodarczego, z którymi przy różnych okazjach miałem możliwość rozmawiać, uważa nawet ową drobną przedsiębiorczość za główne źródło sukcesu polskiej transformacji. Przypomnę, że tak naprawdę, to istniała ona już w okresie realnego socjalizmu. Bardzo poważnie rozwinęła się pod koniec lat osiemdziesiątych, a w początku lat dziewięćdziesiątych przeżyła prawdziwą eksplozję. Do dzisiaj pozostał w Polsce mit „bycia na swoim”.

Nie tak dawno czytałem w tygodniku „The Economist” wyniki przeprowadzonej na całym świecie ankiety, w której pytano ludzi w różnych krajach o to, jaka jest ich wymarzona kariera życiowa. Okazało się, że w Polsce, jak w żadnym innym kraju, ponad 70 procent (!) respondentów odpowiedziało, że ich marzeniem jest właśnie samodzielna działalność gospodarcza.

Mając świadomość społecznego funkcjonowania tego mitu politycy nieświadomie albo świadomie uznali, że fala drobnego biznesu będzie się ciągle wznosić bez potrzeby jakiegś szczególnej opieki ze strony państwa. Wystarczy sięgnąć do publicystyki ekonomicznej z okresu transformacji, aby dowiedzieć się, jak to drobny biznes będzie się rozwijać, jak będzie wchłaniać ludzi zwalnianych z państwowych molochów, jak firmy będą rosły, wprowadzały nowe technologie, zmieniały krajobraz polskiej prowincji... Zastanawiające jest więc, dlaczego nikt tej drobnej i średniej przedsiębiorczości poważnie nie wsparł. Szybko okazało się, że dynamiczny rozwój napotyka na istotne bariery.

Średnia i mała przedsiębiorczość to także źródło kreacji polskiej klasy średniej. To nieprawda, że klasę średnią stanowią w Polsce jedynie osoby z najwyższej grupy



opodatkowania i ci, wspomniani już, młodzi, piękni i bogaci „bohaterowie pracy kapitalistycznej”. Jeżeli bowiem tak jest, to klasa średnia nigdy nie przekroczy granic Warszawy (i to nie wszystkich jej dzielnic) oraz paru większych miast w Polsce. Nie będzie to już klasa średnia, ale oligarchia. Wspieranie drobnej i średniej przedsiębiorczości to zatem nie tylko sprawa gospodarcza i socjalna, to wręcz warunek budowania stabilnej, demokratycznej struktury społecznej.

Powtarzam raz jeszcze – wspieranie drobnego i średniego biznesu jest najskuteczniejszym i najefektywniejszym instrumentem polityki społecznej państwa. W polityce społecznej nie chodzi przecież o petryfikowanie zastanej sytuacji i łagodzenie tylko skutków niedostatku czy nędzy. Chodzi przede wszystkim o to, aby – niewielkie jeszcze – wyspy dobrobytu coraz bardziej rozszerzały się.

## Cztery reformy społeczne – błąd czy sukces?

Od wielu lat zdawaliśmy sobie sprawę z konieczności zmiany filozofii działania całego sektora usług społecznych – przede wszystkim emerytur i rent, a także ochrony zdrowia i oświaty. Trwanie przy dotychczasowym sposobie ich finansowania przynieść musiałoby już w niezbyt odległym czasie katastrofę budżetu państwa. Należało więc jak najszybciej wprowadzić do tego sektora racjonalność, elementy rachunku ekonomicznego i – przede wszystkim – zdecentralizować zarządzanie publicznymi pieniędzmi przeznaczonymi na te cele. Zapewne najlepszym rozwiązaniem byłoby przeprowadzenie generalnej reformy tego systemu na samym początku transformacji, w latach 1990–1991. Z wielu powodów okazało się to niemożliwe. Pierwszym krokiem

w kierunku racjonalizacji wydatków publicznych było wprowadzenie w maju 1990 roku samorządu terytorialnego, a następnie w latach 1994–1997 stopniowe rozszerzanie jego uprawnień. Najważniejsze kwestie pozostały jednak nie rozstrzygnięte. Spór między SLD a PSL uniemożliwił wprowadzenie samorządu powiatowego i wojewódzkiego, choć duża część systemowych rozwiązań została przygotowana.

W innych dziedzinach było niewiele lepiej. Dyskusje nad kształtem reformy emerytalnej trwały latami, ale tu udało się doprowadzić do politycznej współpracy ponad podziałami politycznymi. Natomiast przyjęte w poprzedniej kadencji parlamentu uregulowania ustawowe, dotyczące przyszłego systemu ochrony zdrowia, były kontestowane przez opozycję domagającą się przede wszystkim zwiększenia poziomu finansowania. I, jak można się było spodziewać, gdy tylko ówczesna opozycja doszła do władzy, zamiast zwiększyć – wydatnie zmniejszyła wydatki na ubezpieczenia zdrowotne.

Nowy rząd, który powstał jesienią 1997 roku uczynił z przeprowadzenia czterech reform społecznych swe sztandarowe przedsięwzięcie. Gwoli prawdy trzeba jednak przypomnieć, że nowy ład w państwie został w dużym stopniu przygotowany w latach poprzednich. Pisałem już wcześniej o przygotowaniach legislacyjnych i o tym, że nowa Konstytucja RP przyjęta w 1997 roku wymusiła niejako te reformy. To ona bowiem, określając dopuszczalny poziom długu publicznego i deficytu budżetowego uczyniła nieuchronną reformę emerytalną. Pracując w Komisji Konstytucyjnej nad tymi zagadnieniami, mieliśmy tego pełną świadomość. Konstytucja zawiera również przepis nakładający obowiązek decentralizacji struktur państwa. Umożliwiło to wprowadzenie samorządu na szczeblu powiatu i województwa.

Spójrzmy jednak na problem z drugiej strony – jak z punktu widzenia funkcjonalności społecznej wprowadzane są w Polsce ostatnie, niezwykle ważne reformy ochrony zdrowia i emerytur.

Reforma służby zdrowia... Trudno jest spokojnie komentować sposób wprowadzania jej w życie. Zauważmy, że błędy w poszczególnych reformach mają różną wagę. Jeśli coś się nie uda w reformie samorządowej, to nikt nie umrze, jeśli jednak nie przyjedzie do chorego w porę karetka pogotowia, bo ktoś tak skonstruował przepisy, to może się to zakończyć śmiercią pacjenta, a wobec takiego faktu już obojętnie przejść nie sposób. Każde niepowodzenie reformy służby zdrowia boli nas szczególnie, często wręcz w sensie fizycznym.

Bardzo poważnym problemem stało się spolityzowanie kas chorych. Cel wyboru takiej a nie innej formy kreowania kas chorych był jasny: niech zajmą się tym samorządowcy i niech nadzór nad służbą zdrowia zostanie odebrany samym lekarzom, żeby nie został on zdominowany przez lobby medyczne. Stało się jednak niezupełnie tak, jak oczekiwaliśmy. Lekarze i tak mają decydujący głos w kasach chorych, ale lekarze spolityzowani. Oskarżanie samorządów, że polityzują kasy chorych, jest tylko częścią prawdy, bowiem już na samym starcie zostały one spolityzowane do granic możliwości. Chcę powiedzieć, że niezależnie od tego, kto dopuszcza się tego upolitycznienia – popełnia błąd. Ma on znaczenie zarówno psychologiczne, jak i konkretne, namacalne. Wystarczy spojrzeć na statystyki i opinie pacjentów. Pogarsza to odbiór reformy służby zdrowia, zwiększa społeczne opory, zaognia konflikty.

Oczywiście kluczową sprawą jest poziom finansowania służby zdrowia, ale cóż, jeśli zaczęło się wszystkie reformy

naraz, to i na wszystkie zabrakło środków. Zdaje mi się, że mimo zmian w Ministerstwie Zdrowia i wysiłków, aby poprawić niezadowolający stan rzeczy, rozpoczynając tę reformę uruchomiono w sposób nie do końca chyba głęboko rozważony zbyt wiele różnych mechanizmów, o których nie wiadomo dokąd nas zaprowadzą.

Druga z najważniejszych reform dotyczy ubezpieczeń społecznych. Jej wdrażanie trwać będzie kilkanaście lat, a jej efekty będą widoczne za lat kilkadziesiąt. Wszyscy w świecie gratulowali nam pomysłu na tę reformę i wszyscy dzisiaj leczymy kaca z powodu jej niefortunnego wdrażania. Chodzi mi głównie o część reformy związanej z funkcjonowaniem ZUS. Tyle już na ten temat napisano, że chyba nie zostało do powiedzenia zbyt wiele. Może więc tylko jedna uwaga. ZUS był zawsze bardzo trudną do prowadzenia, wielką instytucją, która jednak w starym systemie funkcjonowała wcale nie najgorzej. Przecież terminowość wypłacania emerytur była zawsze swoistym symbolem stabilności naszego państwa. Od zawsze w Polsce emeryt był pewien, że określonego dnia zapuka do drzwi listonosz i przyniesie ciężko przez lata zarobione pieniądze. To, że ludzie starsi na tę skromną emeryturę mogą zawsze liczyć, stanowi jeden z filarów państwa zaufania społecznego. Niestety, wraz ze źle wdrażaną reformą w społeczności emerytów powiało grozą. Politycy zaczęli się nawzajem straszyć, a faktycznie straszyć społeczeństwo, że może dojść do katastrofy.

Uważam, że polityczna gra emeryturami jest głęboko niemoralna i politycznych profitów nie jest w stanie nikomu przynieść. Prawda jest bowiem taka, że kryzys ZUS nie jest kryzysem reformy zabezpieczeń społecznych. To całkiem inna sprawa. Najpierw trzeba zadać sobie pytanie

o przyczyny owego załamania finansowego i organizacyjnego ZUS. Twierdzę, że jedną z nich była również polityzacja tej instytucji. Instytucji zawsze trudnej do kierowania, a w okresie wdrażania reformy bardzo trudnej. Jeżeli w takiej sytuacji wyrzuca się z pracy fachowców, a na ich miejsce powołuje ludzi, których jedyną kwalifikacją jest polityczna lojalność, to musi to kosztować bardzo drogo. Niestety, skutki tego ponoszą w pierwszej kolejności „konsumentów” systemu ubezpieczeń. Jestem jednak przekonany, że polityczny rachunek będą musieli zapłacić również politycy, którzy doprowadzili do tego stanu rzeczy.

## Trzecia droga – nowe podejście

W świecie globalnej konkurencji nierzadko słychać nawoływania do ograniczenia roli państwa w gospodarce i w sferze społecznej. Mówi się o głębokim kryzysie tradycyjnego „państwa opiekuńczego”. Jedni namawiają do jego ostatecznego demontażu, inni twierdzą, że model ten przeżył się i radykalnie załamał. W rozwiniętych krajach Zachodu kryzys ten zaostrza starzenie się społeczeństw i wymuszana przez globalizację wzmożona konkurencja na rynku światowym skłania do redukcji kosztów pracy i do cięć budżetowych na rozmaite wydatki socjalne.

Na obecny kryzys *welfare state* poszukują dziś odpowiedzi nie tylko socjaldemokraci i socjalliberałowie – tradycyjni promotorzy tej koncepcji państwa. Jednym z proponowanych rozwiązań jest strategia czysto defensywna, zachowawcza, broniąca dotychczasowych form ingerencji państwa w życie gospodarcze i społeczne. Jest to podejście konserwujące anachroniczne już funkcje redystrybucyjne

władzy centralnej, przeciwne „odpaństwowieniu” rozległych obszarów ludzkiej aktywności. Podejście to zdaje się nie zauważać, iż podtrzymywanie wielu odgórnych subwencji, dotacji i świadczeń prowadzi do utrwalania się swoistej „kultury uzależnienia”, którą charakteryzuje naiwny egalitaryzm, rozwinięte postawy roszczeniowe i w ostatecznym efekcie – zwyczajna bezradność wobec sytuacji mogących pogarszać warunki bytu ludzi, a więc takich ryzyk społecznych, jak np. choroba czy utrata miejsca pracy.

Inna strategia, propagowana coraz częściej przez europejską centrolewicę, prezentuje alternatywną diagnozę i receptę, a przynajmniej inaczej rozkłada akcenty. Punktem wyjścia jest założenie, że sprawiedliwość społeczna to przede wszystkim równość szans, a nie równość podziału. A także teza, że w dzisiejszych warunkach konieczne jest przede wszystkim poszukiwanie nowej równowagi między prawami i obowiązkami, między odpowiedzialnością zbiorową i indywidualną. Rozumie się przez to przyznanie większej roli indywidualnej aktywności, inicjatywie i kreatywności, samoorganizacji i działaniom samopomocowym podejmowanym przez instytucje społeczeństwa obywatelskiego, w tym zwłaszcza na szczeblu wspólnot lokalnych. Działania rynkowe – choć poddane kontroli i regulacjom – nie mogą być jednak eliminowane, zaś konieczna solidarność społeczna nie powinna niszczyć pożądanej w wielu dziedzinach konkurencji.

W tym ujęciu zwalczanie upośledzenia i biedy nie musi kłócić się z promowaniem przedsiębiorczości, ale przeciwnie – wymaga stwarzania szans i zachęt do samodzielnego poprawiania warunków życiowych przez jednostki i rodziny. Nowa rola rządów nie powinna przypominać ani tradycyjnej wizji lewicy, ani też odwoływać się do drugiej skrajności,

czyli do klasycznego modelu *laissez faire*. Władza państwowa musi dziś szerzej wykorzystywać pośrednie, bardziej subtelne instrumenty oddziaływania na gospodarkę i sferę społeczną. Jej powołaniem winna być m.in. dbałość o stabilność makroekonomiczną, wspieranie innowacyjności technologicznej i produkcyjnej, promowanie eksportu, sprawniejsza kontrola międzynarodowych przepływów kapitałowych. Polityka podatkowa i socjalna nie powinna w jakimkolwiek stopniu zniechęcać do pracy czy tworzenia nowych miejsc pracy, ani też skłaniać do trwałego uzależnienia od różnych form pomocy ze strony państwa. Decentralizacja i wzrost roli samorządów, działających zgodnie z zasadą subsydiarności, mają zapewnić lepsze warunki instytucjonalne dla efektywnego zaspokajania potrzeb społecznych.

Wśród tematów omawianych na światowych forach ekonomicznych – w Davos, Salzburgu – na których wielokrotnie byłem obecny, dyskutuje się nie tylko o polityce makroekonomicznej, o nowych technologiach w przemyśle, o globalizacji i konkurencyjności. Coraz więcej uwagi poświęca się wymiarowi społecznemu procesów gospodarczych. Odczuwa się dość powszechnie potrzebę dyskusji o polityce społecznej, o równości szans, o inwestycjach społecznych, o strategii finansowania sektora usług społecznych. Znamiennym przykładem tej ewolucji zainteresowania światowych kręgów gospodarczych była niedawna nagroda Nobla w dziedzinie ekonomii, którą otrzymał Hindus – Amartya Sen, zajmujący się problemami biedy i nierówności społecznej we współczesnym świecie.

Bliskie mi są w tym względzie poglądy wyrażane przez Tony'ego Blaira i Gerharda Schrödera. Choć odnoszą się one do realiów społeczeństwa na innym poziomie rozwoju

ekonomicznego, zawierają jednak interesującą próbę połączenia pragmatyzmu z wrażliwością, efektywności z solidarnością, rozwoju gospodarczego z rozwojem społecznym i kulturalnym.

Nowe podejście do polityki gospodarczej i społecznej współczesnych demokracji rynkowych prezentują między innymi zwolennicy koncepcji „trzeciej drogi”. Obaj politycy przekonują, że nieodzowne jest dziś wyjście zarówno poza powojenne, anachroniczne w obecnych warunkach, postulaty „starej lewicy” (prymat własności państwowej, wysokie podatki, twarda obrona interesów wyłącznie wytwórców, z czym wiąże się szczególna rola w życiu publicznym związków zawodowych), jak i mocno zużyte już tezy neoliberalnej „nowej prawicy” (wąski indywidualizm, wolny rynek jako odpowiedź na wszystkie problemy itp.). Realizacja tradycyjnych wartości centrolewicy – takich jak solidarność, sprawiedliwość społeczna, tworzenie szans – wymaga odrzucenia fałszywych sprzeczności między prawami a odpowiedzialnością, między sektorem publicznym a prywatnym, czy też sztucznych antynomii między producentem a konsumentem, między pracownikiem a pracobiorcą.

Formuła centrolewicowej „trzeciej drogi” jest oczywiście wciąż daleko niejednoznaczna, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę to, co o niej mówią i w jakich kontekstach posługują się tym terminem politycy z różnych krajów. Niezależnie od teoretycznych rozważań, tym co będzie rozstrzygać o społecznym poparciu dla idei „trzeciej drogi”, będzie naturalnie jej praktyczna użyteczność.

Dziedziną sektora usług publicznych, w której rządy mają dziś do odegrania wyjątkowo ważną rolę, jest niewątpliwie edukacja. Piszę o tym więcej w innym miejscu. Do przekonania trafiła mi zwłaszcza opinia ważnego ideologa Trzeciej



Drogi profesora Anthony Giddensa, z którym dyskutowałem parę razy w Londynie, że słabością rynku jest w tym kontekście jego niewielka zdolność pielęgnowania kapitału ludzkiego, czyli po prostu kwalifikacji i wiedzy, których współczesny rynek tak bardzo wymaga od ludzi.

Dobrym przykładem poszukiwań nowej równowagi między odpowiedzialnością zbiorową a indywidualną są, na przykład, holenderskie doświadczenia w reformowaniu państwa opiekuńczego w ostatnich kilkunastu latach. Ważną rolę w pomyślnym przeprowadzeniu tych reform odegrała nie tylko silna partia socjaldemokratyczna, ale i zgodna współpraca związków zawodowych ze stowarzyszeniami pracodawców. Po wypracowaniu przełomowego tzw. porozumienia z Wassenaar w 1982 roku, powstało forum regularnych konsultacji w sprawach pracowniczych i socjalnych z udziałem przedstawicieli rządowych. Rekomendacje wypracowywane przez partnerów społecznych miały poważne znaczenie w przezwyciężaniu głębokiej recesji gospodarczej, kryzysu strukturalnego i bezrobocia, jak również we wprowadzaniu trudnych, ale koniecznych zmian w polityce społecznej.

Sądzę, że nie tylko te holenderskie doświadczenia zasługują na uważne studiowanie w naszym kraju. Historia i obecne dokonania także wielu innych państw zachodnich pokazują, że otwarcie na globalny rynek i wzrost gospodarczy nie muszą kłócić się z rozwojem socjalnych funkcji państwa. Bezpieczeństwo socjalne było i jest tam wciąż postrzegane jako instrument wzrostu ekonomicznego, między innymi dlatego, że jakość kapitału ludzkiego w istocie rozstrzyga o wynikach adaptacji otwartych na świat gospodarek na szybko dokonujące się zmiany w otoczeniu międzynarodowym.

## Nie zapominajmy o dialogu społecznym

Filozofia stojąca u źródeł porozumienia z Wassenaar miała też wpływ na polskie myślenie o formach dialogu społecznego, zwłaszcza w trójkącie rząd–pracodawcy–związki zawodowe.

U nas także często w powodzi słusznych i racjonalnych reform gospodarczych ginie tak ważne ich społeczne oblicze. Jeżeli w dalszym procesie transformacji nie zachowamy minimum społecznej równowagi i socjalnego bezpieczeństwa grozi nam jego wykoślenie przez niezgodę ludzi. Problemy i napięcia rozładowywać można skutecznie wyłącznie za pomocą dialogu.

To nie przez przypadek za czasów rządów SLD–PSL w latach 1994–1997 radykalnie zmniejszyła się liczba strajków. Był po prostu prowadzony ciągły społeczny dialog na przykład w ramach świeżo wówczas powołanej Komisji Trójstronnej. Krytycy powiadają, że ów spokój kupiony był za cenę zaniechania reform. To nieprawda, reformy były, choć oczywiście nie tak liczne i radykalne jak obecnie. Tylko, że jeśli wprowadza się reformy, o których z góry wiadomo było, że naruszą pozycję różnych grup zawodowych i społecznych, trzeba od razu przygotować się do dialogu, do likwidowania napięć. Zdaje się, że tej wyobraźni zabrakło w rządzie Jerzego Buzka.

Wracając do podstawowego dla tych rozważań problemu ubóstwa, sądzę, że aktywność państwa dalece tu nie wystarczy. Potrzebna jest powszechna mobilizacja: samorządów, organizacji pozarządowych, kościołów, osób prywatnych. Czasami na skutek głośnych akcji charytatywnych można odnieść wrażenie, że mamy tej pomocy biednym w Polsce aż za dużo. Nic bardziej błędnego. To zaledwie

kropla w oceanie potrzeb. Jeśli nie chcemy, aby powstała i utrwaliła się w naszym kraju „podklasa” składająca się z wielodzietnych rodzin bezrobotnych, zamieszkałych z dala od dużych ośrodków miejskich i nie mających żadnego wykształcenia ani własnego gospodarstwa, to musimy zwielokrotnić nasze wysiłki. Jeśli nie godzimy się na to, żeby były w Polsce dzieci głodne lub zatrudniane do ciężkiej pracy, to musimy na większą skalę organizować dla nich pomoc. Nie chodzi tylko o pieniądze, ale także o wsparcie psychiczne, życzliwość, poradę. O pokazanie, że ludzie biedni mają swoje miejsce wśród nas i mają szansę na zmianę swego losu i lepsze życie.

Wielokrotnie o tym mówił wielki „rzecznik” walki z ubóstwem – papież Jan Paweł II. Nie było takiej pielgrzymki do kraju, gdzie nie upomniałby się on o biednych, cierpiących, opuszczonych. I gdzie nie napomniałby rządzących, że spoczywa na nich obowiązek organizowania pomocy takim ludziom i środowiskom.

Proponuję rozważyć, czy obecnie – po 10 latach budowania nowego państwa, w przeddzień przystąpienia do Unii Europejskiej – byłoby możliwe przygotowanie na wzór paktu o przedsiębiorstwie i paktu dla wsi – paktu przeciwko ubóstwu. Wiem, że takie próby podejmował Jacek Kuroń i że Lech Wałęsa próbował zainicjować społeczną dyskusję na ten temat. Rezultaty nie były jednak zgodne z oczekiwaniami. Nie wolno nam się tym zrażać. Dopóty są w Polsce ludzie biedni i niedożywione dzieci, dopóty mamy obowiązek szukać skutecznych rozwiązań tego problemu.

# Kraj za miastem, Polska zrównoważonego rozwoju

*Rzeczpospolita Polska strzeże dziedzictwa narodowego oraz zapewnia ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju.*

Te słowa pochodzą z artykułu 5 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Byłem i jestem gorącym zwolennikiem takiego zapisu. Pamiętam jeszcze gorące debaty w Komisji Konstytucyjnej dotyczące znaczenia i interpretacji poszczególnych pojęć. Kiedy jednak dzisiaj myślę o rozwoju Polski w XXI wieku, to sądzę, że polityk czytając tę dyspozycję konstytucyjną, zawsze winien pamiętać, czemu ten zrównoważony rozwój ma służyć. Celem nie jest bowiem, jak się często sądzi, tylko ochrona środowiska, ale również rozwój cywilizacyjny kraju, wszystkich jego obszarów. Rozwój społeczny i gospodarczy oraz ochrona – dziedzictwa, środowiska, regionalnych i lokalnych tradycji – powinny być procesami współbieżnymi, maksymalnie zintegrowanymi.

Pochodzę z Białogardu, niewielkiego miasta na Pomorzu Środkowym. Jest to region pięknych krajobrazów i wielkich, ale nie wykorzystanych możliwości. W tej części Polski pełno jest lasów i jezior, płyną wspaniałe, krótkie rzeki

wypływające ze wzgórz morenowych, które po kilkunastu kilometrach wicia się we wspaniałej scenerii, wpadają do Bałtyku. To rzeki, w których występują gatunki ryb szlachetnych, dlatego przyciągają wędkarzy i miłośników spływów kajakowych. Chciałbym, aby i w XXI wieku region ten oferował ludziom swoje piękno.

Ale w tych moich rodzinnych okolicach najlepiej widać też rezultaty niekonsekwentnej polityki prowadzonej wobec obszarów wiejskich i rolnictwa przez minione 10 lat. A pamiętajmy – mówiąc o obszarach wiejskich i rolnictwie mówimy o 94 procentach naszego terytorium zamieszkałym przez 40 procent ogółu Polaków. Tak rozumiane obszary wiejskie decydują o sprawności funkcjonowania ekosystemów, tworzą podstawy dla życia wszystkich mieszkańców naszego kraju i amortyzują ujemne skutki działań człowieka. Same w sobie stanowią ogromne zasoby produkcyjne i istotną część majątku narodowego. Majątek ten nie jest w pełni wykorzystany, gdyż obszary wiejskie w Polsce są zapóźnione w rozwoju i niedoinwestowane.

Na tych obszarach skoncentrowany jest też wielki kapitał demograficzny będący szansą całej Polski. Blisko połowa ludności kraju w wieku przedprodukcyjnym to wiejskie dzieci i młodzież. Młodzież ta nie ma dzisiaj równych szans ze swymi rówieśnikami z miast.

Na Pomorzu Środkowym i Zachodnim bardzo liczne były kiedyś gospodarstwa państwowe. Nie mam wątpliwości, że dopuszczenie do ich krachu i unicestwienia to największy błąd i najpoważniejszy grzech na sumieniu rządzących w naszym kraju. Na początku lat dziewięćdziesiątych wielkie środowisko społeczne, nie tylko oczywiście w byłym województwie koszalińskim, pozostawiono samemu sobie. Ci ludzie wraz z całymi rodzinami stanęli z dnia na dzień

w obliczu utraty warsztatów pracy i podstaw egzystencji. W rezultacie dziesiątki, nawet setki tysięcy osób do dziś znajdują się w stanie nieodwracalnej ekonomicznej zapaści i socjalnej wegetacji. Jeśli są w Polsce, na polskiej wsi, takie społeczności, które równocześnie dotknął kryzys ekonomiczny, społeczny, kulturalny, a także kryzys motywacji, aby coś we własnym życiu zmienić, to najprędzej znajdziemy je właśnie tu.

## Strategia przetrwania

Polska, którą się dzisiaj chlubimy, wyrasta z wysiłku różnych ludzi i społeczności. Nie sposób przedstawić naszej historii XX wieku bez uwzględnienia wkładu polskiej wsi. A także – bez takich postaci jak Wincenty Witos, Maciej Rataj czy Stanisław Mikołajczyk – rzeczników interesu polskiego chłopca, a zarazem wielkich patriotów i mężów stanu. Nie sposób nie dostrzec ogromnego historycznego wkładu ruchu ludowego w dzieło zachowania narodowej tożsamości, ale i cywilizacyjnego postępu na polskich ziemiach.

Polska wieś nie była nigdy biernym obserwatorem. Również wtedy, kiedy po roku 1989 kraj się reformował i zmieniał. To także dzięki polskim rolnikom mamy dzisiaj wzrost gospodarczy. Mieszkańcy wsi – dzięki swej pracy, cierpliwości i wytrwałości – bardzo przyczynili się do sukcesów polskiej gospodarki i sukcesów państwa polskiego. Nie ulega wątpliwości – zapłacili za to dużą, zbyt dużą cenę.

W okresie ostatnich 10 lat, po raz drugi od zakończenia drugiej wojny światowej, istotną część kosztów zachodzącej zmiany ustroju ekonomicznego ponoszą rolnicy. Polskie rolnictwo wygląda – niestety – źle. Na ponad 2 miliony

gospodarstw tylko 900 tysięcy wykazuje przychód roczny, który można by określić mianem produkcji towarowej. Wierzę, że na dłuższą metę silne gospodarstwa rolne odczują poprawę sytuacji. Żyjemy jednak – tu i teraz. Tu i teraz trzeba związać koniec z końcem, wykształcić dzieci, wyposażyć gospodarstwo.

Po 10 latach od wprowadzenia zasad gospodarki rynkowej w Polsce nikt już nie broni poglądu, iż najlepszym sposobem rozwiązania problemu zapóźnienia wsi i rolnictwa było pozostawienie ich losu samym mechanizmom rynkowym. Gdyby wcześniej odrzucono tę zasadę, społeczny koszt przemian w początku lat dziewięćdziesiątych mógł zapewne być niższy. Początek reform przyniósł bezrobocie, ograniczenie dochodów z produkcji rolniczej, spadek inwestycji, zadłużenie gospodarstw rolnych i przedsiębiorstw przemysłu spożywczego oraz pogłębienie różnic pomiędzy miastem a wsią. Na wsi pojawiła się bieda w stopniu nieznanym od wielu dziesięcioleci.

I dlatego, gdy powtarzam, że głównymi bohaterami naszej polskiej transformacji gospodarczej nie są politycy i profesorowie – ludzie z pierwszych stron gazet – ale miliony obywateli, mam na myśli także, a może przede wszystkim, mieszkańców wsi.

Doszło do drastycznego spadku dochodów w gospodarstwach rolnych, nie wyzwolono natomiast wystarczająco silnych impulsów dla pozytywnych zmian na wsi. Dziś, pomimo postępu technicznego w produkcji rolnej i wzrostu wydajności pracy, dochody rolnicze wynoszą około 40 procent tego, co zarabia się poza rolnictwem. Spadek jest dramatyczny, bo jeszcze w 1995 roku parytet dochodów przekraczał dwie trzecie. I chociaż wskaźnik ten nie jest najlepszym miernikiem różnic – bo wydajność pracy w rolnictwie jest

znacznie niższa niż w innych sektorach gospodarki, to przecież odzwierciedla ubóstwo i degradację wsi.

Transformacja przyniosła też, niestety, dezorganizację infrastruktury społecznej wsi. Zdegradowany i zdemonstrowany został system spółdzielczych banków i spółdzielczości wiejskiej, która wspierała rozwój wiejskiej infrastruktury, głównie oświaty, kultury i sportu. Ludność wiejska jest upośledzona w dostępie do tych dóbr, co opóźnia jej awans cywilizacyjny. Żyje ona na znacznie niższym poziomie niż ludność miejska. Szczególny dystans do środowisk miejskich dzieli ją w dziedzinie oświaty, ochrony zdrowia, kultury i wypoczynku. Jednocześnie – i to trzeba powtarzać – w tych niekorzystnych warunkach polska wieś zachowała tradycyjne instytucje życia społecznego: własny ruch kulturalny, Ochotnicze Straże Pożarne, Koła Gospodyń Wiejskich, związki zawodowe rolników. To nie paradoks. To tradycyjna wola i umiejętność trwania wbrew przeciwnościom, zasługująca na najwyższy szacunek.

Jednym z najtrudniejszych i najbardziej dotkliwych problemów polskiego rolnictwa i wsi jest bardzo wysoki poziom bezrobocia rejestrowanego i ukrytego. Zjawisko to na wsi nie ogranicza się tylko do osób zarejestrowanych w urzędach pracy. Spis rolny ujawnił, że bezrobocie ukryte w rolnictwie indywidualnym wynosi niemal milion osób. Uwzględniając bezrobocie rejestrowane – w końcu 1999 roku bez pracy pozostawało prawie dwa miliony osób zamieszkałych na wsi! A przecież bezrobocie na wsi jest zjawiskiem bardziej trwałym, trudniejszym do ograniczenia, wymagającym stosowania innych niż w miastach form i metod jego przezwyciężania oraz zaangażowania znacznie większych środków finansowych.



Rozwierają się nożyce przychodów z działalności rolniczej i kosztów produkcji. Nieopłacalna staje się często produkcja nawet w wysoko towarowych gospodarstwach rolnych. Przeświadczenie, że rynek sam wymusi strukturalne przemiany i że słabsze gospodarstwa same wypadną z rynku, a silniejsze produkować będą bardziej efektywnie – nie do końca się potwierdziło. Okazało się, że rolnicy doświadczeni negatywnie przez wolny rynek wybierają częściej strategię przetrwania. Struktura chłopskich gospodarstw rolnych, mimo iż jest niekorzystna, od kilku lat nie ulega istotnym zmianom.

Znaczna większość gospodarstw rolnych utraciła zdolność gromadzenia środków na rozwój. A to oznacza zahamowanie modernizacji. Niskie dochody rolnictwa obniżają tempo przemian wsi, zagrażają też wzrostowi produkcji przemysłowej, ograniczając popyt na towary i usługi. Wypadnięcie gospodarstwa poza rynek to w praktyce zdegradowanie go do roli socjalnej. Do pozycji działki dostarczającej właścicielowi żywność dla podreperowania domowego budżetu. Tyle tylko, że ten budżet w warunkach polskiej wsi często opiera się wyłącznie na skromnych emeryturach rolniczych otrzymywanych przez babcię i dziadków we wspólnym gospodarstwie. Ale cóż to za perspektywa?

## Odejść od polityki krótkiego dystansu

Nie będę roztrząsał tego, kto bardziej, a kto mniej zawinił wobec wsi w minionym dziesięcioleciu. Takie spory wydają mi się dość jałowe. Niech to oceniają wyborcy. Uważam, że wszyscy politycy, cała polityczna elita Polski powinna przyznać, że od roku 1989 nie zrobiliśmy wszystkiego, co należa-

ło. I choć grzechy rozkładają się różnie, bo jedni zawinili bardziej, drudzy mniej, myślę, że nie ma rządu Rzeczypospolitej, nie ma ministra rolnictwa – a było ich już bodaj jedenastu – ani sił politycznych, którzy mogliby dzisiaj z czystym sumieniem stwierdzić: my zrobiliśmy wszystko, co było możliwe, by ulżyć polskiemu rolnikowi. Powinniśmy sobie powiedzieć jasno: wszyscy mamy i powinniśmy mieć poczucie współodpowiedzialności za to, co się w sprawach polskiej wsi dzieje.

Dzisiaj wiemy, że przyczyn tego, iż w rolnictwie sprawy poszły w złym kierunku, jest wiele. Niektóre ze zjawisk mają charakter obiektywny. Mamy do czynienia z dekoniunkturą, ponadto ktoś mógł sądzić, że rynek rosyjski załamał się tak gwałtownie. Ale są i subiektywne zaniechania. Wiele działań można było rozpocząć wcześniej.

Problemy na wsi narastały w minionej dekadzie zwłaszcza wtedy, gdy rząd realizował zorientowaną bardzo ideologicznie liberalną politykę ekonomiczną. Po prostu wieś i rolnictwo na takiej polityce tracą. Rolnictwo wymaga przemyślanego interwencjonizmu gospodarczego ze strony państwa. Taka już jest natura gospodarki rolnej. Nie my to odkryliśmy, nie my pierwsi stosowaliśmy interwencjonizm w stosunku do rolnictwa, toteż nie my powinniśmy dawać sygnał do odwrotu w tej dziedzinie.

W latach 1993–1997 podjęto szereg działań mających na celu poprawę sytuacji rolnictwa. Usunięto wiele barier, zwiększono dostępność i wysokość pomocy finansowej z budżetu państwa. Dotacje w znacznej części przeznaczone były na wsparcie finansowe bieżących procesów produkcyjnych, to jest na dopłaty do kredytów skupowych i na zakup podstawowych środków do produkcji rolnej. Korzystała z nich co roku spora grupa rolników.

Budowanie systemu pomocy i tworzenia warunków dla unowocześniania wsi i polskiego rolnictwa, jego restrukturyzacji, poprawy warunków życia i pracy na terenach wiejskich zostało od roku 1998 w znacznym stopniu zahamowane. Do czasu eksplozji społecznego niezadowolenia na wsi zimą 1999 roku, wśród priorytetów rządu Jerzego Buzka nie było wsi i rolnictwa. Budżet państwa na kolejne lata nie zapewniał kontynuacji wcześniej podejmowanych działań. Nie udało się też dotrzymać umowy społecznej wynegocjowanej w lutym ubiegłego roku pod presją powszechnych strajków. W roku 1999 narastające problemy spowodowały falę gwałtownych protestów. Opinia publiczna w swej zdecydowanej większości, różne środowiska polityczne związane z rządem i z opozycją, uznały ekonomiczne podłoże tych protestów za uzasadnione.

Nie ukrywałem nigdy, że ja również rozumiem determinację rolników, postawionych z miesiąca na miesiąc wobec dramatycznego załamania dochodów. Spadek opłacalności produkcji rolnej jest bardzo poważnym problemem społecznym. Nie wolno nad tym przechodzić do porządku dziennego i lekceważyć protestów. Państwo musi reagować na takie sytuacje, znajdować sposoby i środki rozładowujące napięcie. Do rolników natomiast możemy apelować o zrozumienie i cierpliwość.

Czasem mam wrażenie, że rozmawiamy o sprawach rolnictwa zbyt późno. Wtedy, kiedy czas już najwyższy nie na rozmowy i wylewanie różnego rodzaju żalów, lecz na podejmowanie decyzji i działań. Uważam jednak, że zawsze powinniśmy znaleźć czas i cierpliwość, żeby wysłuchać siebie nawzajem i zastanowić się nad tym, co oferujemy Polsce, polskiej wsi, polskiemu rolnictwu. Dwukrotnie więc w minionym roku zaprosiłem do swojej siedziby przedstawicieli

rządu, związków zawodowych rolników oraz wybitnych ekspertów, aby dyskutować o dniu dzisiejszym i przyszłości polskiej wsi. Dyskusja ta okazała się bardzo potrzebna.

Liczyłem, że formuła spotkań, ich reprezentatywny charakter pozwolą na odejście od sporów politycznych na rzecz poszukiwania konsensusu w sprawach najważniejszych dla polskiego rolnictwa. Mówiłem, otwierając pierwsze rolnicze forum, że Pałac Prezydencki to nie sala sejmowa i można tu rozmawiać bez politycznych emocji. Apelowałem, by nie ważyć swoich przewin i zrobić krok do przodu. Był to apel do rządu, do głównych sił politycznych, do przedstawicieli środowisk i organizacji rolniczych.

Rozmowy nie są jednak tylko po to, by rozmawiać. Wszystkim nam potrzebna jest wyraźniejsza identyfikacja problemów i najważniejszych zadań do podjęcia.

Co jest dziś najbardziej potrzebne polskiej wsi? Zgadzaemy się tu chyba wszyscy – odejście od polityki krótkiego dystansu. Najważniejsze jest zapewnienie przyszłości i rozwoju polskiej wsi w perspektywie kilkuletniej i kilkunastoletniej. Stąd też płynie konieczność zjednoczenia wysiłków rządu, parlamentu, przedsiębiorców, związków zawodowych w celu znalezienia dobrych, skutecznych rozwiązań. Potrzebny jest kompromis społeczny zwłaszcza co do skali interwencji państwa, jej form. Wszystko to wymaga jednak odwołania się do podatników, do ich poczucia społecznej solidarności.

Ostry reżim we wspieraniu środkami budżetowymi tendencji rozwojowych i odróżnianie ich od pomocy socjalnej jest trudne do zaakceptowania przez związki zawodowe rolników i partie polityczne mające swój elektorat na wsi. Odczuwamy niedostatek środków budżetowych – więc

priorytet w polityce rolnej chętniej widzą one w doraźnym łagodzeniu ubóstwa rolników niż systemowej transformacji. Do tego dochodzi wykorzystywanie od czasu do czasu problemów rolników do rozgrywek personalnych czy politycznych.

Czas to zmienić. Wieś nie może być elementem przetargu politycznego. Potrzeba zmian jest tak wielka, że politycy muszą wykazać się odwagą i uczciwością w mówieniu rolnikom prawdy o sytuacji polskiego rolnictwa. Również związki i organizacje rolnicze powinny być gotowe do dyskusji i promowania pozytywnych zmian. Najbardziej zawsze szkodzi blokowanie decyzji.

Na długo przed spotkaniami w Pałacu Prezydenckim, już w roku 1998, ostrzegałem przed skutkami niepokojąco pogarszających się warunków życia i pracy na wsi. Mówiłem o tym między innymi podczas dożynek w Barzkowicach koło Szczecina, proponując pakt dla rolnictwa – na wzór paktu o przedsiębiorstwie państwowym. Nie mam oczywiście pretensji do autorstwa tej idei i cieszę się, że ta myśl została podjęta kilka miesięcy później przez rząd.

Nie można oczywiście oczekiwać, że taki pakt natychmiast rozwiąże wszystkie problemy. Nie jest to panaceum na wszystkie dolegliwości. Pakt o przedsiębiorstwie również nie uzdrowił automatycznie polskiego przemysłu wbrew prawom ekonomicznym. Sprawdził się jednak jako metoda poszukiwania rozwiązań i określania hierarchii celów. Stał się także systemem wczesnego ostrzegania, uświadamiania rodzących się zagrożeń. Oprócz swego wymiaru konkretnego – ustaw, decyzji, środków i zadań dla różnych instytucji – idea paktu zawiera w sobie założenie szerokiego dialogu społecznego. Jedyne on pozwoli na stworzenie ta-

kiego szczegółowego programu dla wsi i rolnictwa, który może zostać uznany za słuszny i realny przez wszystkich.

Wiem, że niektórzy uważają, iż propozycji „ponadpartyjnych paktów” mamy w Polsce za dużo. Być może. Ale czy są inne, równie skuteczne i atrakcyjne dla wszystkich stron sposoby rozwiązywania trudnych problemów? Dlatego, jako prezydent, byłem i będę zwolennikiem cierpliwego dochodzenia do konsensusu wszędzie tam, gdzie wymaga tego sytuacja.

## Droga do modernizacji wsi i rolnictwa – trzy oddzielne polityki

Mówiąc o polityce wobec wsi i rolnictwa, często zapominamy, że w gruncie rzeczy chodzi tu o trzy odrębne polityki. Inne instrumenty powinny być kierowane do wysokotowarowych gospodarstw rozwojowych, zwiększających produkcję i dbających o jej jakość, inne – na rozwój obszarów wiejskich i tworzenie na wsi miejsc pracy poza rolnictwem. Innymi metodami powinno się natomiast ograniczać obszary biedy na wsi, rozwiązywać trudne problemy socjalne.

Jeśli ja miałbym zastanawiać się nad priorytetami polityki wobec wsi i rolnictwa na najbliższe lata, to wśród rzeczy najważniejszych wymieniałbym uwagę i zaangażowanie poświęcone sprawie rozwoju oświaty. Wiem, że nie prezydent jest tu dysponentem środków, nie jest też regulatorem i twórcą zasad, lecz w ramach wpływów, jakimi dysponuje – formalnie i mniej formalnie – powinien mieć na sercu te arcyważne kwestie.

Młodzież wiejska musi uzyskać szansę zdobycia średniego wykształcenia i dalej – drogi na studia. Przyszłość

rolnictwa należy do dobrze wykształconej młodzieży wiejskiej. Wykształcenie idzie w parze z kompetencjami oraz ambitną motywacją, aby nadal iść naprzód, rozwijać się i osiągać sukcesy. Bez tych czynników nie wyobrażam sobie postępu na wsi. Brak wykształcenia to w masowej skali rutyna i zubożenie na nowe zjawiska dookoła. Nie chcę rozciągać tej prawidłowości na wszystkie przypadki, ale w masowej skali zarysowuje się prawidłowość – im więcej ludzi wykształconych, tym szybszy postęp, tym pomyślniejsze losy jednostek i społeczeństw. Z takiej perspektywy patrzę na to zjawisko, które w wielkim stopniu dotyczy także polskiego rolnictwa, polskiej wsi, środowiska, gdzie tempo zmian i skala wyzwań jeszcze silniej niż gdzie indziej powinny pobudzać popyt na wykształcenie.

Często powiada się – i słusznie – że należy stawiać na rozwój wsi, która jest szerszym środowiskiem niż samo tylko rolnictwo. To racja. Ale też nie oszukujmy się – bez zdrowego ekonomicznie rolnictwa nie będzie jakiegoś wyabstrahowanego „rozwoju wsi”. Najważniejsze jest rozwiązanie problemu – co robić, aby przyszłość nie jawiła się Polakom zamieszkałym poza wielkimi aglomeracjami jako coraz bardziej gęstniejące zagrożenie, aby umieć skutecznie przeciwstawić się ugruntowującemu się wśród rolników przekonaniu, że zepchnięci zostali do kategorii obywateli znajdujących się na marginesie zainteresowań państwa i jego politycznych elit.

Latem 1999 roku rząd określił swoją strategię rozwoju rolnictwa. Składa się ona z trzech części. Pierwszy filar to wspieranie rolnictwa i jego otoczenia. Drugi – to rozwój przedsiębiorczości i tworzenie pozarolniczych miejsc pracy. Trzeci – kompleksowa polityka społeczna wobec wsi i rolnictwa, rozwój cywilizacyjny obszarów wiejskich. W każdej

z tych dziedzin potrzebna jest interwencja państwa. Chodzi nie tyle o rozwiązania protekcjonistyczne, ale przede wszystkim o zdolność do absorbowania przez rolnictwo nowych technologii, nowoczesnych metod organizacji produkcji i handlu oraz zarządzania. Doświadczenie wskazuje, że łatwiej jest określić cele i priorytety polityki rolnej, niż stworzyć i wdrożyć efektywne instrumenty ich realizacji, dlatego na nich dzisiaj należy się skupić. Ponadto dla każdej strategii, także i dla tej, najważniejszym elementem jest pozyskanie akceptacji społecznej. Musimy więc cierpliwie rozmawiać, dogadywać się, wspólnie decydować o szczegółach. Lepszej drogi nie ma.

Nie mam wątpliwości, że istnieje odpowiedzialność państwa za sprawy rolnictwa. Doświadczenia krajów Europy Zachodniej, doświadczenia Stanów Zjednoczonych wyraźnie pokazują, że konieczny jest wpływ państwa na procesy ekonomiczne i rynek, zarówno towarowy, jak i rynek zatrudnienia. Istnieje też odpowiedzialność państwa za rozwój naukowo-techniczny i unowocześnianie procesów produkcyjnych. Zatem państwo nie może zwolnić siebie z tej roli i być biernym obserwatorem.

Interwencjonizm państwa na wsi kojarzy się dziś przede wszystkim z interwencyjnym skupem płodów rolnych. Ten skup jest potrzebny, ale w obecnym kształcie – cóż to za interwencjonizm? Bardzo często skutkuje utrwalaniem złej struktury produkcji rolnej. Działa w perspektywie bardzo krótkiej, jak plaster na dużą ranę. Interwencjonizm powinien oddziaływać na dłuższą metę. W moim przekonaniu, przede wszystkim w takim kierunku, aby stworzyć perspektywę rozwoju dla towarowych gospodarstw rolnych oraz dać producentom jasność co do perspektywy opłacalności w ciągu kilku lat, nie zaś miesięcy.



Należy postawić na rozwój silnych, towarowych gospodarstw – zdolnych do konkurencji na rynku polskim, ale także europejskim. Są w Polsce setki tysięcy gospodarstw o takim potencjale. Nie chciałbym wyklądać systematycznie o jakie konkretne kierunki oddziaływania państwa chodzi. Podam tylko przykładowo: należy zdecydowanie ułatwić i wspomagać dotacjami powiększanie przez rolników powierzchni gospodarstw. Podobnego wsparcia wymagają niektóre inwestycje w gospodarstwach rolnych, choćby w przechowywaniu – przecież część problemów polskiego mleczarstwa bierze się stąd, że do zakładów dociera niedobre mleko, które sami rolnicy przechowują w złych warunkach. Należy przywrócić właściwą rangę popieraniu postępu rolniczego, choćby we wprowadzaniu nowych jakości w hodowli i uprawie. Jakież wspaniałe mamy tradycje! Choćby w sadownictwie.

Bez pieniędzy i określenia instytucji zaangażowanych w modernizację wiemy doskonale, że dyskusje „co trzeba” są jedynie koncertem życzeń, rozbudzającym oczekiwania społeczne. Programy działania muszą więc określać nie tylko cele. Jasne muszą być możliwości finansowania. Dlatego tak ważne jest, jakie instrumenty, nie łamiące dyscypliny finansów publicznych, powinno się stosować. Instrumenty są tu dość tradycyjne, bo niewiele nowego da się w tym zakresie wymyślić. Ale po doświadczeniach, które przeżyliśmy w latach 1998, 1999 i 2000, rząd, minister rolnictwa i agencje, które są przez rząd powołane, powinny zastanowić się nad tym, jak je lepiej i skuteczniej stosować. Jest to zadanie ogromnie trudne i ambitne, przypomina czasem stąpanie po linie, wierzę jednak, że możliwe i realistyczne.

## Na integracji z Unią Europejską wieś zyska najwięcej

Przed polskim rolnictwem stoją nowe wyzwania związane z włączaniem się w system gospodarki światowej, a przede wszystkim z integracją z UE. O sukcesach modernizacji polskiego rolnictwa zadecyduje dynamizm i racjonalność przemian w całej gospodarce narodowej. Transformacja polskiej gospodarki realizowana jest równolegle z przygotowaniem do członkostwa w Unii Europejskiej. Polska – a więc i polska wieś – powinna na koniec roku 2002 być gotowa do akcesji. Żeby tak się stało, potrzeba ogromnego wysiłku z naszej strony. Takie kraje, jak Niemcy czy Francja, zaczęły restrukturyzację swojego rolnictwa w latach pięćdziesiątych, a my aspirując do Unii Europejskiej, ich obecne standardy musimy osiągnąć w 20–25 lat.

Dziś w Polsce powtarza się bardzo często pogląd, że przyszłość wsi i rolnictwa zależy w dużej mierze od tempa integracji z Unią Europejską. Dlaczego więc ciągle tak dużo jest nieprzekonanych? Może dlatego, że dotychczas w sferze naszych relacji z Brukselą zdają się przeważać takie sprawy, jak ujemny bilans z Unią w handlu żywnością czy nierówna konkurencja polskich rolników z ich unijnymi kolegami, którzy obficie czerpią z dotacji, w tym dopłat do eksportu. Przeszkodą są zwłaszcza biurokratyczne w istocie bariery wobec eksportu produktów polskiego rolnictwa do krajów Unii. Wpływ na atmosferę mają też inne problemy, które budzą nasz niepokój. Chodzi na przykład o stosowanie przez Unię wysokich subsydiów do eksportu produktów na „nasz” tradycyjny rynek wschodni. W rezultacie budzi to niechęć dużej części wsi wobec członkostwa Polski w Unii.

Nie patrzę na te nastroje z fatalizmem – z jednej strony należy pamiętać, że im bliżej Unii, tym więcej zarysuje się korzyści dla polskiej wsi. Z drugiej strony zaś, w konkretnych sprawach należy zachować twarde, ale i racjonalne pozycje negocjacyjne z unijnymi instytucjami. Negocjacje dotyczące rolnictwa będą trudne. Między innymi dlatego, że dla Unii polskie rolnictwo stanowi potencjalnie niemałą konkurencję na własnym rynku żywnościowym. O tym pamiętajmy, bo to w jakimś sensie, trochę *à rebours*, także świadczy o obiecujących perspektywach. Liczę jednak na to, że wynegocjujemy dla polskich rolników, dla całego sektora rolnego takie warunki, które w momencie przyjęcia do Unii dadzą nam te same prawa, jakie posiada rolnik w krajach Unii Europejskiej.

Gdy mówimy o równości szans i możliwości w zjednoczonej Europie, nie możemy pozwolić, aby te słowa nie dotyczyły polskiej wsi. Integracja na raty przy jednoczesnym otwarciu naszego rynku oznaczałaby jej dalszą degradację. Postulat ograniczenia zakresu dostępu do jednolitego rynku nie mieści się w logice integracji. Polityka rolna stanowi na tyle istotną i newralgiczną część tego, czym jest Unia Europejska, że pozostawanie poza jej zasięgiem byłoby dla nas równoznaczne z niepełnym członkostwem. Za wspólną politykę rolną dostaniemy określone pieniądze; dużo wyższe niż będziemy płacić w postaci składek. I tak szacunkowo – będziemy płacić składkę około 1,5 miliarda dolarów. W zamian na samo rolnictwo powinniśmy uzyskać kwotę 3–5 miliarda dolarów. A dodać do tego trzeba niemałe środki na politykę regionalną.

Dążymy też do pełnej integracji polskiego sektora rolnego z Unią Europejską w ramach Wspólnej Polityki Rolnej. W porównaniu z wysoko rozwiniętymi krajami Europy Za-

chodniej wydajność pracy i efektywność produkcji rolnej są w Polsce wielokrotnie niższe, gdyż nasze rolnictwo weszło w okres przekształceń z niższym niż w wielu krajach Europy poziomem technicznego uzbrojenia. Usuwanie niedostatków w infrastrukturze technicznej i społecznej, wprowadzanie norm i standardów obowiązujących w Unii Europejskiej, walka z zanieczyszczaniem środowiska są to zmiany zgodne z zasadniczym celem naszej polityki rolnej, sprzyjają bowiem zwiększeniu konkurencyjności produkcji rolnej i wytwarzanej w Polsce żywności. Proces dostosowawczy jednak już się rozpoczął – celowe jest jego przyspieszenie.

Nikt w Polsce nie ukrywa, że liczymy na pomoc finansową Unii. Tempo, terminy i stopień dostosowania polskiego rolnictwa do wymogów Wspólnej Polityki Rolnej Unii Europejskiej uzależnione będą od wpływu na ten cel środków finansowych, pochodzących zarówno z krajowych źródeł jak i z funduszy Unii Europejskiej. Z pieniędzy unijnych skorzystają jedynie ci, którzy przygotowują dobry program. Polska konkuruje z innymi państwami regionu o te środki. Nieefektywne wykorzystanie drobnej nawet ich części, znacząco ważyć będzie na rozmiarach tej pomocy. Strumień pomocy dla naszego rolnictwa będzie coraz szerszy, o ile potrafimy ją zagospodarować. Coraz więcej zakładów przemysłu spożywczego bez przeszkód zacznie eksportować na unijne rynki. I bez względu na finał reformy wspólnej polityki rolnej w Unii Europejskiej, objęcie Polski mechanizmami tej polityki będzie pożyteczne dla krajowego rolnictwa.

Spróbujmy to ocenić przez pryzmat doświadczeń takich państw jak Grecja czy Portugalia, które w Unii są stosunkowo od niedawna i przeżywały wielkie niepokoje co do losów swojego rolnictwa. Proszę spojrzeć na środowisko

wiejskie w tych krajach. Właśnie to środowisko zmieniło się najbardziej. Najwięcej zyskało. Czyż nie jest to istotne doświadczenie także dla perspektyw polskiej wsi? Uważam, że tak. To nie Warszawa czy Kraków najwięcej zyskają w perspektywie kilku lat po przystąpieniu do Unii, ale właśnie te społeczności, które są związane ekonomicznie z rozwojem gospodarstw rolnych.

Zdajemy sobie przy tym oczywiście sprawę, że samo oczekiwanie na środki z funduszy przedakcesyjnych i przyszłe subwencje unijne nie jest właściwą strategią. W zewnętrznej, unijnej pomocy powinniśmy więc widzieć tylko instrument wsparcia dla zmian na polskiej wsi. Zmian zaprojektowanych przez nas i realizowanych przez nas samych.

Ogromnie dużo zależy od umiejętności samoorganizowania się polskich rolników. Tego czy – na wzór krajów zachodnich – potrafią rozwinąć bądź powołać do życia silne związki producenckie, z profesjonalnie działającymi centralami, wybitnymi ekspertami, umiejętnością poruszania się na rynkach międzynarodowych. Związki wyraźnie artykułujące potrzeby poszczególnych grup producenckich, śledzące poziom cen i potrafiące odpowiednio wcześniej reagować na zbliżające się zagrożenia. A jednocześnie – potrafiące negocjować i postrzegać sytuację poszczególnych producentów na tle całego rolnictwa. Takie podniesienie na wyższy poziom samoorganizacji zawodowej polskich rolników jest dzisiaj niezwykle potrzebne, sprzyjać bowiem będzie nawiązywaniu partnerskich stosunków ze świetnie zorganizowanymi producentami zachodnimi. Pomoże też wyeliminować pojawiający się często chaos w uzgadnianiu naszej, wewnętrznej polityki rolnej.

Negocjacje z Unią Europejską na temat integracji naszego rolnictwa dopiero się zaczęły. Podczas nich powinniśmy

przedstawić własną konkretną i czytelną wizję przyszłości naszego rolnictwa. Decyzje czy, kiedy i na jakich zasadach wprowadzić limity produkcji, jakich produktów rolnych miałyby one dotyczyć, w jaki sposób wspierać grupy producenckie – wszystko to są sprawy, które leżą w pierwszej kolejności w polskiej gestii.

## Strategia rozwoju

### – wspólnym zadaniem rządu i regionów

Pisałem już, że przystosowanie polskiego rolnictwa i polskiej wsi do Unii nie jest proste. Ale nigdzie nie było proste. Nie wyolbrzymiajmy trudności negocjacyjnych i adaptacyjnych ponad miarę. Sprostanie im jest możliwe. Wszystkie kraje europejskie przeżyły te same kłopoty. Warto zauważyć, że główne problemy, które były i są w UE, zawsze dotyczyły i dotyczą bądź rolnictwa, bądź rybołówstwa (bo to też jest rodzaj rolnictwa, mniej więcej ta sama logika działania). Ale, powtarzam raz jeszcze, na wejściu do Unii Europejskiej, przy wszystkich trudnościach i kłopotach, które będziemy mieli, najwięcej skorzysta polska wieś, polska prowincja.

Jeśli mówimy o zrównoważonym rozwoju, to nie możemy pominąć polityki regionalnej. Polsce pilnie potrzebna jest dobra polityka regionalna uwzględniająca specyficzną dla każdego województwa równowagę ekonomiczną i środowiskową. Potrzebny jest taki program wieloletniego rozwoju, który zapewni rozwój rolnictwa, zmniejszy różnice międzyregionalne, a także dystans cywilizacyjny i kulturowy dzielący miasto i wieś. Przed władzami województw (a także, choć w mniejszej skali, powiatów) stoi – na miarę środków

finansowych, którymi dysponują – wyzwanie stworzenia własnej polityki gospodarczej, pozwalającej na efektywne działanie, przyspieszające awans cywilizacyjny polskiej wsi.

To od samorządów wojewódzkich zależy, jakie będą regionalne programy rozwoju regionalnego. Muszą one zacząć myśleć jak regionalne rządy, odpowiedzialne za kreowanie i realizację polityki rozwoju własnego regionu. Niezwykle ważne w tym kontekście będzie zawarcie kontraktów regionalnych między samorządem województwa a rządem. Powstało nowe Ministerstwo Polityki Regionalnej i Budownictwa. Będzie ono m.in. koordynowało działania struktur rządowych i współpracowało z regionami. Nawet jeśli to ministerstwo nie przetrwa dłużej niż do najbliższych wyborów parlamentarnych, to właśnie w tym czasie ma ono do wykonania niezwykle odpowiedzialne zadanie. Najbliższe kilkanaście miesięcy będzie mieć bowiem zasadnicze znaczenie dla kształtu naszego zrównoważonego rozwoju dla treści kontraktów regionalnych. Także – ale nie tylko – dla tego jak wykorzystamy i czy wykorzystamy pomoc Unii Europejskiej.

Mam nadzieję, że pod szyldem polityki regionalnej nie dojdzie do ograniczenia uprawnień samorządów wojewódzkich i ponownej centralizacji kraju, bo dzielenie ogromnych pieniędzy pochodzących z zagranicy na pewno stwarza taką pokusę. Przeczyłoby to jednak logice reformy samorządowej.

Jeżdżąc po świecie dowiadywałem się, jak to robili inni. Irlandczycy, którzy bodaj najwięcej skorzystali z funduszy UE przeznaczonych na politykę regionalną, modernizację rolnictwa i unowocześnienie wsi, program przemian i restrukturyzacji przygotowali 15 lat przed przystąpieniem do

UE. Jasno określona wizja i konsekwencja pozwoliła im dobrze wykorzystać fundusze unijne i sprawiła, że dzisiaj rolnictwo irlandzkie jest jednym z motorów postępu, sukcesu ekonomicznego tego kraju. Musimy się tego pilnie nauczyć. Obyśmy nie wpadli w pułapkę, jak przed laty Hiszpanie, którzy nie potrafili wykorzystać pomocy z Brukseli. To przede wszystkim my musimy mieć pomysł, jak to zrobić i umieć przedstawiać swoje propozycje. Rząd we współpracy z samorządami wojewódzkimi i powiatowymi oraz zainteresowanymi organizacjami zawodowymi i społecznymi powinien już dziś rozwijać programy szkolenia polityków, urzędników samorządowych i działaczy społecznych w zakresie planowania rozwoju regionalnego, aktywizacji lokalnych zasobów, umiejętności korzystania ze środków pomocowych. To równie ważne jak negocjacje z Unią kwot produkcji.

Zacząłem tę część książki od artykułu konstytucji nakładającego na władze Rzeczypospolitej obowiązek działania na rzecz zrównoważonego rozwoju. Trzeba więc raz jeszcze przypomnieć, że „kraj za miastem” to nie tylko grunty użytkowane rolniczo. Mówiliśmy, że wieś nie może dobrze prosperować bez zdrowego rolnictwa, ale rolnictwo będzie nowoczesne tylko w nowoczesnym środowisku wiejskim. To sprzężenie zwrotne. A zatem stawka na przyszłość polskiej wsi to także akcent położony na rozwój infrastruktury cywilizacyjnej wsi, na usługi, na ekologię, ale przede wszystkim na edukację. To priorytet. Na wiele lat. Na całe pokolenie.

Wielkie znaczenie przywiązywać też trzeba do ochrony dorobku kultury materialnej wsi. Konieczna jest skuteczniejsza niż dotychczas harmonizacja polityki rolnej z polityką ochrony środowiska i rozwoju regionalnego. Jest to



warunek rozwoju. Jest to także bezpośredni warunek objęcia Polski odpowiednimi korzystnymi politykami, a co za tym idzie – funduszami Unii Europejskiej.

## Postawmy na walory ekologiczne

Polska wieś i nasze rolnictwo posiadają na tle Europy takie walory ekologiczno-przyrodnicze, które powinno się chronić, pielęgnować, traktując je jako naturalne bogactwo. Reforma Wspólnej Polityki Rolnej Unii Europejskiej zapewniła w większej niż dotychczas mierze środki m.in. na rzecz zachowania krajobrazu. Liczę, że te same przesłanki Bruksela będzie też doceniać, gdy do Unii będzie wchodziła Polska. Ochrona środowiska, ochrona krajobrazu, ochrona dziedzictwa przyrodniczego mają więc też swój wymiar pragmatyczny, w naszym wypadku także merkantylny. Myślę, że warto zwracać częściej uwagę na ten wymiar działań proekologicznych.

Wierzę, że światu nie zagraża zagłada przyrody, rozpad ekosystemów, nieodwracalna degradacja środowiska. Nie podzielam poglądów wielu ekologów, że musimy się ratować przed niechybną katastrofą. A mimo to trzeba zajmować się ekologią. Nie ze strachu, nie z potrzeby politycznej, nie z chwilowej mody, lecz z wyboru. Z szacunku dla każdego istniejącego życia i każdej cząstki otaczającego nas świata, ale równocześnie z troski o materialną i fizyczną kondycję ludzi. Chodzi nie tylko o obronę przed zagrożeniami, lecz przede wszystkim o wybór ścieżki postępowania, by zapewnić Polsce rozwój i zapewnić jej niepowtarzalność.

Nie zgadzam się na redukcję roli człowieka i identyfikowanie go jedynie jako producenta zagrożeń. Człowiek

wielokrotnie już udowodnił, że potrafi wykorzystywać zdobyte techniki do utrzymania równowagi w ekosystemach.

Nie ulega wątpliwości, że dążenie do zrównoważonego rozwoju stanowić będzie jeden z wiodących nurtów aktywności społecznej w najbliższym stuleciu. Dlatego kapitalne znaczenie ma edukacja ekologiczna. Musimy rozwinąć wszelkie formy podnoszenia wiedzy na temat rozwiązywania problemów przyjaznej koegzystencji człowieka i przyrody. Od elementarnych informacji o zagrożeniach środowiska poczynając, a na umiejętności korzystania z instrumentów ekonomicznych i prawnych kończąc.

Polska ma wspaniałe, sięgające średniowiecza tradycje ochrony przyrody. W wieku XIX i na początku XX Stanisław Staszic, Ludwik Zejszner, Maksymilian Nowicki, Władysław Szafer, Walery Goetel i inni kładli naukowe podstawy pod polskie i międzynarodowe zasady ochrony przyrody.

Od roku 1989 kolejne rządy i koalicje potrafiły kontynuować rozpoczęte programy i zarazem z roku na rok zwiększać nakłady inwestycyjne na ochronę środowiska. Potrafiliśmy też uruchomić odpowiednie rezerwy w sektorze publicznym i prywatnych przedsiębiorstwach, zastrzegając stosowanie zasad „zanieczyszczający płaci” i „użytkownik płaci”. W efekcie udało się nam zmniejszyć emisję związków siarki, azotu i pyłów do atmosfery oraz rozbudować sieć lokalnych oczyszczalni ścieków. Znacząco poprawił się stan powietrza oraz jakość wód powierzchniowych i podziemnych. Mimo to trudno uznać dzisiaj stan naszego środowiska za zadowalający.

Harmonia współżycia ze środowiskiem wymaga wrażliwości na istniejące piękno i odwagi dostrzegania w porę

zbliżających się niebezpieczeństw. Taką naturalną wrażliwość i odwagę wykazuje młodzież. Nie jest przypadkiem, że to ona właśnie stanowi trzon ruchów ekologicznych. Nie powinno nigdy zabraknąć nam cierpliwości i czasu na rozmowę, na poznanie ich argumentów i wysłuchanie postulatów. Do nich należy przyszłość, dlatego ważne jest, aby widzieli problem zrównoważonego rozwoju w całej złożoności. Aby kiedyś potrafili wybierać mądre kompromisy i podejmować trafne decyzje.

Zresztą trzeba przyznać, że świadomość ekologiczna społeczeństwa, a także elit gospodarczych i politycznych szybko wzrasta. Dzisiaj nikt nie odważy się przygotować poważnej inwestycji, bez odpowiedniej ekspertyzy dotyczącej jej wpływu na środowisko naturalne.

Bardzo ważną kwestią jest przyszłość lasów. Stanowią one niemałą część „kraju za miastem”. Polska oraz inne kraje europejskie powinny realizować zintegrowany program przyrostu powierzchni lasów na swoich terytoriach. Sytuacja u nas w tym zakresie nie przedstawia się najlepiej. Na Kongresie Leśników Polskich w 1997 roku, mówiłem jak bardzo lasy są ważne dla całego środowiska, dla warunków życia nas wszystkich. W minionych dziesięcioleciach wyrządzono lasom wiele złego. Wysoki poziom zanieczyszczeń spowodował ich degradację. Należą one do najbardziej zagrożonych w Europie. Istnieje już narodowy projekt zwiększenia lesistości Polski, jednak realizowany jest on zbyt powolnie. Potrzebna jest większa aktywność społeczności lokalnych, szkół i organizacji pozarządowych. Potrzebne są nowe pomysły i inicjatywy.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że z inicjatywy obywateli w 1999 roku wpłynął do sejmu projekt obywatelskiej ustawy o ochronie dziedzictwa narodowego, jakim są mię-

dzy innymi lasy, kopaliny naturalne czy wody. Poparcie dla tego projektu wyraziły najważniejsze organizacje polityczne i społeczne w kraju. To dowód, że doceniamy rangę tego problemu.

Od lat słyszę też o potrzebie uchwalenia nowego prawa wodnego oraz kodeksu ekologicznego, który zastąpiłby przestarzałą już ustawę o ochronie i kształtowaniu środowiska naturalnego. Racjonalne gospodarowanie wodą to jedno z najpilniejszych zadań, przed jakimi już wkrótce stanie ludzkość. Polska nie jest również wolna od tych problemów, mamy w kraju obszary o deficycie wody i rozpoczętych procesach stepowienia. Tegoroczna susza ukazała nam konsekwencje braku wody dla dużych obszarów kraju, w tym dla produkcji rolnej. Mieszkańcy wielu polskich miast mają kłopoty w uzyskaniu zdrowej, spełniającej ich oczekiwania wody pitnej. Wystarczy popatrzeć na kolejki ludzi stojących przy ujęciach tzw. wód oligocenińskich.

Jestem przekonany, że poradzimy sobie z ekoproblemami. Zarówno tymi lokalnymi, dotyczącymi zdrowego życia na co dzień, jak i tymi globalnymi. Przy wszystkich naszych trudnościach i problemach Polska zachowała niezniszczone gleby, mniej zanieczyszczone chemią przemysłową niż w krajach wysoko rozwiniętych. W związku z tym potrzebne będą mniejsze nakłady i krótszy okres, by osiągnąć warunki wymagane w produkcji ekologicznej, przy dużym potencjale biologicznym. Żywność ekologiczna zaczęła pojawiać się na polskim rynku stosunkowo niedawno, ale zapotrzebowanie na nią rośnie bardzo dynamicznie.

## Agroturystyka – szansą polskiej wsi

Naszym atutem jest też tradycyjny, różnorodny wiejski krajobraz rolniczy, dobrze na tle Europy prowadzona gospodarka leśna, wspaniałe i dobrze utrzymane drzewostany. Wszystko to stanowi niepowtarzalne bogactwo naturalne, tworzy bardzo korzystne środowisko zarówno dla rolniczej produkcji ekologicznej jak i rozwoju agro- i ekoturystyki.

Wieś polska, tradycyjnie przyjaźnie nastawiona wobec przyrody, jest dobrym kapitałem na przyszłość, może być w Unii Europejskiej polską szansą. Wspiera ją jej bogate dziedzictwo kulturalne oraz utrzymująca się jeszcze przy życiu, pomimo agresji kultury masowej, oryginalna, rodzima sztuka ludowa i szeroki amatorski ruch artystyczny.

W naszych polskich warunkach bywa, że to co jest poważnym problemem, przy mądrym podejściu może okazać się szansą. Budowy oczyszczalni ścieków, ujęć wody, kanalizacji, wysypisk śmieci, systemów utylizacji, wodociągów i innych urządzeń ochrony środowiska mogą stworzyć nowe miejsca pracy. Mogą też scalalić lokalne społeczności, pobudzić je do działania. Programy ochrony środowiska naturalnego, kojarzone z programami cywilizacyjnego rozwoju wsi, stanowią dla obszarów wiejskich wyjątkową szansę poprawy warunków życia ich mieszkańców.

Polskie rolnictwo trzeba unowocześnić. Musimy to jednak zrobić tak, by polska wieś nie wyludniała się, a jednocześnie by stopniowo zmniejszała się liczba osób zatrudnionych bezpośrednio w rolnictwie. Chodzi przecież nie tylko o modernizację gospodarstw rolnych, ale też o tworzenie nowych miejsc pracy w usługach, handlu, w gałęziach związanych z otoczeniem rolnictwa i walorami wsi. Na wsi musi pojawić

się infrastruktura bankowa, ubezpieczeniowa, obsługi rolnictwa, przetwórstwa rolnego, baza turystyczna.

Obecnie jedynie 7 procent indywidualnych gospodarstw rolnych prowadzi działalność pozarolniczą. Dla porównania – w krajach Wspólnoty Europejskiej średnio 30 procent właścicieli gospodarstw rolnych ma równoległe inne zajęcie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że powstawanie dodatkowych miejsc pracy i źródeł utrzymania w środowisku wiejskim jest procesem długotrwałym i kapitałochłonnym. Agroturystyka jest tą gałęzią, gdzie procesy te można przyspieszyć przy minimalnych kosztach i wykorzystaniu już istniejącego potencjału. Niemal połowa terytorium Polski – jak oceniali eksperci programu PHARE – posiada naturalne warunki o dużej atrakcyjności turystycznej. W większości są to tereny wiejskie, słabo rozwinięte, nie dające dziś mieszkającym tam ludziom szans zarobku.

Agroturystyka i turystyka mogą być dobrym źródłem utrzymania – świadczą o tym przykłady Niemiec i Austrii. W samej tylko Bawarii świadczeniem usług agroturystycznych, jako zajęciem równoległym do rolnictwa, zajmuje się niemal osiemset tysięcy gospodarstw domowych. Agroturystyka stała się także podstawą do rozwinięcia w latach 60. i 70. przemysłu turystycznego w Austrii, traktowanego tam jako wiodący przemysł narodowy. W Polsce jesteśmy na początku tej drogi. Trzeba tworzyć organizacyjne, prawne i materialne warunki dla rozwoju turystyki. Potrzeba „przyjaznej” polityki kredytowej i podatkowej.

Turystyka staje się w Polsce jednym z najpoważniejszych źródeł dochodu narodowego. Stwarza bowiem najbardziej realne, efektywne i szybkie do osiągnięcia możliwości aktywizacji zawodowej w środowisku wiejskim oraz możliwości dynamicznego rozwoju małej i średniej przedsiębiorczości.

Co może oferować agroturystyka w Polsce? Sądzę, że obok tradycyjnych form rekreacji, także możliwość korzystania z kwalifikowanych form wypoczynku, takich jak: rajdy rowerowe, kajakowe, pływanie pod żaglami, zajęcia na śniegu i lodzie. Powinna tworzyć szanse na aktywność i współpracę dla konkretnych mieszkańców, samorządów miast i wsi, władz regionalnych, miast i gmin bliźniaczych – polskich i zachodnioeuropejskich, z których pochodzą liczne rzesze turystów.

W „kraju za miastem” ogniskują się więc, jak widać, problemy wielorakie. Są to z jednej strony problemy całego kraju, instytucji państwa. Są to fundamentalne problemy Polski i do takich należy restrukturyzacja, modernizacja i rozwój polskiego rolnictwa. Są to problemy, wokół których musi zawiązywać się współpraca instytucji państwa i samorządów terytorialnych, bez której trudno wyobrazić sobie jakąkolwiek politykę regionalną. Są to wreszcie problemy, dla których musi zawiązać się sojusz i współdziałanie państwa z samorządem terytorialnym i samorządem lokalnym, bez których żadne, nawet najmańdrzejsze programy nie będą pełne. Wierzę, że takie „zintegrowane myślenie” o trudnych dzisiaj sprawach polskiej wsi i regionów Polski ma kapitalną przyszłość jako program na rzecz lepszej przyszłości nas wszystkich. Pamiętajmy o tym również w czasie sporów o przyszłość polskiej wsi i polskiego rolnictwa. Wierzę, że skorzysta również na tym i mój Białogard, i moje rodzinne Pomorze Środkowe. Że przyniesie to sukces mojej małej i dużej Ojczyźnie.

# Polaków rozrachunki z historią

Witold Gombrowicz napisał kiedyś, że my, Polacy, jesteśmy „obciążeni dziedzicznie Polską, jej tragiczną przeszłością, jej niezłomnym umieraniem”. Czy również dziś te słowa odpowiadają prawdzie? Czy ciężar naszej historii nadal wisi nad nami, czy wszystko, co robimy, jest wciąż konsekwencją dawnych dramatów?

Nie ma chyba innego narodu w Europie, który poniósłby więcej ofiar niż Polacy i przezwyciężyłby więcej trudności na drodze do wolności i demokracji. Było tak w wieku XIX. Było też tak w dobiegającym właśnie końcu wieku XX. W opisach zagranicznych historyków i politologów Polska jawi się często jako wehikuł – „kraj na kółkach” – przesuwany ze wschodu na zachód, znikający i wjeżdżający na powrót na scenę Europy. Jakimś niezwykle sposobem zawsze udawało się Polakom po tragicznych próbach znów stawać na nogi, przeżywać okresy rozwoju. To jest nasz fenomen. Odradzałyśmy się po największych nawet niepowodzeniach. Powinniśmy ten niezwykle potencjał i siły witalne narodu wykorzystać także w czasach zwykłych, w czasach pomyślności.

Wielu Polakom przeszłość przeszkadza we wspólnym działaniu. Mówi się często, że Polaków dzieli spór o historię.



To nie jest precyzyjne sformułowanie. Niezależnie bowiem od swych wczorajszych i dzisiejszych politycznych afiliacji – wszyscy jesteśmy winni wdzięczność i szacunek tym, którzy organizowali opór wobec dawnego systemu. Rok 1989 przyniósł Polsce wielką zmianę na lepsze. Rzeczpospolita odzyskała demokrację i suwerenność, a gospodarka – szansę rozwoju. Te kwestie nie są i myślę, że być nie powinny przedmiotem sporu.

Historii nie cofniemy. Nie zmienimy też naszych przeszłych, życiowych wyborów. Musi być jednak przywrócona sprawiedliwość i uczciwa ocena ludzi w historii – jednakowa dla wszystkich. Przestępstwa winny zostać osądzone, ale ludzie uczciwi, kierujący się dobrymi intencjami, ludzie pracy pozytywnej mają prawo cieszyć się z demokracji.

## Romantyczny charakter

Mówi się często o specyficznym polskim charakterze narodowym, choć nikomu jeszcze nie udało się dowieść, na czym on polega. Nasi przyjaciele wyławiali z polskiego charakteru narodowego cechy pozytywne, godne szacunku i podziwu. W ich oczach byliśmy narodem skłonny do porywów szlachetnych i ofiarnych, także – do solidarności z innymi, gdy znaleźli się w nieszczęściu. Przypisywano nam też przykładanie większej wagi do wartości ducha niż materii, co miało świadczyć o uwzniośnieniu naszego charakteru narodowego.

Ludzie nieprzychylni Polsce odwoływali się natomiast zwykle do „czarnego” charakteru Polaków. Byliśmy rzekomo upośledzeni politycznie, pozbawieni instynktu państwowego, co utrudniało, czy wręcz wykluczało, samodzielne

kierowanie własnym losem zbiorowym, uniemożliwiało stworzenie państwa. Mieliśmy też być wybujałymi indywidualistami, nieskorymi do zgody i działań zespołowych. Rzekome skłonności awanturnicze pchały nas do czynów nierozważnych, zakłócających Europie – a już zwłaszcza sąsiadom – spokój. Na ten czarny wizerunek nie tylko sami zapracowaliśmy. Historycy znają przykłady łożenia wielkich sum z funduszków ambasad Rosji, Prus w Londynie, Paryżu, Rzymie na inspirowanie utworów roztrząsających wady Polaków i promujących przedstawianie negatywnego wizerunku Polaka.

Jeśli w tych wizerunkach było źdźbło prawdy, a przecież było, to o obrazie Polaków w oczach innych narodów w większym stopniu niż cechy wrodzone decydowały aktualne warunki – polityczne, gospodarcze, obyczajowe, horyzonty elit formujących idee społeczne i państwowe.

Zarówno czarno malowane, jak i różowo, te rzekome wrodzone cechy narodowe przeniosły się z czasem w sferę stereotypów. I jako stereotypy są wyjątkowo trwałe. Ta myśl zawsze mi się nasuwa, gdy słyszę, również w kraju, jak to złowieszcze – wrodzone cechy Polaków znów rzekomo odzwierają się w naszym życiu zbiorowym.

My sami często ulegamy stereotypowemu obrazowi Polaka. Przyjmujemy go jak objawienie – raz łaski, innym razem kary dla nas, Polaków. Taka postawa wywodzi się z polskiego romantyzmu, który rozwijał się w realiach głębokiego dramatu na tle utraty niepodległości, zrywów powstańczych, etosu ofiary składanej na ołtarzu Ojczyzny. Nasz romantyzm naznaczony został namiętными sporami o powinnościach jednostki wobec Ojczyzny, rozdzierającymi duszę dylematami i wielkim, zbiorowym poczuciem krzywdy, jaka spotkała naród.

Niebywała siła oddziaływania wielkiej poezji romantycznej tworzonej przez twórców o światowym formacie, talentu Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, muzyki Chopina, myśli politycznej Mochnackiego, Lelewela została zogniskowana na fundamentalnych celach i problemach narodowych. Zaowocowało to postawami i zachowaniami, które zdawały się przybierać cechy trwale swoistego genotypu Polaka. Mogło tę opinię potwierdzać przeniesienie się romantycznej duchowości Polaków z pierwszej połowy XIX wieku i inspirowanych przez nią postaw patriotycznych na drugą dekadę XX wieku – czas odzyskiwania niepodległości i na czwartą dekadę tego wieku, gdy przyszło podjąć walkę z dwoma okupantami: hitlerowskimi Niemcami i stalinowskim Związkiem Radzieckim.

Niektórzy twierdzą, że wielki duch romantyzmu spłonął na stosie ofiarnym Powstania Warszawskiego, że były to ostatnie płomienie romantyzmu polskiego w naszych dziejach. Ale romantyzm ostał się jeszcze później choćby w widzeniu szczególnej roli inteligencji jako nosiciela i strażnika wartości oraz duchowego przywódcy narodu. Taka była też rola inteligencji przez cały czas PRL. Uznawana przez społeczeństwo jako alternatywa dla ideologicznej indoktrynacji i omnipotencji państwa, była depozytariuszem tradycji. Tę rolę strażnika wartości i twórcy wzorców moralnych inteligencja, wzorem romantycznym, pełniła w PRL w stopniu zdecydowanie wyższym niż w okresie międzywojennym.

Rola inteligencji zajaśniała znów romantycznym odbiciem w dobie pierwszej „Solidarności” i później, w latach osiemdziesiątych. Zgasła dopiero przy pierwszym zetknięciu z grą rynkową w gospodarce, w kulturze i polityce. Dla wielu ludzi to nagłe i nieoczekiwane odrzucenie usług ideo-

twórczych inteligencji było szokiem, wielu też po tym odkryciu wycofało się ze sceny publicznej. Utkwiła mi w pamięci myśl profesor Marii Janion, wybitnej znawczynie polskiego romantyzmu, że po 1989 roku, po odrzuceniu tego romantycznego genotypu, Polacy muszą się jak gdyby „wymyśleć na nowo” w swych zbiorowych reakcjach i zachowaniach.

Czy należy ronić łzy z powodu ostatecznego, jak się wydaje, odejścia tego wielkiego nurtu narodowych dziejów? Nurtu, który zawładnął życiem emocjonalnym kilku pokoleń Polaków, nurtu strzelistych uniesień ducha, wielkich zrywów i wielkiej ofiary. Może i trochę żal, wszak każdy z nas nosi w sobie jakąś cząstkę przekazu romantycznej duchowości. Niektóre narody rozwijające się bardziej pragmatycznie, nawet nam tego zazdroszczą. Jest to właśnie ślad siły oddziaływania wielkiej sztuki, zwłaszcza literatury doby romantyzmu. Jest ona zresztą wciąż żywą wartością oddziałującą na świadomość i psychikę zbiorową Polaków. Może więc ten romantyczny rys niech pozostanie wyróżniającą cechą naszej świadomości i psychiki zbiorowej. Zwłaszcza, gdy jest równoważony i korygowany przez inne, racjonalniejsze cechy, które nabywamy wszyscy w nowych czasach i nowych warunkach.

Pamiętam, gdy pojawiły się reformy rynkowe, w pierwszej chwili, w zbiorowej świadomości nastąpił szok, a potem strach, czy uda się w takich warunkach wyżyć. Bardzo szybko jednak pojawiła się jednak również reakcja pozytywnego działania – pomysłowość, przedsiębiorczość, parcie do przodu. Ta odmiana mentalności i nastawienia życiowego zmieniła nasz wizerunek, budząc uznanie zagranicą, ale przede wszystkim zmieniła nasze samopoczucie. Wyprostowała nas i przydała pewności siebie. Zwłaszcza młodym,

dobrze wykształconym, odważnie przyjmującym nowe wyzwania. Tych ludzi można codziennie rano oglądać, gdy pędzą do pracy, przeglądając w biegu jakieś kolumny liczb, jakieś raporty, umowy przygotowane do podpisu. Można tę młodzież oglądać rano, po południu rzadziej, bo do domu wracają wieczorami, gdy starsi Polacy zasiadają przed telewizorami. Pracoholicy, ci młodzi złapali wiatr w swoje żagle, mają dynamikę, ciekawość, upór. Oni już mają świadomość ludzi, którzy zamierzają zdobyć XXI wiek.

Ci młodzi pracowici ludzie są być może najważniejszym atutem, wspierającym aspiracje Polski do Unii Europejskiej. Wcześniej pisałem, że mentalność i psychika zbiorowa Polaków oddala się od romantyzmu. A może w tym zrywie do nowoczesności, w przedsiębiorczości jest również jakaś nowa odmiana romantyzmu, rozumianego jako walka o swoje miejsce wśród narodów i państw?

## Przeżywanie historii

Romantyczna wizja przez pokolenia kształtowała nasze podejście do historii Polski. Ukształtowana przez romantyzm świadomość historyczna Polaków zawsze stanowiła silny fundament narodowej tożsamości. Przypomniałem na zjeździe historyków we Wrocławiu wypowiedź wybitnego, XIX-wiecznego polskiego historyka, Stanisława Tarnowskiego, który mówił że: *Musi być w historii (Polski) jakaś moc (...) skoro nieprzyjaciel swoim nieomylnym instynktem ją, jedną z pierwszych – po wierze – prześladowuje, zakazuje, fałszuje, przekręca.*

Właśnie tej atmosferze walki o prawo do niezafałszowanej historii kształtował się nasz polski sposób patrzenia na

przeszłość. To nie było tylko patrzeć, to było ciągle jej przeżywanie. Sprawiało ono, że my, Polacy, traktowaliśmy, a może dziś jeszcze traktujemy historię jak wielki i nieustanny proces sądowy, w którym zawsze staramy się ustalić winnych i dowieść winy. Czy nie nastał już najwyższy czas uwolnić się od takiego podejścia? Zazdroszczę Amerykanom czy Francuzom, którzy swoje dzieje traktują jako interesujący temat, pełen anegdotycznych faktów, z bogatą galerią ciekawych postaci. Sprawy dotyczące innych pokoleń traktowane są jako zamknięte i mogą interesować, o ile były interesujące. Na dwusetną rocznicę Wielkiej Rewolucji Francuskiej, w witrynach księgarni paryskich, leżały obok siebie, niemal w równej proporcji, pozycje gloryfikujące rewolucję i ruch w Wandei, czyli klasyczną kontrrewolucję. Podobnie jest z tradycją amerykańskiej wojny secesyjnej. Szczęśliwy kraj, gdzie tak podchodzi się do wydarzeń, w których leciały głowy. Na pewno źle się działo, ale to już historia – tak patrzą na historię obywatele wielu krajów zachodnich. My nie potrafimy podchodzić do historii w taki sposób.

Dziś nikt historii nie ukrywa i niczego nie wybiela. Historycy wiedzą, jak badać przeszłość, jak upowszechniać jej dokonania. Oni też wiedzą najlepiej, że najważniejszą powinnością badacza przeszłości jest dążenie do poznania prawdy – jaką ona by nie była.

Coraz częściej odwołujemy się do historii jak do skarbnicy doświadczeń. Widzimy w niej nauczycielkę życia. Ale przecież nie tylko zawodowi historycy kształtują świadomość historyczną. Istnieje wcale nie małe grono publicystów i polityków, którzy z pewnym upodobaniem dostrzegają w historii zbiór aktów oskarżenia i mów obrończych, które mogą być przydatne we współczesnych sporach. Najciekawsze

jest jednak to, że opinia publiczna, przed którą się taka rozprawa odbywa, raczej nie jest zainteresowana jej przebiegiem. To charakterystyczny rys takich debat.

Zarzut braku patriotyzmu adresowany do znacznej części Polaków, którzy jakoby „niewłaściwie” głosują w wyborach i są obojętni wobec rocznicowych celebracji, trudno uznać za poważny. Warto zastanowić się, co jest głównym źródłem społecznego zniechęcenia do patriotycznej ostentacji. Myślę, że Polsce dokonuje się dziś wielkie przewartościowanie ocen. Ludzie poszukują nowych prawd i reguł postępowania. Niekiedy wyraża się to kryzysem świadomości, gdyż w nowych warunkach ustrojowych i gospodarczych rewizji poddawany jest cały świat dotychczasowych wartości. U niektórych dystans wobec tradycji może mieć źródło w niechęci do ideologicznej agresji, w nadużywaniu historii do walki politycznej.

Kiedys zaciekawienie przeszłością, zwłaszcza tą najnowszą, miało coś z zakazanego owocu, a więc był to rodzaj niejako naturalnego zainteresowania inną wizją historii niż oficjalna. Historia była przy tym polem zastępczym, dla mocno zawężonych możliwości dyskusji politycznych. Dziś jest inaczej. Do debat politycznych nie trzeba przywdziewać historycznego kostiumu. Ludzie dostrzegają szybko fałsz takich „kostiumowych” debat. Fakt, że przed referendum konstytucyjnym nazywano zwolenników nowej ustawy zasadniczej Targowicą, opinia publiczna uznała za kompromitację głosicieli takich opinii.

Dla wiedzy historycznej w ogóle i dla zainteresowania historią mamy w tej chwili raczej czas trudniejszy niż łatwiejszy. Świadomość zbiorowa, czy jak kto chce – charakter narodowy, zmienia się. Ten proces zmian rozpoczął się dość

nagle, wraz z odzyskaniem demokracji, pełnej suwerenności i zmianą modelu gospodarki.

I choć w tym procesie poległa choćby romantycznie pojmowana rola inteligencji, to przecież nie poległo dziedzictwo wielkiej literatury i sztuki romantyzmu. Nie zniknęła ona z koszyka potrzeb współczesnego Polaka. Może dzieło literackie dziś już nie jest traktowane z takim nabożeństwem jak popowstaniowa literatura czy konspiracyjna bibuła. Sztuka i literatura nie jest już może wielkim przesłaniem patriotycznym, ale przecież nie przestaje oddziaływać na świadomość i emocje, nie utraciła wpływu na dyskusje Polaków.

Chodzimy zatem i dziś na III część „Dziadów”, jeśli dobrze wystawiona, podziwiamy Wielką Improwizację, gdy dobrze zagrana. Chodzimy na przedstawienia dzieł naszych wielkich twórców romantycznych, bo to część kodu naszej kulturowej tożsamości, bo to wielka literatura dramatyczna. Ale bywa, że przed spektaklem przeglądamy notowania giełdowe i wylawiamy informacje o aktualnym kursie złotego. I tak wygląda to przejście do nowego stanu świadomości i postaw.

Ta nowa postawa kłóci się z instrumentalnym wykorzystywaniem historii do walki o kształt świadomości narodowej, kłóci się z wizją historii jako nieustającego trybunału narodowego, który miałby ocenić, kto dziś jest najlepszym kandydatem na zdrajcę i targowiczana, a kto aspiruje do laurów bohatera narodowego.

Zdecydowanie opowiadam się za odrzuceniem wizji historii jako pracującego bez przerwy sądu. Powinniśmy odideologizować podejście do przeszłości. Dziś z całym szacunkiem kłaniamy się Józefowi Piłsudskiemu, Romanowi Dmowskiemu, Ignacemu Daszyńskiemu, Wincentemu



Witosowi, Ignacemu Paderewskiemu, Wojciechowi Korfan-temu, Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu, Władysławowi Sikorskiemu, nie zważając na to, jak bardzo za swego życia się różnili. Takie podejście nie było oczywiście ani przed wojną, ani wśród politycznej emigracji, ani publicystyce historycznej czasu PRL, nawet tej opozycyjnej.

Dziś warto zrobić następny krok i wspominać z szacunkiem tych, którzy budowali – ludzi pracy pozytywnej. Tych, którzy połączyli zaborcze dzielnice w jeden organizm państwowy, ale i tych którzy zagospodarowali odzyskane po 1945 roku ziemie zachodnie i północne. Tych, którzy zbudowali Gdynię i Centralny Okręg Przemysłowy, ale także tych, którzy po wojnie zlikwidowali w Polsce analfabetyzm. Bardzo bym chciał, abyśmy doszli do takiej syntezy dziejów. Będzie to świadczyło, że coraz lepiej rozumiemy, iż różne postawy polityczne i różne drogi życiowe w służbie dla Polski nie wykluczały się. Wręcz przeciwnie – znacznie częściej, niż chcieliby tego rzecznicy inkwizytorskiej wizji historii, te postawy uzupełniały się.

## Jak zainteresować historią?

Pozostaje jednak wątpliwość, czy potrafimy dziś ludziom młodym dostatecznie atrakcyjnie prezentować historię? Czy wiemy, na ile młodzi Polacy identyfikują się z tradycyjnymi wzorcami narodowej tożsamości? Czy doświadczenia zdobyte w ostatnich 10 latach zmieniają naszą wiedzę o sobie samych i najistotniejszych procesach historycznych? Czy wreszcie tworzą nową jakość postrzegania bliższej i dalszej perspektywy rozwoju Polski i jej miejsca w Europie?

Poszukujemy dziś wszyscy, także politycy, form lepszego komunikowania się z młodymi Polakami. Trzeba wiedzieć, że film akcji jest bardziej cenionym przez młodych ludzi źródłem historycznym, niż nawet bardzo dobrze napisany podręcznik. Podlegamy dziś wszystkim procesom międzynarodowym, które zmieniają sposób widzenia młodego pokolenia, uniwersalizują jedne opinie, a inne, niestety, spłaszczają, czy banalizują. Z młodymi ludźmi trzeba dziś rozmawiać inaczej niż kiedyś, trzeba wykraczać poza formy tradycyjne. Często powtarzam opinię, że przełom wieków i tysiącleci daje naturalny ku temu pretekst. To nie jest tylko wydarzenie kalendarzowe, ale przede wszystkim możliwość ukazania wielkiej panoramy historycznej. Trzeba dobrych pomysłów, bo przewiduję, że zainteresowanie historią i poczucie uczestniczenia w niej wzrośnie.

Przecież przełom tysiącleci, w jakim przypadło nam żyć, to seria wielkich wydarzeń o zasięgu światowym. Kraków w roku 2000 jest jedną z europejskich stolic kultury. To znakomita okazja ku temu, by z wiedzą historyczną wyjść poza polityczny spór elit i językiem współczesnym przekazać młodym jasny komunikat, że historia Polski jest powodem dumy i satysfakcji, daje też wiarę w przyszłość.

Często nadal obserwujemy posługiwanie się historią dla doraźnych celów. Rzadko natomiast chce się wykorzystać ją w skali masowej jako składnik fundamentu narodowego poczucia Polaków i w pewnym stopniu – fundamentu psychologicznego, szczególnie młodych ludzi.

Myślę tu o możliwościach, jakie stwarzają obchody ważnych rocznic. Takie okazje z natury rzeczy mają nieco bardziej spektakularny charakter niż lekcja historii. Obchodziliśmy niedawno 200-lecie urodzin Adama Mickiewicza i 100-lecie odkrycia przez Marię Skłodowską i Piotra

Curie – polonu i radu. Świątowaliśmy 150-lecie śmierci Fryderyka Chopina. Jednocześnie przeżywamy ogromny wybuch różnego rodzaju wydarzeń związanych z przełomem wieków i tysiącleci. Podczas niedawnego pobytu w Rzymie widziałem, jak to miasto się zmieniło. Tam z pewnością udało się zainteresować ludzi historią ostatniego 1000-lecia, ale także 2000 lat, całą historią, którą Rzym może oferować światu. My w Polsce wszystkie tego rodzaju okazje traktujemy w sposób, powiedziałbym, niewątpliwie solenny, ale przez to – zupełnie niewidowiskowy.

## Fatalizm, przypadek, własny wysiłek

W historii zwracaliśmy na siebie uwagę świata czynami wielkimi, ale zwykle kosztownymi. Świat dowiadywał się wtedy o Polsce. Było o nas głośno, ale oceny bywały różne. Nieraz wyrażały obawy o destabilizację ustalonego ładu, najczęściej sprowadzały się tylko do werbalnego podziwu, do wyrazów solidarności. Gdy minęło trochę czasu, świat przestawał się interesować Polską i Polakami. Miał swoje sprawy.

Wielka ofiara – mały efekt. To stwierdzenie uwypukla tragizm naszej historii: poczucie krzywdy i niezrozumienia, bo ileż trzeba polskiej krwi, by poruszyć świat? Polska walczyła, ale i odstawała od ustabilizowanej, wykorzystującej zdobycze rewolucji technicznej Europy. To dodatkowo obciążało naszą zbiorową psychikę.

Klucz do czasów szczęśliwych narody trzymają przede wszystkim w swoich rękach. Ich losy zależne są też od geopolityki. W dziejach zdarzają się jednak zbiegi okoliczności, które można uznać niemal za cudowne, czy też z dru-

giej strony – jakby wyjęte z czarnej księgi złego fatum. My, w swej historii nawet najnowszej, doznawaliśmy i jednego i drugiego. Na przykład, taki niezwykley zbieg okoliczności nastąpił w drugiej dekadzie XX wieku, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Oto, w 1914 roku, wszystkie trzy monarchie zaborcze znalazły się w stanie wojny. I w jej wyniku zeszły ze sceny. Zaborcy byli powaleni, a Polacy – na szczęście – przygotowani do wykorzystania tej okoliczności dla wskrzeszenia Polski niepodległej.

Potem, od 1939 roku, nastąpił kilkudziesięcioletni okres niekorzystnych zbiegów okoliczności. Nieoczekiwanie zablokowali się wtedy sojuszem dwaj dyktatorzy – ze wschodu i zachodu – dla pokonania i podziału terytorium naszego kraju, zaś nasi sojusznicy w godzinie próby zawiedli. Po klęsce w wojnie wrześniowej 1939 roku, nastał czas najtragiczniejszych doświadczeń i wielkich strat narodowych. Uwagę świata znów wtedy zwróciliśmy duchem oporu, rozmiarem cierpień i stosem ofiarnym Powstania Warszawskiego, na którym spłonął kwiat warszawskiej młodzieży. Wtedy, w tych zmaganiach, pomógł właśnie romantyzm. Myślę, że przeniósł on swoją siłę mobilizacji woli zbiorowej w pokonywaniu trudności i osiągania rzeczy niemożliwych również na pierwsze lata powojennej odbudowy. Efekt tych lat pierwszych po strasznej wojnie, tego dążenia do odbudowy, stabilizacji i spokoju był tak wielki, że starczyło go – mimo powszechnej goryczy z wyników Jałty – na niemały kredyt zaufania znacznej części społeczeństwa, udzielony nowej rzeczywistości.

Narastający w latach czterdziestych i pięćdziesiątych proces zniewolenia i rozczarowania przerodził się w bunt Polskiego Października 1956 roku. Świat wstrzymał oddech, gdy na Warszawę szły czołgi radzieckie. Czy Polacy zareagują

znów tak, jak to w historii bywało, czy nie? Zareagowali inaczej, innymi środkami rozwiązyali ówczesny problem narodowy. Realizm podpowiadał przytłumienie gniewu i emocji. Jan Nowak-Jeziorański powie po latach, z jakim napięciem śledzili w „Wolnej Europie” rozwój wydarzeń w 1956 roku, jak bardzo się obawiali powtórki z powstań. Polska świadomość narodowa miała już zakodowane rozmiary strat najtragiczniejszego z powstań – Powstania Warszawskiego w 1944 roku. To dla mnie jeden z ważniejszych przykładów tego, że lata powojenne nie były w historii Polski stracone, nie były też „białą plamą”.

W sierpniu 1980 roku Polacy znów podnieśli głowy i wyprostowali ramiona. Siłą organizującą postawy zbiorowe stała się „Solidarność”, kontynuująca tradycje robotniczych protestów z grudnia 1970 roku. Początkowo „Solidarność” chętniej, jak się zdaje, odwoływała się do etosu pozytywistycznego niż romantycznego. Później jednak, gdy oczekiwane zmiany nie następowały, spontaniczny rozwój wypadków zaczął się nakładać na coraz bardziej słabnącą gospodarkę. W sytuacji braku koncepcji pozytywnego wyjścia z kryzysu zaczęła narastać obawa przed dramatycznym rozstrzygnięciem. Wprowadzono stan wojenny. Spór o rozwiązanie z 13 grudnia trwa do dziś i zapewne długo będzie jeszcze trwał.

Idąc tropem historii natykamy się znów na szczęśliwy zbieg okoliczności, ułatwiający zmianę ustrojową w 1989 roku, a zaraz potem odzyskanie pełnej suwerenności. Sprzyjającą okolicznością było wygranie zimnej wojny przez Stany Zjednoczone i osłabienie ducha imperialnego Związku Radzieckiego. Kolejnym elementem korzystnej sytuacji dla Polski dokonującej swoje historyczne przemiany, była pierestrojka. To dawało swobodę polskim reformatorom.

Wybitny włoski polityk lewicowy Giorgio Napolitano, z którym odbyłem w Wiedniu bardzo interesującą dyskusję w dziesięciolecie upadku komunizmu, sporo mówił o znaczeniu i wynikach prób podejmowanych w różnych epokach na rzecz zreformowania politycznych reżimów i systemów ekonomiczno-społecznych, które nadały sobie miano „realnego socjalizmu”. Powiedział on, że będąca finałem tych prób gorbaczowska pierestrojka ukazała swoje niezwykle wyzwalające działanie na płaszczyźnie międzynarodowej, wśród narodów bloku sowieckiego i w samym Związku Radzieckim. Tego oddziaływania nie da się zapomnieć. Jednak od samego początku pierestrojka była, jego zdaniem, skazana na niepowodzenie jako projekt i jako rozpaczliwa próba zreformowania skostniałego systemu ekonomicznego i politycznego. Trudno się nie zgodzić z tą konkluzją.

Czy oznacza to, że starania na rzecz wsparcia zmian w gospodarce, większego zakresu swobody i bardziej otwartych stosunków z Zachodem, podejmowane przez ludzi tkwiących wewnątrz systemu, były bezwartościowe? Oczywiście że nie, bo przynosiły one pożytek wielu ludziom. A poza tym uwidoczniły one bardziej lub mniej wyraźne różnice w łonie sprawującej władzę partii, ułatwiały samoorganizację – legalną, półlegalną, nielegalną – wielu kręgom społecznym.

## Opozycja demokratyczna

Nie sposób nie pamiętać o zorganizowanym sprzeciwie politycznym. Istniał otwarty ruch dysydencki skierowany przeciwko systemowi. Szczególnie ważnym przypadkiem w skali całego obozu była Polska i jej radykalna opozycja

o stosunkowo dużych, zwłaszcza po 1981 roku, wpływach społecznych.

*Socjalizm jako system gospodarczy zawalił się pod własnym ciężarem – napisał Jacek Kuroń w książce PRL dla początkujących – i opozycja nie była do tego potrzebna. (...) Natomiast w to, że dyktatura przekształciłaby się w demokrację, gdyby nie istniała opozycja – w to nie wierzę.*

Trzeba, w tym miejscu, kilka zdań poświęcić narodzinom polskiej opozycji jeszcze w czasach przedsolidarnościowych. Musimy znów wrócić do roku 1956. W Polsce oznacza on, w przeciwieństwie do Węgier, pierwszą pozytywną przemianę komunizmu. Zniesiono system kultu jednostki i nastąpiła pewna liberalizacja. Osiągniętego wówczas marginesu wolności, także obyczajowej, dostępu do światowej kultury i nauki nie udało się już nigdy w Polsce ograniczyć. Zarzucone zostały niektóre elementy komunistycznej doktryny – jak przymusowa ateizacja i kolektywizacja wsi.

W ruchu popierającym zmiany popaździernikowe tkwią również korzenie polskiej opozycji demokratycznej. Kilka lat później większość tych ludzi, a także zafascynowana nimi młodzież, podjęła próbę obrony zdobyczy października 1956. Finałem tych wydarzeń był marzec 1968. Z wydarzeń marca 1968 roku czerpały swe źródła różne nurty przyszłej opozycji.

Polska czekała wtedy na reformy, na rozsądek w polityce, na demokratyzację życia publicznego. Na złagodzenie cenzury, na klimat swobodnej debaty o najważniejszych polskich sprawach. Czekano na drugi krok faktycznej destabilizacji podobny do tego, który proponował wówczas w Czechosłowacji Aleksander Dubczek. A tymczasem rok 68 był

czasem coraz szybszego odchodzenia od idei polskiego października, czas zaciskania pętli cenzury, brnięcia w absurdy scentralizowanej gospodarki. Przeciw tym, którzy stanęli w obronie zabronionego spektaklu Mickiewiczowskich „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka, władze sięgnęły po dyktatorskie środki. Zorganizowano kampanię antyinteligencją i antysemitką. Władza do walki politycznej wykorzystwała nie tylko środki przemocy, ale także najciemniejsze i najpodlejsze stereotypy z polskiej tradycji. Mam na myśli antysemityzm i nacjonalizm.

Na szczęście znaleźli się również ludzie, którzy mieli odwagę, by bronić wolności polskiej i wolności człowieka w Polsce. W 1968 roku stanęli obok siebie ludzie zjednoczeni przeświadczeniem, że „nie ma chleba bez wolności”, ludzie różnych losów, różnych tradycji i różnych generacji: z Klubów Inteligencji Katolickiej i Koła Polskiego „Znak”, z dawnego klubu „Krzywego Koła”, a także niektórzy członkowie PZPR zbrzydzeni kłamstwem władz. Warto przypomnieć niektóre chociaż nazwiska. Wśród tych, którzy się sprzeciwili, byli katolicycy intelektualiści: Jerzy Zawieyski i Stefan Kisielewski, Stanisław Stomma i Tadeusz Mazowiecki. Byli też działacze PZPR: Stefan Żółkiewski, Mieczysław Rakowski, Władysław Bieńkowski i Jerzy Albrecht. W obronie Mickiewicza stanęli polscy pisarze: Jerzy Andrzejewski, Mieczysław Jastrun, Artur Międzyrzecki, Andrzej Kijowski, Wiktor Woroszyński, Adam Ważyk, Paweł Jasienica, Melchior Wańkowicz, Paweł Beylin, Stanisław Dygat, Antoni Słonimski, Jan Parandowski. Wśród wielu osób wtedy represjonowanych byli: Adam Michnik, Jan Lityński, Ryszard Bugaj, Jan Olszewski, Marek Borowski, Andrzej Olechowski, Antoni Macierewicz. Cenzuralnymi zakazami obłożono wybitnych pisarzy, artystów, uczonych.



Z wyższych uczelni usunięto: Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczkę, Włodzimierza Brusa, Zygmunta Baumana i Stefana Morawskiego, Marię Hirszowicz, Janinę Zakrzewską i wielu innych.

Słowa szczególnego podziwu należą się Jackowi Kuroniowi i Karolowi Modzelewskiemu. Ich drogi życiowe są szczególną fotografią trudnych losów tej części polskiej inteligencji, która najpierw w imię wartości socjalistycznych i humanistycznych akceptowała logikę PRL, a potem w imię tych samych wartości zapoczątkowała otwarty protest przeciw dyktaturze. Przez wiele lat poddawani byli represjom i dyskryminacjom. W najnowszej, politycznej historii Polski nie ma zapewne postaci tak ściśle ze sobą kojarzonych. Odczuwam najwyższą satysfakcję, że przed dwoma laty mogłem wręczyć im Ordery Orła Białego.

Podczas uroczystej dekoracji powiedziałem m.in., że my współcześni „mamy obowiązek odpowiedzieć, co znaczy obecnie dla nas lekcja tamtego pokolenia, które zobaczyło z bliska, do czego prowadzi język nienawiści i pogarda dla prawa i prawdy.” Jak sądzę, jest to jedna z ważniejszych konkluzji płynących z doświadczeń tamtych lat, z całego okresu PRL.

## Doświadczenie „okrągłego stołu”

Obok opozycji i sprzyjającej sytuacji zewnętrznej występował w Polsce w końcu lat osiemdziesiątych jeszcze jeden czynnik sprzyjający transformacji: skłonność do kompromisu i zgody, przejawiana przez elity rządzące w kraju. W tym momencie historycznym był to chyba czynnik najbardziej sprzyjający zmianom.

„Okrągły stół”, który zda się pogodził ogień z wodą, pomógł przekroczyć Rubikon dwóch systemów. Można ten fakt analizować pod różnym kątem, ale niezaprzeczalnie jest on zwycięstwem realizmu nad porywami, rozumu nad emocjami. Jestem pewien, że dla następnych pokoleń będzie to jedna z najważniejszych dat w XX wieku. W dniu rozpoczęcia jego obrad, 6 lutego 1989 roku, narodziła się nowa szkoła politycznego myślenia. Ściana nienawiści i nieufności, zbudowana z tragicznych doświadczeń przeszłości, została zastąpiona dialogiem; miejsce konfrontacji zajęła partnerska rozmowa o polskich problemach.

Dwa podstawowe uczucia – jak pamiętam – towarzyszyły uczestnikom obrad. Były to nadzieja i obawa. Raz górę brała jedna, raz druga. Mówiłem o tym na uroczystym spotkaniu uczestników „okrągłego stołu”, w 10 rocznicę jego rozpoczęcia. Najważniejsza, jak sądzę, była nadzieja, że od tej pory dialog Polaków będzie już zawsze odbywał się za pomocą siły argumentów, a nie przy użyciu argumentu siły. Była też nadzieja, że te rozmowy pozwolą zapoczątkować wymarzone przemienienie Ojczyzny. Nadzieja, że wielki potencjał naszego narodu nie będzie zamrożony w nieefektywnym, scentralizowanym, niedemokratycznym państwie.

Obawy dotyczyły stabilności struktur państwa i gospodarki. Lękaliśmy się, czy wszystkie grupy społeczne zaakceptują dążenie do kompromisu. Obawialiśmy się siebie nawzajem. Wiedzieliśmy jednak, że posuwamy się drogą jednokierunkową. Porażka „okrągłego stołu” nie byłaby zwykłym powrotem do przeszłości. Przyniosłaby bolesne następstwa dla kraju, zwłaszcza dla gospodarki. Pogorszyłaby też klimat międzynarodowy. Dlatego musieliśmy wygrać, porozumieć się.

Wśród uczestników obrad uwidoczniła się wspólna cecha: odpowiedzialność za Polskę. Była ona silniejsza niż różnice ideologiczne. Słowo „Polska” stało się kluczem. I właśnie dlatego – twierdzą dzisiaj z całym przekonaniem – to nie geopolityka, nie strach czy przebiegłość, ale właśnie odpowiedzialność za Polskę była fundamentem, na którym zbudowany został gmach porozumień „okrągłego stołu”. Trzeba też podkreślić zasługi jeszcze jednego uczestnika dialogu, który formalnie nie był jego stroną. Słowa szacunku należą się Kościołowi katolickiemu za życzliwy patronat nad obradami „okrągłego stołu” i duchowe wsparcie.

„Okrągły stół” nie tylko zadziwił świat, który bił brawo sposobowi rozwiązania problemu, wręcz – zdawałoby się – nierozwiązywalnemu pokojowo, ale szybko wprowadził go do kanonu uniwersalnych technik wychodzenia z konfliktów o głębokim podłożu społecznym i politycznym. Niektóre kraje sięgały do polskiego wzorca. Ten mebel, ustawiony w początkach lutego 1989 roku w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, jest wciąż obiektem fascynacji politologów, choć przecież nie byliśmy pierwsi. Wcześniej, jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych, Hiszpanie wynegocjowali w paktach z Moncloa demontaż autorytarnego systemu. Po nas – wyraźnie zainspirowani naszym przykładem – uczynili to Czesi i Węgrzy. Polską metodę zasypywania przepaści między skłóconymi siłami zastosowano także w RPA. Wysłuchiwano naszych doświadczeń w Irlandii Północnej.

Na polskiej ziemi dominują pomniki chwały oręża, ofiar krwi złożonej dla ratowania Ojczyzny. Są także pomniki konfliktów między Polakami. Nie ma natomiast miejsca – niekoniecznie pomnika, może jakiejś stałej ekspozycji

– ukazującego, że Polak był mądry przed szkodą, że zgoda zwycięża podziały i waśnie. Tak jak to się stało przy „okrągłym stole”. Może więc takie miejsce by się przydało?

## Dziedzictwo komunizmu

Dziedzictwo czterdziestu pięciu lat bez demokracji i w warunkach ograniczonej suwerenności jest ponurym dziedzictwem. W 1993 roku, z trybuny sejmu, powiedziałem niełatwe słowo „przepraszam”. Niełatwe także dla mnie osobiście, dla człowieka urodzonego dwa lata po śmierci Stalina i wychowanego w rodzinie o tradycyjnych wartościach.

Uczyliem to z pełnym przekonaniem i bez wahania. Nic – żaden dawny ani obecny wybór – nie może bowiem umniejszyć i usprawiedliwić zła, jakie zostało wyrządzone w Polsce przed rokiem 1989. Nic nie może usprawiedliwić łamania prawa, ograniczania wolności. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla zadawanych krzywd i popełnianych niegodziwości. Uważam, że samokrytyczna refleksja jest powinnością każdego. Krytyczny rozrachunek z przeszłością, ze złą tradycją, jest obowiązkiem polityka, jest obowiązkiem każdej chcącej działać w demokratycznych warunkach formacji politycznej.

W liście do uczestników Kongresu SLD w grudniu 1999 roku pisałem: „Polityka związana jest nie tylko z «dziś» i «jutro», to także «wczoraj» i «kiedyś». W tradycji polskiej lewicy znajdujemy wiele zdarzeń krzepiących oraz wielkich, pozytywnych postaci. Musimy jednak uczciwie przyznać, że pod sztandarami lewicy popełniono w Polsce zbrodnie, zdarzyło się wiele niegodziwości. Potrzebne są nie tylko słowa przeproszenia.

Pamiętajmy – żyją ofiary, ich dzieci i wnuki, którym należy się nie tylko dochodzenie ich praw na drodze sądowej, ale także ludzka satysfakcja poprzez symboliczne zażalenie, a przede wszystkim poprzez szacunek i pewność, że nowa lewica nie skrywa starych grzechów i błędów i nigdy ich nie powtórzy.

Pamiętajmy – pamięć każdego z nas to nie podręcznik, to osobisty los! W tej kwestii lewica polska musi wykazać mniej zrozumiałego odruchu obronnego przed niesprawiedliwymi oskarżeniami, a więcej, dużo więcej wrażliwości na minione dramaty, na poczucie krzywdy, bólu, pretensji i złości, które powstały w świadomości i duszy, czy to setek tysięcy Rodaków, czy choćby jednego tylko człowieka.”

Jak wiadomo list ten wzbudził wiele komentarzy. Świadczą one, że otwarta rozmowa na ten temat jest w środowiskach lewicy polskiej ciągle koniecznością.

Kwestia pojednania ma dla wszystkich krajów transformacji – niezależnie od ich różnej historii – decydujące znaczenie. Na partiach, które wykształciły się z dawnych rządzących partii komunistycznych, afirmujących dawny reżim, niezależnie od motywacji dawnych ich członków, spoczywa szczególny obowiązek. Największa przysługa, którą partie lewicowe mogłyby dzisiaj wyświadczyć ludziom mającym poczucie krzywdy, polega na dalszym umacnianiu demokracji i wolności. Ale na lewicy, tej lewicy której obecni działacze byli w dawnej PZPR, musi też być miejsce na krytyczną refleksję o tamtych czasach.

I nie jest, oczywiście, żadnym usprawiedliwieniem dawnych czasów, że po 10 latach niełatwej sytuacji gospodarczej, społecznej i politycznej, wielu ludzi ma wątpliwości, czy kończąca się dekada była ich osobistym sukcesem, czy

na przemianach oni i ich rodziny stracili, czy też zyskali, czy była sukcesem dla Polski. Są nawet zresztą badania wskazujące, że większość Polaków za najlepszy okres dla siebie i Polski uważa lata siedemdziesiąte. Nie ma co się obruszać i obrażać, mówić o niedojrzałym, głupim społeczeństwie. Nie można też na tej podstawie budować dla siebie alibi. Trzeba zrozumieć, że ludzie najbardziej cenią sobie spokój i stabilizację. W swojej masie ludzie nie są rewolucjonistami i kiedy bezpieczeństwo socjalne zaczyna słabnąć, wówczas zaczynają idealizować przeszłość. Wcale nie jestem pewien, czy ta większość, w tak różowych barwach widząca okres gierkowski, chciałaby powrotu do niego.

Przechodzący do opozycji, po kolejnych kryzysach, partyjni rewizjoniści zauważali w czasach realnego socjalizmu rosnącą sprzeczność między demokratycznym idealizmem socjalistycznej utopii a ideologicznym przymusem i międzynarodowymi uzależnieniami. I nie tylko oni. Do przewyciężenia tej sprzeczności dążyło także wielu ludzi aktywnych w życiu publicznym PRL – także członków partii, związkowców, profesorów wyższych uczelni, publicystów.

W latach sześćdziesiątych Juliusz Mieroszewski, wybitny publicysta paryskiej „Kultury” przewidywał, że sprzeczność między formalnie demokratycznym charakterem przesłania socjalizmu a antydemokratycznym sposobem organizacji państwa i życia społecznego w PRL będzie ważnym czynnikiem destabilizacji systemu. I tak się stało.

Nie ma żadnych wątpliwości, że 10 lat po 1989 roku nic nie pozostało z idei przekształconego lub zreformowanego komunizmu. Podobnie zresztą, jak z byłego ruchu komunistycznego. Kilka partii, należących do tego ruchu, przekształciło się krótko po 1989 roku, tworząc nowe

polityczne formacje, które mogły przenieść w nowe czasy swoją możliwą do wykorzystania energię, doświadczenia i zaufanie społeczne do niektórych liderów. Dzisiaj, po 10 latach, nie ma ani na Wschodzie, ani na Zachodzie Europy partii politycznych, które oferowałyby model „zreformowanego komunizmu”. Nie czynią tego nawet te, które w swojej nazwie zachowały przymiotnik „komunistyczna”. Całkiem nowe programy, najczęściej pokroju socjaldemokratycznego, charakteryzują obecnie nowe formacje, jakie powstały w wyniku przekształcenia dawnych partii komunistycznych.

Z pewnością ewolucja poglądów dawnych członków rządzących partii komunistycznych ku socjaldemokracji jest bardziej wiarygodna, gdy dokonuje się stopniowo. U nas zaczęło się to gdzieś w roku 1981. Mimo ostrego sporu dogmatyków z reformatorami, IX zjazd PZPR przyjął program, który dzisiejszym językiem można by określić jako „postkomunistyczny”. Stan wojenny tylko na krótko zamroził tę ewolucję. Na przełomie lat 1986 i 1987 rozpoczął się czas coraz szybszego rozstawania się z dawnymi dogmatami. Kolejnymi etapami były obrady „okrągłego stołu” i rozwiązanie PZPR. Naturalną konsekwencją tej ewolucji było przystąpienie Socjaldemokracji RP do Międzynarodówki Socjalistycznej. Nastąpiło to w 1996 roku. Jedynym wyborem był model socjaldemokratyczny, który pozwala na rewizję ideologii komunistycznej i na wdrożenie inspiracji reformatorskich, jakie wprowadzić pojawiały się dawniej w łonie partii komunistycznych, ale tylko po to, żeby zaraz zostać stłumione. Wybór socjaldemokratyczny oznacza zarazem wierność poczuciu społecznej sprawiedliwości i przekonanie, że miarą procesów politycznych i go-

spodarczych jest dobro człowieka oraz łagodzenie nierówności społecznych.

Jestem przekonany, że lewica musi się przekształcać i tej zmiany musi dokonywać rozsądnie i wiarygodnie. Lewica nie może pozostać więźniem swojej przeszłości. Jednocześnie nie może wyrzucić jej za burtę i uchylić się przed problemami, oświadczając, że znajduje się już „po drugiej stronie” historycznych sprzeczności. Mam zasadnicze wątpliwości do deklaracji stania poza lewicą i prawicą, poza wszelkimi tradycjami, ponad wszystkim co do tej pory zostało pomyślane. W każdym razie nie może tego uczynić jeszcze obecne pokolenie.

Musimy chyba przyjąć do wiadomości, że komunizm, jakkolwiek martwy, to jednak ma nadal – zza grobu – wpływ na nasz region, w jakimś stopniu także na Polskę. Sprawia to, że nie możemy jeszcze ogłosić zakończenia procesu transformacji. W każdym razie specyficzne trudności, z jakimi borykają się kraje naszego regionu, nie są wynikiem li tylko ich specyficznej sytuacji czy ich programów na przyszłość, lecz swe źródła mają również w ich najnowszej historii.

Niebezpiecznym reliktem minionej epoki w byłych krajach socjalistycznych jest nacjonalizm. Jego odrodzenie się jest o tyle spuścizną komunizmu, o ile ten ubezwłasnowolnił społeczeństwo, odmawiał jednostce wolności i wpływu na życie polityczne, faworyzując kolektywny sposób myślenia. Jest spuścizną seansów nienawiści dawnej propagandy, bez których nie mogła ona żyć nie tylko w czasach stalinowskich. Najbardziej wyraźnym przykładem jest tutaj Serbia, ale dotyczy to również niektórych innych dawnych krajów komunistycznych.



## My i obcy

Polska podtrzymuje stan zainteresowania opinii światowej sukcesem przemian rynkowych, stałą tendencją wzrostu ekonomicznego, szybkim postępem cywilizacyjnym. Świat, który utrwalił sobie wizerunek Polski jako kraju gorących zrywów, ale anemicznej dynamiki gospodarczej, nieoczekiwanych czynów politycznych, ale miernych wyników gospodarczego rozwoju, musi zmieniać poglądy.

Dziś nie tylko budujemy z dużą energią swój byt i byt Polski, lecz także zdobywamy świat jako globtroterzy. Turystyka jest odbiciem dwóch stanów człowieka: zamożności i ciekawości. Jest potrzebą intelektualną i psychiczną. To cenny, bardzo zapładniający wyobraźnię, wzbogacający wiedzę i motywację ruch. Mam wrażenie, że turystyka jest w zbyt małym stopniu programem świadomie planowanych działań instytucji publicznych.

Pod wpływem otwarcia na świat nastąpiły również zmiany w najbardziej patologicznej tkance świadomości i psychiki zbiorowej nas Polaków: stosunku do innych. W niedawnej jeszcze przeszłości dotykał nas, prawie nie zanikający, kompleks niższości, kompensowany sztucznym poczuciem wyższości wobec narodów nie mniej wartościowych niż my, tylko nieco dalej położonych na wschód, czy w ogóle innych. Polskie poczucie gościnności, wyrażane staropolskim powitaniem „Gość w dom, Bóg w dom” – cecha nawet dostrzeżona przez innych i doceniana – zderzało się z przejawami ksenofobii, nietolerancji wobec „czarnych”, „żółtych”, „Ruskich”, „Cyganów”, „Żydów”, „Niemców”. Tak było.

Dziś już wiemy, że podłożem tych zachowań była psychika kształtowana przez życie w polskim zaścianku, za kor-

donem, na uwięzi. Gdy drzwi na świat się otworzyły, gdy zaczęliśmy masowo podróżować, Polak zaczął stawać się obywatelem świata.

Nie jest to proces łatwy i bezproblemowy. Są w naszym kraju ośrodki, które świadomie lub nieświadomie konserwują stereotyp „obcego”. Jest to obciążenie, z którym trudniej nam będzie w zjednoczonej Europie.

Na szczęście jest to zjawisko malejące, ale nie sposób udawać, że go nie ma. Ta „skaza” ma swoją reprezentację na scenie politycznej, zabiera głos publicznie i dlatego tym trudniej ją eliminować z naszej zbiorowej świadomości. Niestety, oni korzystają z wolności słowa, a my wszyscy tracimy wizerunek ludzi nowoczesnych, bez uprzedzeń i kompleksów, otwartych.

## Nieuzasadniony lęk przed modernizacją

O ile postawy ksenofobiczne mają pożywkę w małej wiedzy o innych narodach, w niedostatku kontaktów z innymi kulturami i kompleksie własnej wartości, o tyle postawy izolacjonizmu, przekonań o groźbie utraty jakichś własnych wartości przy rozbudowanych kontaktach ze światem zewnętrznym, rozwijają się na podłożu strachu.

Zderzają się tu sprzeczne pragnienia i tendencje, widoczne w naszym społeczeństwie. Pierwszym pragnieniem, które rozsądziło poprzedni system, jest otwarcie sobie drogi szybszego postępu materialnego i cywilizacyjnego. Zorientowana w realiach część naszego społeczeństwa ma świadomość wyzwań, które stoją przed Polską, i szansy jaką stwarza nam integracja z Unią Europejską. Jest to niemała część społeczeństwa. Trzeba jednak wiedzieć, że liczne grupy

społeczne nie mają rzetelnej wiedzy o korzyściach dla Polski płynących z integracji, bądź ta wiedza jest niepełna i przy tym zdeformowana. U części Polaków świadomość na tle naszej integracji z Unią Europejską podszyta jest wręcz strachem. Jest ona tylko w części reakcją na nieznaną, tajemniczą. W dużej części kształtują tę świadomość wysyłane z niektórych źródeł informacje, wyolbrzymiające rzekome zagrożenia dla Polski.

Poczucie tożsamości narodowej jest wartością cenną. Należy ją pielęgnować. Myślę jednak, że w tym przypadku lęk przed jej utratą niepotrzebnie obciąża świadomość zbiorową. Tożsamość narodowa kształtuje się przez wieki, a nawet tysiąclecia i hartuje się w ogniu trudnych prób. Europa bynajmniej nie chce odebrać nam polskiej tożsamości. Jeśli będziemy gotowi do integracji, przyjmie nasze wartości jako wzbogacające kulturowo całą wspólnotę.

Dziś Polska ma szansę znaleźć się niejako w środku europejskiego kręgu cywilizacyjnego. Łatwiej więc uda się wprowadzić nazwiska zapisane w naszym dziedzictwie kulturalnym do Panteonu europejskiej kultury, a współczesnych twórców kultury do europejskiego obiegu. To jest wykonalne zadanie. Dziś należy się zastanowić, jak to zrobić, gdyż to jest właśnie szansa lepszego zaznaczenia naszej tożsamości narodowej w świadomości narodów najbardziej rozwiniętych krajów Europy.

Nie chcę dowodzić, że tożsamość jest twierdzą niewzruszoną. Dzisiejszy świat z racji niebywałego postępu w technice komunikacji poddany jest procesowi uniwersalizacji. Rzeczywiście świat staje się coraz bardziej globalną wioską. W tym samym czasie te same wydarzenia, opinie, reakcje oglądają setki milionów ludzi. Pozostawia to ślad w naszej świadomości, ten sam ślad co w świadomości farmera w Ari-

zonie, mieszkańca Czarnej Afryki czy Azji. Skutkiem tego nasza świadomość też poddana jest procesowi globalizacji. „Czyści” moglibyśmy pozostać tylko w izolacji.

Jest prawdą, że kultury narodowe są narażone na zjawisko unifikacji. Zagrozeniem dla kultur narodowych jest wielki i dynamiczny przemysł amerykańskiej kultury masowej. Cały świat poddany jest amerykańskiej kultury. Nawet tak głęboko osadzone w swojej tradycji kraje, jak Japonia. Broni się przed nią Francja, amerykańska atakuje Albion i rozkochane w swej kulturze Włochy. Atakuje wszystko i wszystkich. Ameryka wnosi do rozwoju świata bardzo wiele cennego, wysyła też jednak produkty mniejszej wartości.

Ta ekspansja zostawia ślady w gustach, w jakimś sensie draży świadomość, zmienia obyczajowość. Jednak nie powoduje tego, że Japończyk staje się Amerykaninem. Francuz i Włoch też dzielnie się trzymają, a Anglik zdaje się niczego nie zauważać. Także Polacy nakarmieni do przesytu przez polskie telewizje amerykańską gonitwą po ekranie ludzi z pistoletami w blasku wysadzanych aut, gremialnie udali się przecież na „Pana Tadeusza” w reżyserii Andrzeja Wajdy i wyszli wzruszeni.

Rzeczywiście, ta amerykańska popkultura poraża swoją siłą. Bronią się przed nią wszyscy. Brońmy się i my, kulturą własną właśnie, jej dobrą promocją. Razem z innymi Europejczykami może łatwiej nam będzie się bronić.

W moim przekonaniu, dziś potrzeba nam przede wszystkim wysiłku, a nie poczucia misji. Będziemy bliżsi osiągnięcia naszych narodowych celów, jeśli nie dopuścimy do panowania nad zbiorową wyobraźnią zideologizowanej wizji świata, Europy i historii. Nasz patriotyzm nie może być jednowymiarowy, płaski.

Wspomniany wcześniej Juliusz Mieroszewski pisał, że historia jest gościńcem jednokierunkowym – wiedzie tylko do przodu. Jeśli nie chcemy tracić czasu, to w naszym myśleniu i działaniu dla Polski potrzebne jest nam dziś, tak jak zresztą zawsze, nie tylko myślenie niezłomne, które ogniskuje się wokół doświadczeń przeszłości. Potrzebne jest nam także myślenie pozytywne umożliwiające szybką adaptację do zmieniającej się sytuacji. I – co najważniejsze – potrzeba nam przede wszystkim myślenia kreatywnego, twórczego, które spowoduje, że nowe wyzwania i nowe problemy będziemy spotykali z wiarą w siebie i nadzieją na sukces.

# Polska wśród sąsiadów i w regionie

Czasami mamy pretensje do naszych protoplastów, że zatrzymali się w tak mało korzystnym punkcie na mapie Europy, tym bardziej, że miejsca było wtedy jeszcze sporo i możliwości wyboru niemało. Wybrali, jak wybrali i jesteśmy, gdzie jesteśmy.

Są narody, którym może bardziej się poszczęściło. Na przykład Szwajcarzy. Ale są też narody wyraźnie mniej szczęśliwe, jak na przykład my, Polacy. Przez ostatnie trzy stulecia była zdecydowana przewaga nieszczęść. Jeśli nawet były momenty, czy okresy dobre, to raczej krótkie i drogo okupione. Po prostu nie mieliśmy szczęścia. Są zresztą narody, którym ciągle było pod górkę, może nawet bardziej niż Polakom. Na przykład narody bałkańskie. Można sądzić, że los im skąpi szczęścia od zawsze i dziś też trwa przy swoim. To, co obserwujemy na obszarze byłej Jugosławii inaczej nie można przecież określić, jak bezmiar nieszczęść.

Jednocząc Europę, cały czas zmagamy się ze spuścizną historii, tej bliższej i tej dawniejszej. Od bardzo dawna myślenie o Europie obciążone było dychotomią. Mówiło się: Zachód i Wschód. W okresie zimnej wojny te pojęcia geograficzne stały się symbolami różnic – ideologicznych,

politycznych, militarnych, gospodarczych. Ale dziś architektura podziałów nie jest dobrym kluczem do opisu europejskości.

Nie wierzę w geopolityczny fatalizm. Nie ma krain raz na zawsze obdarowanych powodzeniem, tak jak nie ma dotkniętych samymi nieszczęściami. Wróćmy do naszego środkowoeuropejskiego położenia. Czy zawsze było nam tu źle? Przecież nie. Skorzystaliśmy z sąsiedztwa katolickich krajów i przejęliśmy od nich chrześcijaństwo, a wraz z nim dziedzictwo cywilizacji i kultury śródziemnomorskiej. I to tak mądrze, że nie popadliśmy w uzależnienie od silniejszego sąsiada zachodniego.

W czasach, gdy Polska była wystarczająco silna, by zachować swoją niepodległość, czerpała z własnego położenia niemało korzyści. Przede wszystkim gospodarczych. Położenie na przecięciu się głównych szlaków handlowych Europy, z dostępem do morza, przynosiło niemało korzyści. Wzbogacaliśmy się też kulturalnie z zachodu i ze wschodu – prawosławnego i orientalnego, z południa i z północy. Polska wtedy brała, ale i dawała innym to, co miała atrakcyjnego do zaoferowania, sąsiadom przede wszystkim. Taki jest naturalny układ w czasach pokojowych. Tak jest też dzisiaj i tak powinno być w przyszłości.

## Europa – wspólnym dziełem

Zjednoczoną Europę budują dzisiaj nie tylko kraje zachodnie. Ani „żelazna kurtyna”, ani inne dramaty przeszłości nie były przecież w stanie przeciąć duchowej wspólnoty łączącej mieszkańców środkowej Europy z zachodnią częścią kontynentu. Coraz ważniejszym wkładem do ogólno-

europejskiego sukcesu staje się regionalny sukces naszej części kontynentu – sukces polityczny i gospodarczy. Gdy Europa Środkowa została „odmrożona” po zimnej wojnie, otworzyła się na wolny, demokratyczny świat. Okazało się wtedy, że wspólną troską krajów tego regionu jest stabilność polityczna, rozwój gospodarczy, współpraca, zaufanie i bezpieczeństwo. Polska, może bardziej niż inne kraje, ma rozwiniętą tę swoistą „świadomość regionalną”, można nawet powiedzieć – „odpowiedzialność regionalną”.

Możemy więc być dumni, że w Europie Środkowej i jej sąsiedztwie powstał – nie bez naszego aktywnego uczestnictwa – mechanizm samoorganizujący się i samoregulujący. Produkuje on stabilność i przewidywalność. Jest jak dotychczas skuteczny i potrafi rozładowywać napięcia – także narodowościowe. Przykładów pozytywnego oddziaływania tego mechanizmu jest wiele: pojednanie polsko-niemieckie, a także polsko-litewskie i polsko-ukraińskie, „aksamitny rozwój” Czechów i Słowaków, porozumienie rumuńsko-ukraińskie.

Zaangażowanie we współpracę regionalną uczyniłem po objęciu urzędu prezydenta priorytetem mojej aktywności międzynarodowej. Uważam, że to polski wkład w jednoczenie Europy. Nasze starania i osiągnięcia są dostrzegane w świecie i wysoce cenione. Guenter Verheugen, komisarz do spraw rozszerzenia Unii Europejskiej, podkreślił, że Polska jest kluczowym krajem dla stworzenia w Europie strefy pokoju i bezpieczeństwa. Powiedział to, jak sądzę, nie tylko dlatego, że jesteśmy największym krajem w tej części kontynentu.

Naszą politykę regionalną można przedstawić jako układ kilku osobnych, acz częściowo nakładających się, kręgów. Pierwszym takim kręgiem jest budowanie relacji z sąsiadami.



Polska jest jedynym chyba krajem w Europie, który ma dziś zupełnie innych sąsiadów niż miał w 1989 roku. Wtedy sąsiadowaliśmy z NRD, Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim. Dziś mamy za sąsiadów zjednoczone Niemcy, osobne Czechy i Słowację oraz Rosję, Litwę, Białoruś i Ukrainę.

Drugim kręgiem jest budowanie różnych płaszczyzn współpracy regionalnej w Europie Środkowej. Trzeci krąg – to nasza aktywność w Europie Środkowo-Wschodniej, i szerzej – na całym obszarze między morzami Bałtyckim a Czarnym.

Zajmijmy się najpierw kręgiem sąsiedzkim. Punktem wyjścia dla polskiej polityki regionalnej stało się ułożenie na nowo stosunków z sąsiadami. Z szacunkiem trzeba się odnieść do wysiłków profesora Krzysztofa Skubiszewskiego, który był polskim ministrem spraw zagranicznych przez pierwsze cztery lata po ustrojowym przełomie. Jako specjalista od prawa międzynarodowego zadbał on przede wszystkim o rzecz podstawową – o bazę prawno-traktatową naszych stosunków z sąsiadami.

Po skomplikowanych, nierzadko dramatycznych rokowaniach zostały zawarte i ratyfikowane układy graniczne i traktaty o dobrym sąsiedztwie ze wszystkimi otaczającymi nas krajami. Uzupełniono je następnie różnorodnymi umowami międzyrządowymi. W trakcie tych prac i uzgodnień dążyliśmy do budowy zaufania i życzliwości w naszych kontaktach dwustronnych. I chyba w każdym przypadku, może poza Białorusią i Rosją, to się nam udało.

Ta prawna podstawa stosunków była warunkiem wstępnym, ale dalece niewystarczającym dla rozwoju współpracy regionalnej. Potrzebny był nowy, silny impuls. Od początku mojej kadencji starałem się uczynić z aktywności Polski

w regionie wizytówkę naszej polityki zagranicznej. Czasami powstają pewne nieporozumienia na tym tle. Nie aspirujemy do roli regionalnego lidera ani do roli regionalnego mocarstwa. Sens naszej polityki określiłbym raczej słowami – gotowość do misji dobrej woli i świadczenia przysług, animowanie różnych płaszczyzn współpracy – dwustronnej i wielostronnej, politycznej i gospodarczej, wojskowej i ponadgranicznej, między politykami, instytucjami, stowarzyszeniami i zwykłymi ludźmi. Stosunki z najbliższymi sąsiadami miały tu oczywisty priorytet.

## Fałszywe stereotypy

Główne nasze problemy z sąsiedztwem lokowały się na zachodzie i wschodzie. Przyjrzyjmy się im zatem bliżej. Jeszcze do niedawna stosunki z Niemcami w Polsce uważano za jeden z trudniejszych problemów narodowych. Pozostawmy na boku epizod zadekretowanej odgórnie „przyjaźni” z NRD. Raczej nie zszedł on poniżej poziomu oficjalnej propagandy. Przeciętny Polak widział raczej „prawdziwego Niemca” w mieszkańcu RFN, państwa w pełni suwerennego, które nie wahało się kontynuować ciągłość historii Niemiec z jej dobrą i złą spuścizną. Brało ono na siebie bagaż bardzo obciążający, rodzący różne niedobre skojarzenia podsycane przez propagandę tamtego czasu, ale mimo tych zastrzeżeń było to państwo wiarygodne i jako takie stanowiące punkt odniesienia przy ocenach stanu sąsiedztwa i wizji jego rozwoju.

Punktem wyjścia dla uregulowania stosunków polsko-niemieckich musiało być posprzątanie po historii. Nie ma innego sposobu naprawienia historycznych krzywd,

jak dokonanie uczciwej oceny ich rozmiaru oraz podjęcie próby ich naprawienia. W tym także, a może przede wszystkim na płaszczyźnie moralnej. By takie działania były wiarygodne, muszą być potwierdzane codziennymi dowodami i odznaczać się trwałością.

Powojenne Niemcy Zachodnie podjęły tę niełatwą dla siebie próbę już na początku swojej nowej historii. Demokratyczne siły, które na gruzach III Rzeszy wzięły los Niemców w swoje ręce dokonały gruntownej reinterpretacji swojej historii. Towarzyszył temu gruntowny rachunek sumienia. Taki kodeks moralny wpajały Niemcom czasu powojennego jego duchowi i intelektualni przewodnicy: obydwie Kościoły chrześcijańskie, elity intelektualne, główne partie polityczne. W historii chyba nikt wcześniej nie podjął się tak wielkiego i skomplikowanego dzieła i nikt po Niemcach, jak dotąd, w takiej skali i w sposób tak skuteczny tego nie powtórzył. Odwaga podjęcia się takiego dzieła, przecież wbrew głęboko utrwalonym w społeczeństwie niemieckim stereotypom, rozmach wyobraźni w przewidywaniu dalekosiężnych skutków, mądrość wyboru sposobów i środków oddziaływania oraz konsekwencja w działaniu – wszystko to każe chylić czoło przed autorami tego przedsięwzięcia.

Ten trudny proces odczytywania na nowo swojej historii przez Niemców nie współgrał jednak z reakcją w Polsce. Odgórnie kreowany był u nas negatywny wizerunek Niemiec Zachodnich. Przed 1989 rokiem przez długie lata sposób przedstawiania RFN Polakom był zestrojony z polityką propagandową obozu socjalistycznego wobec świata zachodniego. Ten negatywny stereotyp nakładał się na obraz tragicznych doświadczeń żyjących pokoleń Polaków, które przeżyły wojnę i okupację hitlerowską. Postawa nacechowana nieufnością do Niemców miała oparcie w naszej pamięci

historycznej, kształtowanej pod wpływem szczególnie dużego nagromadzenia w XX wieku złych doświadczeń z Niemcami. Przedstawiała ona czasy hitleryzmu, ze wszystkimi jego tragicznymi objawami i skutkami jako zwieńczenie całej historii Niemiec.

Negatywny stereotyp Niemiec wśród znacznej części naszego społeczeństwa, zwłaszcza starszego, jest nadal obecny i tylko nieco złagodzony upływem czasu. Jego trwałość oparta jest często na tragicznych doświadczeniach osobistych. Trzeba to uszanować. Ale trzeba też zarazem przyznać, że ten stereotyp ukształtowany został w dużym stopniu przez wybiórczy, wręcz tendencyjny dobór faktów.

W tym czasie, gdy nowe siły polityczne Niemiec Zachodnich, których czołowi przedstawiciele wywodzili się z ruchu antyhitlerowskiego lub emigracji politycznej, karmili współziomków gorzką prawdą o przeszłości – dawniejszej i wczorajszej – oraz wkładali na ich grzbiety wór pokutny, mówiąc o potrzebie ekspiacji, my oglądaliśmy w gazetach Konrada Adenauera w płaszczu krzyżackim z kąśliwym podpisem. Przedstawiając pierwszego kanclerza RFN w źle kojarzącym się Polakom okryciu propaganda sugerowała, że Niemiec pozostanie zawsze Niemcem, oczywiście złym Niemcem. A przecież to z Adenauerem łączy się nowa epoka Niemiec demokratycznych i zwrot w polityce wobec sąsiadów. Miałem okazję mówić o tym szerzej przed trzema laty w Fundacji Konrada Adenauera i w Akademii Katolickiej w Berlinie.

Czarna wizja polsko-niemieckiej przeszłości chętnie przywoływała wojny, nie zauważała natomiast, że ziemię polską zasilano osadnictwem z Niemiec rzemieślników, artystów, mieszczan ożywiających rozwój miast, które były lokowane na prawie magdeburskim. Historia wzajemnych stosunków

zapisała wprawdzie liczne najazdy niemieckie na polskie ziemie, ale i zjazd gnieźnieński, kiedy cesarz Otton III wprowadzał nasz kraj na scenę polityki europejskiej.

W historii stosunków polsko-niemieckich mamy długi okres, liczony wiekami, spokojnego sąsiedztwa i dobrej współpracy. Mieliśmy u nas czasy saskie, nie najlepsze wprawdzie dla Polski, ale jakby w rekompensacie – otrzymaliśmy wspaniały dar w postaci baroku, który bez wątpienia króluje w historycznym pejzażu polskim. Potem mieliśmy wspaniałe przykłady solidarności Niemców w czasie naszych powstań narodowych. Gdy w 1831 roku przez Niemcy wędrowali na emigrację Czwartacy, witały ich kwiaty i wiwaty. Ten fakt też przecież zapisała historia wzajemnych stosunków polsko-niemieckich.

Odwołuję się do historii stosunków polsko-niemieckich nie po to, by włączać się do sporów na temat faktów i ich interpretacji. To sprawa historyków. Czynię to, by wskazać, jak skomplikowane i niejednoznaczne bywają dzieje stosunków dwóch narodów o długiej historii sąsiedztwa, a także jak zwodne i niebezpieczne może być wybiórcze traktowanie historii.

Po ciężkiej próbie trudniejszego sąsiedztwa w najnowszej historii w latach sześćdziesiątych obydwie narody rozpoczęły marsz ku sobie na nowych zasadach. Dokonywały się też przemiany w samej Polsce. Słynny list biskupów polskich, choć wrogo przyjęty przez ówczesne władze, przeorał świadomość wielu ludzi, nie tylko tych związanych z Kościołem. Był on z polskiej strony ważnym sygnałem świadczącym o rodzącej się woli przełamania złej tradycji wzajemnych stosunków.

Na tej drodze był układ w 1970 roku, symboliczny gest przyklęknięcia Willy Brandta przed Pomnikiem Bohaterów

Getta Warszawskiego, helsiński akt końcowy KBWE zawierający rezygnację z rewizji granic w Europie, istotny wkład Polski w obalenie muru berlińskiego i w konsekwencji zjednoczenie Niemiec, gest pojednania w Krzyżowej między Tadeuszem Mazowieckim i Helmutem Kohlem oraz ostateczne potwierdzenie układem międzypaństwowym granicy zachodniej między Polską a zjednoczonymi Niemcami.

Charakter naszych dzisiejszych stosunków z Niemcami, zbieżność celów i korzystny bilans wzajemnych relacji bieżących dają nadzieję, iż będą one stałą cechą naszej przyszłości. Niemcy są dziś naszym największym partnerem gospodarczym, najwięcej u nas inwestują i najwięcej importują polskich towarów. Stosunki polityczne cechują się bliskością wzajemnych kontaktów, zbieżnym widzeniem swoich interesów i celów. To dziś najbardziej ożywiony wizytami polityków kierunek naszej polityki, niemal codzienne wzajemne konsultacje.

Od wojny upłynęło ponad pół wieku. Mocno już osadzeni jesteśmy w rzeczywistości bliskiej współpracy oraz współdziałania Polski i Niemiec. Na co dzień uzgadniamy wspólną przyszłość w zintegrowanej Europie. Ale historia naszych wzajemnych stosunków nie stała się jeszcze wyłącznie domeną historyków. To prawda, nie utrudnia już ona rozwoju współpracy. Nie stanowi też większego problemu w kontaktach międzyludzkich Polaków i Niemców. Jest jednak obecna jako fakt moralny i psychologiczny. Istnieje również aspekt materialnego zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Ale przecież rekompensaty, jakiegokolwiek by one nie były, pozostaną symbolicznym zadośćuczynieniem. Czy można bowiem wymierzyć i ustalić zabraną człowiekowi wolność, zadawane mu cierpienia fizyczne, poniżenie, czy wymuszoną, niewolniczą pracę?

Niemcy są dziś na arenie międzynarodowej ważnym adwokatem naszego kraju. Adwokatem chętnie słuchanym przez partnerów. Są to zdarzenia na tle naszych historycznych doświadczeń niezwykle, o znaczeniu, które trudno przecenić. Niezwykle również dlatego, że stają się za sprawą narodu, który przez pokolenia uważaliśmy za swojego największego wroga. Jeśli chcielibyśmy widzieć w niemieckim mecenacie naszych spraw na forum europejskim, czy nawet światowym także chęci wyrównania z ich strony rachunku krzywd, to na pewno jest w tym, a właściwie było, dużo prawdy.

Dziś jednak taka interpretacja stosunków polsko-niemieckich nie oddaje już w pełni rzeczywistości, gdyż Polska nie potrzebuje wsparcia dyktowanego tylko nakazami moralnymi zrodzonymi z poczucia krzywdy, jest natomiast zainteresowana normalnymi relacjami. Niemcy też już nie widzą potrzeby protekcyjnego traktowania nas. W naszych stosunkach, mimo ich oczywiście asymetrii, jest dziś więcej partnerstwa. To bardzo dobrze.

## Dlaczego Rosja nie lubi przepraszać?

Wpływ na pomyślny rozwój Polski będą również miały stosunki z naszymi wschodnimi sąsiadami. I na tym kierunku nasze sąsiedztwo nie było ani łatwe, ani spokojne. Już w XVIII wieku rozpoczęła się w polskich dziejach epoka dominacji rosyjskiej, a później niewoli. Z niewielkimi okresami przerwy trwała ona ponad dwa wieki.

Był to okres, w którym narosły wszystkie negatywne znamiona polsko-rosyjskiego sąsiedztwa. Po jednej stronie poczucie krzywdy czynionej przez państwo tępego despoty-

zmu i barbarzyńskiego tłumienia każdego przejawu wolności – to polski punkt widzenia. Po drugiej, rosyjskiej stronie, sąsiad jawił się jako zarozumiały pyszałek, z poczuciem wyższości, indywidualista. A przy tym wieczny buntownik, wzniesający bez powodu ruchawki na zachodnich rubieżach cesarstwa, wiarołomnie naruszający więzy wspólnoty słowiańskich narodów w realizacji ich dziejowej misji. Oczywiście misji realizowanej pod przywództwem narodu rosyjskiego. Rzecz jasna była to relacja pomiędzy zdobywcą a podbitym, pomiędzy katem a ofiarą. Znamion tych stosunków nie łagodziła świadomość, że i dla swoich Moskwa nie jest czułą matką, lecz surową, czy wręcz okrutną macochą.

Te wyobrażenia wzajemne o sobie i uprzedzenia towarzyszyły obydwu narodom w wędrówce przez historię. Czas ich nie zacierał, ani zbytnio nie łagodził. Nie miał nawet na to szansy. Następujące w rytmie zmieniających się pokoleń dramatyczne powstania, a po nich polityka represji, pogłębiała poczucie krzywdy.

W sferze praktycznych stosunków gospodarczych i naukowych rozwijała się współpraca, okresami nawet bardzo ożywiona. Jednak w sytuacji utraty niepodległości i zniewolenia nie czynniki pragmatyczne kształtują oceny i odczucia zbiorowe. Dlatego też ten obciążony poczuciem krzywdy i urazami wizerunek naszych rosyjskich sąsiadów przenieśliśmy aż do czasów współczesnych.

Druga Rzeczpospolita niejako w marszu weszła w konflikty graniczne ze wszystkimi sąsiadami. Polska musiała orężem wytyczać swoje nowe granice. Wisiał nad nami cień zagrożenia ze strony Rosji. Była to wprawdzie inna Rosja, ale niezmiennie okazywały się jej ekspansjonistyczne cele. W bitwach nad Wisłą i Niemnem, 1920 roku Polska obroniła



swoją niepodległość. W 1939 roku nastąpił pakt Ribbentrop – Mołotow, a potem fatalny dla przyszłych stosunków polsko-rosyjskich dzień 17 września. To, co nastąpiło później: represje wobec ludności polskiej na okupowanych przez ZSRR ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej, masowe deportacje, zbrodnie na polskich oficerach w Katyniu, Charkowie i Miednoje oraz innych, nieznanych dziś jeszcze miejscach kaźni, cała syberyjska martyrologia, na nowo obciążały hipotekę sąsiedztwa. Do tego doszedł podyktowany okrutną kalkulacją polityczną, wręcz cynizmem grzech zaniechania udzielenia pomocy walczącej w powstaniu Warszawie w 1944 roku oraz cały okres podporządkowania Polski w latach 1944–1989.

W czasach Polski Ludowej, w różnych okresach różny był stopień uzależnienia, podporządkowania naszego kraju wobec Kremla. Po przesileniu październikowym w 1956 roku następował stały proces ograniczania i zawężania jego sfer. Sprowadzało się ono z czasem do dziedzin podstawowych dla globalnej polityki Moskwy, takich jak: ideologiczne podstawy ustrojowe, bezpieczeństwo militarne czy polityka zagraniczna. Przez cały czas związki sąsiedzkie pozbawione były nie tylko niezbędnej szczerości, lecz po stronie polskiej również poczucia wzajemnych korzyści, wręcz naznaczone krzywdą. To odczucie było dość powszechne, również jak sądzę w kręgach ówczesnych elit politycznych, które w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nie uważały się już na ogół za beneficjentów układu wynikającego z radzieckiej dominacji.

Z takimi ocenami sąsiedztwa i samopoczuciem Polaków na tym tle, weszliśmy w obydwu naszych krajach w okres przemian przełomu lat 1989/1990. Polska zmieniała ustrój polityczny i gospodarczy, wprowadzała demokratyczne za-

sady życia publicznego. Nasz wschodni sąsiad również się demokratyzował. W konsekwencji pierestrojka zaprowadziła Rosję do zerwania z doktryną komunistyczną. Na tej płaszczyźnie Polacy i Rosjanie bodaj po raz pierwszy od wieków, równocześnie i równoległe korzystnie na siebie oddziaływali.

To był dobry czas na reorientację wzajemnych stosunków sąsiedzkich i optymistyczny prognostyk na przyszłość. I proces takiej reorientacji został rozpoczęty. Przybrał on nowy charakter po rozwiązaniu ZSRR. Towarzyszyły temu początkowo rosyjskie deklaracje zerwania z przeszłością polityki imperialnej. W obydwu kierunkach jechały delegacje państwowe na najwyższym szczeblu i czyniły gesty nowego otwarcia wzajemnych stosunków.

Ale mimo to dziś, w roku 2000, polsko-rosyjskie sąsiedztwo wciąż obciążają stare grzechy przeszłości. Ten eufemizm zawiera tragiczną dla Polaków treść. Czy mamy podstawy do wysuwania pod tym względem pretensji do Rosji? Przywódcy Rosji potępili zbrodnie stalinowskie dokonane na narodzie polskim, pomogli wyjaśnić tajemnice Katynia, współdziałają w godnym upamiętnieniu cmentarzy ofiar mordów znajdujących się w granicach państwa rosyjskiego, choć może trwało to zbyt długo i nie bez biurokratycznych oporów.

To dużo i zarazem mało. Mało, gdyż dzieje współżycia są obciążone bólem i gniewem tkwiącym głęboko w świadomości historycznej i psychice zbiorowej Polaków. I będą tkwić tak długo, aż znajdą zadośćuczynienie, choćby na płaszczyźnie moralnej, symbolicznej. Wielka Rosja nie lubi zaś przeproszać, jakby takie gesty przynosiły jej despekt. Nie ma tam dostatecznego przygotowania do moralnej oceny przeszłości, nawet własnej, nie mówiąc już o przeszłości

stosunków z innymi narodami. W Rosji mówi się o tym niechętnie i półgębkiem.

Każdy naród ma prawo traktować swoją historię po swojemu. Nie można jednak stosować taryfy ulgowej, gdy dotyczy to krzywd zadanych innym narodom. Mimo woli nasuwa się tu przykład powojennych Niemiec, które przecież uporały się ze straszliwą spuścizną swojej najnowszej historii. Również, w znacznym stopniu, w sferze świadomości społeczeństwa i zbiorowej psychiki. Dziś Niemcy są znów wielkie – potęgą swojej gospodarki i znaczeniem politycznym w świecie, a mimo to przepraszają narody skrzywdzone, dając im satysfakcję zarówno materialną jak i moralną. Niemcy miały jednak w tym trudnym okresie swej egzystencji wspaniałe elity złożone z polityków demokratycznych, przedstawiciele inteligencji, dobrze rozumiejące swoją misję Kościoła chrześcijańskiego. Rosji w momencie wielkiego przełomu jakby tego zabrakło.

Jeśli Rosja upora się ze swoją imperialną przeszłością i świadomością, ułatwi sobie wejście do świata wartości stworzonych przez europejską cywilizację. Niby wszyscy o tym wiedzą, ale społeczeństwo tego wielkiego kraju, przyniesione trudnościami codziennej egzystencji, rekompensaty stara się dopatrywać bardziej w nostalgii za minioną epoką, niż w nowoczesnych ideach demokratycznego, otwartego świata.

Realia czynią nasze dzisiejsze związki klarownymi. Nasza granica jest spokojna, stosunków politycznych nie zaogniają żadne roszczenia, obydwa państwa deklarują, że znajdują się w zasadzie na tej samej drodze przemian. My, Polacy, powinniśmy może jak nikt inny w świecie wspierać tendencje prowadzące Rosję do świata demokracji, poszanowania wartości ludzkich i szybkiego rozwoju gospodarcze-

go. I będziemy to czynić szczerze i cierpliwie. Taka Rosja jest Europie potrzebna. I potrzebna jest Polsce jako dobry, stabilny i przewidywalny sąsiad. Potrzebna jest ze względu na bezpieczeństwo naszych krajów oraz dla robienia wzajemnie dobrych interesów.

## Przeszłość, która łączy i dzieli

Ukraina, Litwa i Białoruś – to trzy bliskie nam kraje. Bliskie nie tylko przez wspólną granicę, lecz również wspólnotę losów historycznych. Ta bliskość utrwalona jest w kulturze wszystkich trzech narodów tak przecież silnie, że trudno nieraz ustalić linie rozgraniczające. Adam Mickiewicz urodził się na obecnej ziemi białoruskiej i w swojej tęsknej inwokacji do *Pana Tadeusza* przywołuje obraz stron rodzinnych – historycznej Litwy. Ukraiński dziś Lwów dał polskiej kulturze i nauce tak wiele, że wystarczyłoby tego dla obdzielenia wielu innych wielkich polskich miast. Bliskość obyczaju, form życia, wspólne przeżywanie spraw wielkich, historycznych i małych, codziennych odbiło się trwale w mentalności i sferze emocjonalnej wszystkich naszych narodów. W każdym Polaku jest jakaś część Litwina, Białorusina i Ukraińca. I odwracając można przyjąć, że w każdym z naszych sąsiadów jest niemało z Polaka.

Przez tę bliskość i wspólnotę losów historycznych te trzy kraje zajmują szczególną rolę w polskiej polityce zagranicznej. Uważamy za swoją historyczną powinność dawać tym narodom dowody bliskiego zainteresowania problemami ich życia, przyjaźni oraz świadczenia konkretnej pomocy w miarę potrzeb i naszych możliwości. Na arenie międzynarodowej, zwłaszcza na płaszczyźnie integracji tych krajów

ze strukturami europejskimi staramy się być ich adwokatem. Dyktowane jest to sentymentem, ale i pragmatycznym rozumieniem wspólnoty interesów w perspektywie przyszłości. Nie ukrywam, że swój punkt widzenia na powinności polskiej polityki wobec Ukrainy, Litwy i Białorusi budowałem pod wpływem myśli politycznej Jerzego Giedroycia, człowieka, którego miałem też przyjemność poznać osobiście, rozmawiać z nim i korespondować, co bardzo sobie cenię.

Największego, z trzech wymienionych sąsiadów – Ukrainę – traktujemy jako strategicznego partnera w naszym regionie. Historycy stosunków polsko-ukraińskich wiedzą najlepiej, jak kręta droga prowadziła do takiego stanu naszych związków. Niektórzy z nich widzą historię tych stosunków jako wyjątkowy splot paradoksów i nie wykorzystanych szans dobrego ułożenia sobie współzycia.

W latach 1918–1920 Ukraina podjęła próbę wybicia się na niepodległość. Polska, jakby naprawiając błąd z połowy XVII wieku, gdy skutkiem wojen kozackich stało się wpechnięcie Ukrainy na blisko trzysta lat w objęcia Rosji, próbowała pomóc Ukrainie w utworzeniu niepodległego państwa. Miała oczywiście w tym swój interes. Niepodległa Ukraina widziana była wtedy jako istotny czynnik umacniający niepodległość Polski. Po siedemdziesięciu latach powróciliśmy do tej kardynalnej doktryny naszej polityki zagranicznej. Instynktowne wyczucie strategicznego interesu, czy jak kto chce, rozumna ocena realiów politycznych podpowiedziały władzom naszego państwa wpisanie Polski pod numerem pierwszym na liście krajów uznających niepodległość Ukrainy.

Historia zostawiła nam jednak w stosunkach polsko-ukraińskich zdecydowany bilans ujemny. Odległe w czasie

wojny polsko-kozackie nie ciążyłyby nad naszą terażniejszością, gdyby nie znalazły kontynuacji w tragicznym splocie konfliktów wieku XX. Myślę o wydarzeniach w latach 1943–1947 na Wołyniu, w Galicji Wschodniej, na Polesiu i Podolu oraz w południowo-wschodnich rejonach Polski. To rzeczywiście trudny do bezstronnej oceny rozdział stosunków polsko-ukraińskich. Trudny przez szczególne nagromadzenia drastycznych, bolesnych realiów tego konfliktu. Trudny, gdyż te wydarzenia są wciąż żywą emocją, której nie próbowano rozładować przez ustalenie prawdy historycznej. Emocje zrodzone na tragicznym podłożu, nie rozładowane, zastygają i trudno je potem łagodzić.

Choć stosunki polsko-ukraińskie rozwijają się w sprzyjającej atmosferze, to problem oceny konfliktów z lat 1943–1947 nadal trudno rozwiązać. Trwa nadal zasadniczy spór nawet na poziomie ustalania faktów. Sądzę, że można historykom obu krajów ułatwiać różnymi dostępnymi sposobami prace zmierzające do ustalenia prawdy. I należy to czynić uznając, że czas tu nie łagodzi, lecz pogłębia skutki. Nie wolno jednak tej trudnej dyskusji sztucznie przyspieszać. Nie powinni w tym historyków zastępować politycy. Jeśli już politycy mają tu coś do zrobienia, to tworzyć fakty budujące klimat wzajemnego zaufania i zasypujące dotychczasowe nieporozumienia i urazy.

Wydaje się, że takie właśnie podejście do trudnej historii wzajemnego współżycia naszych narodów jest widoczną cechą polsko-ukraińskich kontaktów politycznych. Rozwija się znakomicie współpraca polityczna, trwa nieustanny dialog, zwłaszcza na najwyższym szczeblu. Z prezydentem Ukrainy Leonidem Kuczma spotykałem się już ponad czterdzieści razy, ustanawiając trudny do pobicia rekord światowej dyplomacji. Były to na ogół spotkania bardzo konkretne i użyteczne.

Mamy coraz lepiej rozwijającą się współpracę na polu wojskowym. Polska świadczy za Ukrainą w instytucjach światowych finansów, jest rzecznikiem współpracy tego kraju ze strukturami zjednoczonej Europy. Ukraina z kolei jednoznacznie deklaruje kontynuację strategicznego wyboru, widzi swoją drogę do Europy prowadzącą przez Polskę i z Polską. Chce być stabilnym, umacniającym system bezpieczeństwa, czynnikiem układu europejskiego.

W ten sposób doktryna o strategicznym partnerstwie naszych państw i narodów wypełnia się treścią codziennych faktów. Wiemy, że na swej drodze Ukraina ma bardzo trudne reformy gospodarcze. Trudne, a zarazem tak ważne, że niemal decydujące dla zachowania realnej niepodległości przez ten kraj. Jeśli dobre sąsiedztwo widzimy jako otwartość na świadczenie sobie wzajemnej pomocy, to wydaje się, iż moralnym oraz politycznym nakazem dla Polski jest w tym historycznym dziele maksymalnie pomóc sąsiadowi. Nie mam wątpliwości – jest to działanie w najlepiej pojętym interesie Polski.

Myślę, że podobny imperatyw powinien kierować naszymi krokami w kierunku Litwy. Przez wieki Polacy mówili o mieszkańcach ziem nad Wilią – „bracia Litwini”. Kryło się w tym coś więcej, niż tylko podkreślenie unii państwowej obydwu narodów, była w tym zwrocie jakaś szczególna bliskość, wręcz serdeczność więzi.

Wspólne były powstania i wspólne cierpienia na zsyłkach. We wspólnych zmaganiach na polach bitewnych rodziła się więź umacniana ożywioną współpracą i licznymi innymi kontaktami. Resztę prawdopodobnie dopełniła kultura oraz codzienne współżycie na jednej ziemi Polaków i Litwinów. Te związki przybrały nieznane gdzie indziej formy instytucjonalne. Po Unii Lubelskiej, w konsekwencji rozwoju wza-

jemnych związków, pojawiło się oto państwo zwane Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

W drugiej połowie XIX wieku na scenie europejskiej zaczęły się kształtować ruchy narodowe. Pojawiły się one także na byłych ziemiach pierwszej Rzeczypospolitej – na Ukrainie i wśród Litwinów. W końcu zaowocowały one powołaniem samodzielnego państwa litewskiego i trwającym przez całe dwudziestolecie międzywojenne sporem o Wilno. Litwini demonstrowali niechęć wobec stuleci wspólnej historii, widząc w jej przypominaniu przejaw polskiego protekcyjnalizmu i dążenia do hegemonii.

W historię powojenną obydwie narody weszły w odmiennych konfiguracjach politycznych – Polska jako państwo z ograniczoną suwerennością, Litwa z utraconą niepodległością. Nie był to czas sprzyjający budowaniu więzi. Historia zatoczyła koło w wyniku przemian na przełomie lat 1989/1990. Odżyły dążenia emancypacyjne również na Litwie. Polacy z radością przyjęli powstanie znów niepodległego państwa litewskiego. W retoryce polskiej znów pojawił się zwrot „bracia Litwini”. Litwa, podobnie jak Ukraina, znalazła się na szczególnym miejscu w zainteresowaniach i działaniach państwa polskiego.

Dziś jeszcze nieznane są koleiny, po których potoczy się najbliższa historia jeszcze innego bliskiego nam, Polakom narodu – Białorusinów. Wydawało się, że ten naród, który wystartował w 1991 roku do samodzielnego, niepodległego bytu pod historycznymi znakami spod Grunwaldu, zdoła zachować tę najcenniejszą wartość. W ostatnich jednak latach oficjalne, choć kwestionowane przez opozycję jako niekonstytucyjne, czynniki polityczne Białorusi odwróciły tendencję rozwoju swego kraju.

Oczywiście, jest sprawą wewnętrzną Białorusinów, jakie formy państwowości i jakie alianse sobie wybiorą. Sprawą



ogólniejszą i ważniejszą dla społeczności międzynarodowej jest, czy będzie to wolny wybór narodu białoruskiego. Niezależnie jednak od odpowiedzi na to i inne istotne pytania dotyczące tego państwa, nigdy nie możemy wykreślać Białorusi z grona tych krajów, z którymi nasze stosunki powinny być bliskie i serdeczne.

## Tożsamość środkowoeuropejska?

Brytyjski historyk i publicysta Timothy Garton Ash stwierdza na w pół żartobliwie: „Pokaż mi, co uważasz za Europę Środkową, a powiem ci, kim jesteś” – i wiele jest w tym słuszności. Zakres polityczny i cywilizacyjny pojęcia Europy Środkowej zmieniał się na przestrzeni epok. Różne bywają interpretacje tego, które z krajów należy uważać za środkowoeuropejskie. Wiele tu zależy od miejsca na kontynencie, z którego się patrzy, od doświadczeń historycznych, od narosłych stereotypów.

W historii niemieckiej myśli politycznej *Mittleuropa* był to obszar oddzielający Rzeszę od Rosji. Najlepiej – uważali berlińscy geopolitycy – jeśli rozwija się on pod protektorem Berlina. W polskiej tradycji nieodłączną częścią Europy Środkowej jest cały obszar wchodzący niegdyś, przed rozbiorami, w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Czesi i Węgrzy widzą natomiast chętnie Europę Środkową w granicach dawnej monarchii Franza Josefa.

Niezależnie jednak od geograficznej definicji, Europa Środkowa to nie tylko obszar na mapie. To przede wszystkim więź duchowa i poczucie wspólnoty dziejowego losu i w przeszłości i w przyszłości. W ostatnich dziesięciu latach owa wspólnota stała się nową jakością polityczną.

W dzisiejszej polityce europejskiej jądrem Europy Środkowej są Polska, Węgry, Czechy i Słowacja. Sukces transformacji w naszych krajach w pełni przyczynił się do zburzenia „żelaznej kurtyny” w Europie. Właśnie te kraje były w dekadzie lat dziewięćdziesiątych godnymi zaufania producentami stabilności, obszarem rozwoju gospodarczego. Niektórym aż trudno uwierzyć, że to akurat ten obszar dziś służy za przykład siły sprawczej, jaką daje demokracja, praworządność i konsekwentne reformy wolnorynkowe. Jest oczywiste, że wizja zjednoczonej Europy, realizowana w ramach Unii Europejskiej, byłaby ułomna i pozbawiona dziejowego rozmachu bez udziału naszych krajów.

Specjalnością Europy Środkowej stało się dziś umiejętne wykorzystywanie szans. Utworzyliśmy a następnie odnowiliśmy Grupę Wyszehradzką. Polska, Węgry i Czechy weszły do NATO. Stowarzyszyliśmy się z Unią Europejską i stworzyliśmy CEFTA – wspólny obszar wolnego handlu. Europa Środkowa to dla Polski drugi krąg, po sąsiedzkim, naszej aktywności regionalnej. Odbywa się obecnie wiele spotkań środkowoeuropejskich na szczycie. Służą one lepszemu wzajemnemu poznaniu się, wymianie doświadczeń i koordynacji polityki.

Czołowi politycy krajów naszego regionu demonstrowali już niejedną raz swoją więź, a także wolę otwarcia ku sąsiednim obszarom Bałkanów i basenu Adriatyku, ku północy i basenowi Morza Bałtyckiego a także ku południowemu wschodowi i Morzu Czarnemu. Dla nas, dla polskiej polityki zagranicznej jest to trzeci krąg naszej aktywności regionalnej. Próbujemy łączyć ogniska współpracy regionalnej, aby stworzyć łańcuch współpracy od Bałtyku, poprzez Europę Środkową, aż po Morze Czarne.

I w tej dziedzinie, w tym trzecim kręgu, wkład Polski jest znaczący. Jak wielokrotnie podkreślałem aktywność regionalna to motyw wiodący bardzo wielu moich spotkań. Chcę podkreślić, że Polska jest w tej roli znaczącego kraju środkowoeuropejskiego pełniącego misję dobrych usług dla swych wielu bliższych i dalszych sąsiadów akceptowana i bardzo dobrze widziana.

Jeśli już mówimy o wspólnocie środkowoeuropejskiej, warto abyśmy rozważyli jeszcze jeden aspekt. Mam na myśli wątek słowiański. Mówiłem o tym niedawno podczas odczytu na Uniwersytecie Tomasza Masaryka w morawskim Brnie. W moim przekonaniu, zintegrowana Europa powinna być jednością w wielości. Również kraje słowiańskie mogą wnieść – poprzez swoją tradycję, doświadczenia i mentalność – nowy element do tej różnorodnej jedności. Warto było o tym mówić właśnie w Czechach, kraju silnie zorientowanym na zachód, ale zarazem o mocnym historycznym poczuciu słowiańskości.

Oczywiście, chodzi tu o coś zupełnie innego niż idee słowianofilskie i panslawistyczne, które były charakterystyczne dla krajobrazu duchowego Rosji z XIX i początków XX stulecia. Były one wpisane w kontekst cywilizacyjnego i politycznego sporu między Zachodem a Wschodem. Znajdowały ówczesnie pewne echo w niektórych środowiskach narodów słowiańskich, zwłaszcza wśród Czechów, Słowaków i Słowian południowych. Miewają czasem swoją kontynuację we współczesnych debatach, na przykład w gorących dniach akcji NATO przeciwko Jugosławii wiosną 1999 roku.

Polska historia sprawiła, że byliśmy i jesteśmy narodem szczególnie niepodatnym na taką ideę słowiańskiej wspólnoty, która miałaby być budowana w opozycji do cywilizacji

zachodnioeuropejskiej. Czuliśmy się zawsze częścią tej cywilizacji. Na przestrzeni ostatnich dwóch wieków zmagaliśmy się ze wschodnią agresją w obronie naszej niepodległości oraz z naciskiem rusyfikacyjnym w obronie narodowej tożsamości.

Jednak do naszego dziedzictwa historycznego i kulturowego należy też bogactwo owocnych kontaktów ze Wschodem; także słowiańskim, z fascynującą cywilizacją prawosławia. Mieści się w polskiej tradycji cecha otwartości, współistnienia i przenikania się kultur. Dzięki tym doświadczeniom czujemy się dzisiaj zobowiązani, aby w jednoczącej się Europie aktywnie współuczestniczyć w rozwijaniu więzi także pomiędzy krajami słowiańskimi.

Od 1998 roku o członkostwie w Unii Europejskiej negocjują trzy kraje słowiańskie: Polska, Czechy i Słowenia. Po decyzjach unijnego szczytu w Helsinkach w 1999 roku do tego grona dołączyły Słowacja i Bułgaria. Polityczne zmiany w Chorwacji otwierają drogę do uczestnictwa również i tego słowiańskiego kraju w procesie europejskim. Jest wiele przykładów świadczących o proeuropejskiej orientacji Ukrainy, choć zdaję sobie sprawę, że kwestia ewentualnego ukraińskiego członkostwa w Unii dotyczy dalszej przyszłości. Wszystkie te czynniki sprawiają, że – na szczęście – Słowiańszczyzna na pewno nie stanie się skansenem ani też obszarem recydywy antyzachodniego panslawizmu.

Myślę, że kraje słowiańskie w strukturach integracyjnych mogą uczynić wiele dobrego dla budowania i umacniania jedności Europy. Trzeba jednak ciągle pamiętać, że chodzi tu o nową jakość polityczną. Etniczne pokrewieństwo nie może przesłaniać współpracy z innymi krajami regionu. Nie może ono zastępować takich wartości jak: demokracja, praworządność, prawa człowieka, subsydiarność, zasady

wolnego rynku – które są podstawą dla europejskiej wspólnoty w ramach UE oraz NATO. Kraje słowiańskie w większym niż dotychczas stopniu być powinny elementem nowego ładu europejskiego polegającego na otwartości i współpracy, a nie na tworzeniu podziałów i konfrontacji. Nie wolno nam pójść tropem rozważań Huntingtona, wskazującego na nieuchronność cywilizacyjnych zderzeń.

Czytałem kiedyś błyskotliwy esej Milana Kundery *Tragedia Europy Środkowej*. Byłem pod jego wrażeniem, ale zgadzałem się też z jego polemistami, że nie można w sposób nazbyt uproszczony, jednostronny kreślić cywilizacyjnych podziałów i wykluczać pewne narody i kultury z Europy. Właśnie czynnik słowiański, podobnie jak środkowoeuropejski – doświadczenie „bycia pomiędzy”, tradycja kontaktów z Zachodem i Wschodem – może istotnie przyczynić się, by Europa XXI wieku była jednym organizmem.

## Aksamitna obojętność czy regionalna solidarność?

Na porządku dnia stoi pytanie, co uczynimy dalej z tym wielkim dorobkiem i atutem, jakim jest nasza regionalna współpraca. Najważniejsza jest dziś wspólna droga do struktur euroatlantyckich i europejskich. Ale jednak musimy rozstrzygnąć, jak będziemy ją pojmować w przyszłości. Czy tylko jako sposób podróży do zjednoczonej Europy, czy też możemy myśleć o czymś więcej. Zastanówmy się, czy – mimo intensywności kontaktów politycznych, uczestnictwa we wspólnym sojuszu, współpracy gospodarczej, wzajemnej sympatii i życzliwości – nie żyjemy, my mieszkańcy Europy

Środkowej, Środkowowschodniej i Międzymorza, ciągle jakby obok siebie, pochłonięci własnymi sprawami? Powstało nawet, bodaj w Czechach, takie sformułowanie: „aksamitna obojętność”. Puls wydarzeń w Paryżu, Berlinie, Londynie, Nowym Jorku przyciąga bardziej naszą uwagę niż to, co dzieje się u najbliższych sąsiadów.

Warto zastanowić się więc nie tylko nad tym, w jaki sposób umacniać naszą regionalną solidarność, ale także jak dzielić się sukcesem Europy Środkowej z innymi krajami. Nie powinniśmy ulegać pokusie zawłaszczania „środkowoeuropejskości” jako wygodnego wehikułu wwożącego nas do zjednoczonej Europy. W moim przekonaniu najważniejszą dziś misją Europy Środkowej jest niedopuszczenie do budowy nowych linii podziału na naszym kontynencie.

Prezydent Ukrainy, Leonid Kuczma, żartował kiedyś na jakimś spotkaniu prezydentów naszego regionu: „Kwaśniewski nas ciągle zmusza do współpracy”. Żart żartem, ale coś w tym jest. Rzeczywiście zadanie „napędzania” regionalnej współpracy traktuję z najwyższą powagą. Uważam, że to jest misja Polski o wymiarze historycznym.

Dlaczego tak robię? Mówiąc najprościej – dlatego, bo czuję swoją przynależność do tych milionów mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, którzy wierzą w europejski sukces. Znalazłem wśród szefów państw naszego regionu dobrych partnerów dla tego sposobu identyfikacji. Z ogromną satysfakcją powitał tę nową polską dynamikę regionalną już w początkach roku 1996 Vaclav Havel. Zawsze mogłem liczyć na zrozumienie i chęć współuczestnictwa ze strony kolejnych prezydentów Litwy – Algirdasa Brazauskasa i Valdasas Adamkusa. Nie mogę też nie wspomnieć Rudolfa Schustera, prezydenta Słowacji, a także właściwie

wszystkich innych szefów państw Europy Środkowo-Wschodniej. I co dla mnie najważniejsze – wszyscy oni zaakceptowali i gorąco powitali udział Ukrainy w naszych spotkaniach i rozmowach.

Wszyscy razem pragnęlibyśmy, aby kraje zachodnie widziały w nas nie tylko kandydatów do eurostruktur, ale przede wszystkim partnerów, którzy pomogą w budowie europejskiej pomyślności. A więc i kandydaci, i partnerzy. Między tymi pojęciami mieści się pytanie o solidarność w życiu Europy. Właśnie to poczucie solidarności nakazuje Polsce dopominać się o miejsce w europejskiej wspólnocie także dla innych mieszkańców kontynentu. To wydaje się niektórym przedwczesne. Myślę jednak, że właśnie całą swoją aktywnością regionalną Polska udowadnia, jak poważnie i odpowiedzialnie traktuje cały europejski projekt.

Sukcesy we współpracy sąsiedzkiej i regionalnej nie powinny usypiać naszej czujności. Bo jak imponujący jest bilans osiągnięć, tak niepokojący swoimi rozmiarami jest również plik zagrożeń. Obudziły się demony złej przeszłości naszego kontynentu: autorytaryzm, agresywny nacjonalizm, ksenofobia. Szczególnie tragiczna karta to konflikty na Bałkanach. Niepokoić musi fakt, że nawet w niektórych ugruntowanych, zachodnich demokracjach poparcie uzyskują siły polityczne, które do swego programu wpisały niechęć do ludzi innych narodowości.

Procesom zjednoczeniowym towarzyszy zarazem powstawanie nowych podziałów. W wielu wysoko rozwiniętych krajach Zachodu zetknąć się można wręcz z opinią, że niektóre obszary Europy są z założenia niezdolne do integracji. Nawet jeśli to przekonanie nie dotyczy Polski – budzi ono nasz najwyższy niepokój.

Rosnąca, w niektórych krajach zachodnioeuropejskich, popularność nacjonalistów, ksenofobów, izolacjonistów staje się wymownym symbolem nowych zagrożeń, symbolem „egoizmu sytych”. Oby tendencje, które nas niepokoją, nie stały się zaraźliwe. Pewna nadwrażliwość, płynąca z gorzkich lekcji historii, potrzebna jest nam i Europie. Czeski prezydent Vaclav Havel, napisał kiedyś: *Jeśli nowego ładu europejskiego nie stworzą demokraci, wezmą się za to nacjonałiści*. Trudno odmówić racji tej opinii.

Jednoczenie Europy nie może odbywać się inaczej niż etapami, których intensywności i długości nikt dzisiaj nie jest w stanie przewidzieć. Mamy zarazem świadomość, że Europa nie jest wizjonerską abstrakcją, Europa gdzieś się kończy. Myślę, że w XXI wieku będziemy musieli zmierzyć się z kilkoma zasadniczymi pytaniami. W Europie XXI wieku rysuje się perspektywa współpracy krajów z obszaru od Morza Bałtyckiego, poprzez Europę Środkową, do wybrzeży czarnomorskich. Może się ona rozwijać w ramach unijnych struktur i w ramach coraz bliższych kontaktów Unii Europejskiej z Ukrainą, z Rosją i z Turcją. Europa otwarta na współpracę ze Wschodem, także z krajami azjatyckiego sąsiedztwa – to wielkie cywilizacyjne wyzwanie, przed którym na pewno postawi nas XXI wiek.

Szczególnie wiele zależy od strategicznych wyborów Rosji – czy wyjdzie ona na spotkanie zachodnich trendów cywilizacyjnych, czy też budować będzie swą tożsamość w opozycji do zachodnich wartości. Bardzo jest też istotne pytanie, czy Europa potrafi wyraźnie dostrzec zależność pomiędzy własną stabilnością i bezpieczeństwem a stabilnością i bezpieczeństwem Ukrainy. Realne stało się pytanie o Turcję, o perspektywę jej uczestnictwa w Unii Europejskiej. Nie



jest w naszej mocy, by na te pytania samodzielnie odpowiadać. Tylko częściowo możemy pomóc w wykluwaniu się korzystnych dla Europy – i dla nas – rozstrzygnięć. Możemy być jednak aktywnymi kibicami – więcej nawet – współpartnerami i współuczestnikami szerszych, ogólnoeuropejskich procesów integracyjnych. Nie zaniedbujmy tych możliwości.

# Polska bezpieczna

*Hombre, you are in NATO* (Człowieku, jesteście w NATO) – tymi słowami, taką mieszanką hiszpańsko-angielską, powitał mnie w lipcu 1997 roku na progu madryckiego pałacu rozpromieniony Javier Solana, ówczesny sekretarz generalny Paktu, hiszpański socjalista i mój przyjaciel. W stolicy Hiszpanii odbywało się wtedy spotkanie na szczycie krajów Paktu Północnoatlantyckiego. Debatowano nad decyzją o rozszerzeniu Sojuszu. Na rezultat szczytu czekaliśmy wiele godzin. Nie powinienem więc być tą wiadomością zaskoczony, a jednak przez chwilę nie mogłem wykrztusić słowa. Czuję, że oto stało się coś naprawdę historycznego, niezwykle ważnego dla Polski.

Często wspominam tę chwilę. Uosabia ona bowiem jeden z najważniejszych procesów w historii naszego państwa: dążenie do zapewnienia bezpieczeństwa narodowego. W swych dziejach byliśmy atakowani ze wszystkich kierunków: północy, wschodu, południa i zachodu. Przeżyliśmy powstania i rewolucje. W wieku XX znaleźliśmy się w centrum dwóch okrutnych wojen światowych. Dziś po raz pierwszy od trzech chyba stuleci, Polsce nic bezpośrednio nie zagraża. Należymy do najpotężniejszego sojuszu wojskowego na świecie.

A jednak odpowiedź na pytanie, czy jesteśmy zupełnie bezpieczni, nie jest prosta. Nic nie jest dane raz na zawsze.

O bezpieczeństwo trzeba zabiegać nieustannie. Nasza obecność w NATO jest zbiorowym sukcesem. Polityków z różnych ugrupowań, wojskowych, przede wszystkim zaś polskiego społeczeństwa. Warto prześledzić oraz docenić ewolucję, jaka dokonała się w polskiej armii i w myśleniu Polaków o sprawach bezpieczeństwa narodowego.

## Zmiany w siłach zbrojnych

W wojsku, podobnie jak wszędzie w kraju, zaszły w ciągu dekady lat dziewięćdziesiątych głębokie zmiany. Najpierw po 1989 roku nastąpiło odpartyjnienie armii. Wielu młodych oficerów rozpoczęło szkolenie w zachodnich uczelniach. Później, coraz częściej, prowadzono wspólne ćwiczenia z wojskami NATO, także na polskich poligonach. Rozpoczął się proces przebudowy struktury kadry oficerskiej. Po raz pierwszy do szkół oficerskich zaczęły trafiać kobiety.

Wojsko to wyjątkowa instytucja. Z jednej strony jest podobna do instytucji cywilnych. Ma swoje siedziby, biurokrację, system wynagrodzeń etc. Z drugiej strony jednak – jego zadaniem jest „produkcja bezpieczeństwa”, a więc czegoś bardzo specyficznego, trudnego do precyzyjnej oceny. W myśleniu opinii publicznej o armii tkwi swoisty paradoks: im bardziej czujemy się bezpieczni, tym mniej jesteśmy skłonni łożyć na utrzymanie armii. Z punktu widzenia podatnika wydaje się to logiczne. Jednak z punktu widzenia osób służących i pracujących w wojsku ten mechanizm jest niesprawiedliwy, a dla bezpieczeństwa państwa w dłuższej perspektywie wręcz samobójczy.

Specyfiką wojska jest to, że mogą w nim służyć tylko osoby o określonych cechach fizycznych i duchowych. Lu-

dzie sprawni, zdrowi, utrzymujący kondycję fizyczną. Gotowi realizować powierzone im zadania bez względu na czas i okoliczności. Zdolni zmieniać miejsca pobytu, żyć w oddaleniu od rodzin i znajomych, działać w trudnych warunkach. Przede wszystkim jednak, osoby takie muszą mieć zdolność i umiejętność ponoszenia ryzyka. Od obsługi niezwykle drogiej i niebezpiecznej broni poczynając, po narażenie własnego zdrowia i życia. Muszą być odważne, ale jednocześnie odpowiedzialne, kontrolujące swoje poczynania. I jeszcze jedno – kadra zawodowa, oprócz wyżej wymienionych cech, musi spełniać również rolę wychowawcy i nauczyciela wobec żołnierzy służby zasadniczej. Wszystko to sprawia, że profesję zawodowego żołnierza wykonują ludzie, którzy mają nie tylko odpowiednie warunki psychofizyczne, ale i silną motywację.

Wiele zmian w armii to pochodna ogólnych przemian. Duży wpływ miała też konieczność dostosowania się do natowskich standardów. Jednak ważną rolę odegrała inicjatywa samych wojskowych. Okazało się, że większość oficerów to ludzie doskonale rozumiejący konieczność zmian i dostrzegający w nich szansę zarówno dla siebie, jak i dla Polski. Nie tylko nie obawiali się spotkać z partnerami z Zachodu, ale wykazali w tym zakresie wiele własnego zaangażowania.

Przed 1996 rokiem niejednym raz zderzyliśmy się z problemem, jak wdrożyć w naszym wojsku system cywilnej i demokratycznej kontroli. W polskich tradycjach wojskowych zarówno przedwojennych jak i powojennych nie było tego pojęcia. Dziś jest to jeden z filarów demokracji. Nie sposób wyobrazić sobie nowoczesnego państwa, w którym armia nie jest pod kontrolą wybieralnych, cywilnych polityków. Jednym z pierwszych aktów prawnych, które

podpisałem po objęciu urzędu prezydenta, była ustawa o urzędzie ministra obrony narodowej, wprowadzająca zasadę jednoznacznego cywilnego nadzoru nad siłami zbrojnymi. Chodziło o to, żeby nie powtórzyły się incydenty z przeszłości, takie jak słynny „obiad drawski”, kiedy grupa generałów w obecności ówczesnego zwierzchnika Sił Zbrojnych zakwestionowała autorytet szefa MON albo kiedy w publicznych wystąpieniach szef Sztabu Generalnego, pouczał władze państwowe, jak powinny zachowywać się wobec armii.

Paradoksalnie, ale to właśnie owe przypadki przyczyniły się do przyspieszenia prac nad odpowiednimi ustawami. Stworzone zostały w ten sposób ramy prawne dla restrukturyzacji MON. W ich wyniku została zlikwidowana autonomia Sztabu Generalnego, a odpowiedzialny przed parlamentem i wyborcami cywilny minister obrony kieruje całością prac resortu. Wprowadzono też zasadę kadencyjności najważniejszych stanowisk w wojsku. Po przeprowadzeniu tych „porządków” legislacyjnych dokonałem zasadniczych zmian w dowództwie armii. Najwyższe stanowiska w polskich siłach zbrojnych objęli ludzie świadomi wyzwania współczesności, rozumiejący reguły demokracji. Sztab Generalny WP, na którego czele stoi od 1997 generał Henryk Szumski, jest poważnym i odpowiedzialnym partnerem zarówno dla mnie jako zwierzchnika sił zbrojnych, jak i dla kolejnych ministrów obrony.

## Droga do NATO

Trudno jest zdefiniować moment, kiedy zaczęła się polska droga do NATO. W sensie politycznym jest to niewątpliwie związane z przemianami z przełomu lat 80. i 90. Przy „okrąg-

łym stole” nie padały jeszcze, oczywiście, propozycje wystąpienia Polski z Układu Warszawskiego ani, tym bardziej, przystąpienia do NATO. Jednak konieczność reorientacji naszej polityki zagranicznej wydawała się już wtedy i możliwa i konieczna. Zwłaszcza, że w ZSRR „piestrojka” była coraz bardziej zaawansowana. Zakwestionowana została doktryna Breżniewa. Czuliśmy naszą dziejową szansę, choć nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę, jak daleko ona może sięgnąć i jak szybko będzie można ją zrealizować, tym bardziej że to właśnie my torowaliśmy drogę przemianom.

W miarę postępów demokracji stawało się oczywiste, że utrzymanie bloków w Europie stoi w sprzeczności z rozbudzonymi nadziejami i aspiracjami narodów. Chociaż zdawaliśmy sobie sprawę, że prędzej czy później musi przyjść nowy ład na kontynencie i zastąpić pojałtański podział, tempo zmian na przełomie dekad zaskakiwało wszystkich. „Jesień ludów” w Europie Środkowej i Wschodniej, upadek „berlińskiego muru”, rozpad Związku Radzieckiego, rozwiązanie Układu Warszawskiego, wyprowadzenie wojsk rosyjskich z Polski, to były milowe kamienie na naszej drodze do NATO. I, mimo że bieg wydarzeń często trzymał nas w napięciu, nie przegapiliśmy właściwego momentu.

Nie tylko Polska otrząsała się z pozostałości „zimnej wojny”. Czasu na ocenę nowej europejskiej rzeczywistości potrzebowało również NATO. Sojusz, który przez 40 lat skutecznie bronił zachodnich demokracji nagle stanął przed koniecznością dostosowania się do nowych czasów i nowej sytuacji. Koncepcja strategiczna NATO, przyjęta w Rzymie w listopadzie 1991 roku, była bardzo ostrożna. Pomyślana została w głównej mierze jako zabezpieczenie pokojowego charakteru demokratycznych przemian w Europie Środko-

wej i Wschodniej. Skoncentrowano się tam na sposobach zapobiegania sytuacjom kryzysowym oraz na utrzymaniu konstruktywnego dialogu i współpracy z Rosją. I, chociaż formalnie NATO było organizacją otwartą, to o rozszerzeniu w latach 1991–1992 nic nie mówiono.

Zarówno Polska, jak i inne kraje regionu, nie zamierzały jednak pozostawać w „próżni bezpieczeństwa”. Z czasem coraz więcej państw deklarowało chęć przystąpienia do NATO. Pojawiły się też bardzo mocne argumenty natury moralnej, że faktyczne otwarcie Sojuszu byłoby swoistą rekompensatą za udział mocarstw zachodnich w „jałtańskim” podziale Europy.

Na szczycie w Brukseli w styczniu 1994 roku NATO przygotowało program Partnerstwa dla Pokoju. Była to praktyczna oferta współpracy wojskowej i wspólnych działań z tymi, którzy byli tym zainteresowani. W pierwszej chwili kraje aspirujące do członkostwa w Sojuszu przyjęły program z rezerwą, a nawet rozczarowaniem. Obawiano się, że jest to rodzaj substytutu zamiast pełnego członkostwa, taka „wieczna poczekalnia”. Z dzisiejszej perspektywy wiadać jednak, że Partnerstwo dla Pokoju było dobrym pomysłem. Dawało wybór, każdy mógł przystąpić do programu i określić, do jakiego stopnia ta współpraca go interesuje. Tym sposobem program partnerstwa stał się probrzem siły oddziaływania oraz atrakcyjności NATO i niewątpliwie skutecznym narzędziem do wyłaniania najlepiej przygotowanych do członkostwa, a kraje Europy Środkowej i Wschodniej przekonały się, że ich aspiracje są traktowane poważnie.

## Ponadpartyjny konsensus

W latach 1992 i 1993 za wyborem euroatlantyckim opowiadały się wszystkie główne siły polityczne w Polsce. Jesienią 1993 roku, kiedy po wyborach powstał rząd koalicji SLD-PSL w konstytuującej go umowie koalicyjnej znalazło się znamienne zdanie wymieniające wśród jego celów dążenie do NATO. Te słowa oznaczały, że w Polsce powstał ostatecznie ponadpartyjny konsensus w kwestiach polityki bezpieczeństwa, który objął prawicę i lewicę. Oczywiście nie brakowało polemik, wzajemnych pretensji, zarzutów o nieszczerłość, ale gdy przychodziło do decyzji, to nie było wątpliwości. Polska mówiła zdecydowanym głosem, choć zmieniał się skład parlamentu, zmieniali się prezydenci, premierzy, ministrowie.

Sukces ma wielu ojców – tym razem to była prawda. Przemawiając w obecności prezydenta Billa Clintona na Placu Zamkowym w Warszawie w lipcu 1997 roku dziękowałem za wniesienie osobistego, konsekwentnego wkładu na rzecz polskiej obecności w NATO: Lechowi Wałęsie, Tadeuszowi Mazowieckiemu, Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu, Janowi Olszewskiemu, Hannie Suchockiej, Waldemarowi Pawlakowi, Józefowi Oleksemu, Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, Krzysztofowi Skubiszewskiemu, Andrzejowi Olechowskiemu, Władysławowi Bartoszewskiemu, Dariuszowi Rosatiemu, Bronisławowi Geremkowi. Dzisiaj należałoby dodać do tej listy także Jerzego Buzka i Janusza Onyszkiewicza oraz liderów głównych ugrupowań parlamentarnych: Mariana Krzaklewskiego, Leszka Millera, Leszka Balcerowicza i Jarosława Kalinowskiego. Doceniam też osobiste zaangażowanie i ogromną pracę ambasadora RP w USA w latach 1994–2000 – Jerzego Koźmińskiego. Wspaniałą robotę wykonała również Polonia rozsiana po całym świecie,



a zwłaszcza Polonia amerykańska, która stała się najlepszym adwokatem swojej starej Ojczyzny. Nasz sukces w staraniach o wejście do NATO był więc bez wątpienia dziełem zbiorowym.

Od czasu do czasu pojawiają się próby zawłaszczania tego dorobku. Myślę, że nie jest to właściwe podejście. Nie mieliśmy do czynienia z wyścigiem, lecz ze złożonym procesem. Do pewnego stopnia obiektywnym, wynikającym ze zmian na politycznej mapie świata. Ale również zależnym od woli i determinacji wielu ludzi, instytucji, państw.

Warto w tym miejscu przypomnieć o ewolucji stanowiska lewicy. Uzyskała ona w kolejnych wyborach demokratyczną legitymizację i trwałe miejsce na scenie politycznej. Akceptacja wyborców nie byłaby możliwa, gdyby rozumienie przez lewicę interesu narodowego różniło się z odczuciem większości Polaków. Wraz z innymi ugrupowaniami – choć w jej przypadku było to bardziej skomplikowane – przebyła ona ogromną drogę.

Dlaczego jednak doszło do tej ewolucji? Przede wszystkim, jak sądzę, z poczucia odpowiedzialności. Po drugie – z poczucia pragmatyzmu i dążenia do skuteczności. Jeśli przyjmiemy dość banalną prawdę, że warunkiem rozwoju, warunkiem realizacji wyborczych programów jest bezpieczeństwo, to dla każdej poważnej siły politycznej w kraju stawało się jasne, że dążenie do NATO jest najlepszym sposobem zapewnienia tego bezpieczeństwa. A zapewnienie bezpieczeństwa w pojedynkę kosztowałoby znacznie drożej. Wobec dobrych rezultatów wyborczych SLD, poparcie lewicy dla rozszerzenia NATO było traktowane przez większość natowskich polityków i analityków jako – twierdzą to z całym przekonaniem – kwestia *sine qua non* dla udziału Polski w rozszerzeniu Paktu. Szerzej pisałem o tym wiosną 1999 roku na łamach „Trybuny”.

## Nowe NATO – co do niego wnosimy

Kiedy podczas szczytu NATO w Madrycie zostaliśmy zaproszeni do rozmów akcesyjnych, potraktowaliśmy to jako przełomowe wydarzenie. Polska starała się wykorzystać swoją szansę z całą determinacją. Ta powszechna mobilizacja przyniosła rezultaty. 12 marca 1999 roku Polska – wraz Czechami i Węgrami – stała się członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Nie weszliśmy do NATO z pustymi rękami – co warto podkreślić. Mamy liczną, nieźle wyszkoloną armię o wielkich tradycjach. Miałem okazję nasłuchać się wielu komplementów o umiejętnościach polskich żołnierzy. W oczach ekspertów zachodnich, polska armia jest zdecydowanie najlepiej wyszkolona spośród sił zbrojnych naszego regionu. Mimo braków w wyposażeniu i nie najnowocześniejszego sprzętu, polscy żołnierze znakomicie dawali sobie radę w czasie wspólnych ćwiczeń z jednostkami NATO. Ogromny szacunek zdobyła też nasza armia w związku z uczestnictwem w misjach pokojowych. Zachodni dowódcy tych misji, mający przecież możliwość porównania, zawsze wystawiają Polakom najwyższe oceny.

Naszym „asem atutowym” są uregulowane stosunki ze wszystkimi sąsiadami. W tym regionie Europy było to niezwykle ważne. Innymi słowy, Polska wniosła do NATO doświadczenie kraju, który potrafił wpływać stabilizująco na cały region. Z punktu widzenia bezpieczeństwa europejskiego było to chyba ważniejsze niż nasze czołgi i armaty.

Nową jakością w polskiej armii są wspólne jednostki z państwami ościennymi. Myślę tu o batalionach polsko-litewskim i polsko-ukraińskim oraz o korpusie polsko-niemiecko-duńskim, stacjonującym na stałe w Szczecinie.

Dwie pierwsze jednostki to dowód dobrej współpracy wojskowej z naszymi sąsiadami. Przeznaczeniem tych batalionów jest udział w misjach pokojowych i humanitarnych. Natomiast Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni w Szczecinie to regularna jednostka NATO. Narodziła się we wrześniu 1999 roku, w 60. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Czy może być bardziej wymowny symbol zmian? Przemawiając do polskich, niemieckich i duńskich żołnierzy podczas uroczystości inaugurującej działalność tego korpusu powiedziałem: *czasy, kiedy staliście odwrócenii do siebie plecami i kreśliliście na mapach, jak osiągnąć diametralnie różne cele militarne, minęły bezpowrotnie. Dziś będziecie planować i podejmować decyzje o wspólnych operacjach.* Nie ma doprawdy w moim przekonaniu lepszego sposobu podkreślenia szczerych intencji i większego dowodu zaufania wobec sąsiadów, niż tworzenie wspólnych z nimi jednostek wojskowych.

Na szczycie NATO w Waszyngtonie, zwołanym w 50. rocznicę utworzenia tej organizacji w kwietniu 1999 roku, dokonano efektownego, symbolicznego zwieńczenia dzieła. W niezwykle uroczysty sposób zostali tam powitani nowi członkowie.

Ale nie to było najważniejsze. Plonem waszyngtońskiego szczytu, w którym wzięły udział oprócz 19 członków NATO przedstawiciele 23 państw realizujących program Partnerstwa dla Pokoju, było nakreślenie nowej perspektywy dla Sojuszu. Nowa koncepcja strategiczna NATO zakłada, że współczesne wyzwania wymagają nowych rozwiązań. Dziś NATO nie może zamknąć swojej aktywności polityczno-obronnej tylko w granicach państw członkowskich. Reprezentując demokratyczne wartości polityczne, powinniśmy być gotowi do obrony europejskiej demokracji i praw

człowieka. Nadchodzące lata będą wymagały skutecznego, natychmiastowego i konsekwentnego przeciwstawiania się nie kontrolowanej proliferacji broni, zwłaszcza broni masowego rażenia, przestępczości zorganizowanej, terroryzmowi międzynarodowemu, łamaniu praw człowieka na wielką skalę.

NATO musi być przygotowane do misji nowego typu. W bliskim sąsiedztwie, a jeśli zajdzie ważna przyczyna również w innych regionach graniczących ze strefą euroatlantycką. Wszędzie, skąd mogą przychodzić bezpośrednie zagrożenia dla Europy. Nowa strategia opiera się na „podejściu przewidującym”. Kształtuje ono i zabezpiecza otoczenie europejskich krajów Sojuszu w czasie pokoju oraz przygotowuje Pakt do właściwej odpowiedzi na różne nieoczekiwane i groźne zdarzenia. W tym sensie strategia ta tworzy nowy rodzaj nastawienia Sojuszu do sytuacji międzynarodowej – z wyczekującego na bardziej aktywny.

Już w marcu 1999 roku, właśnie wtedy, gdy cieszyliśmy się z uzyskania natowskich gwarancji bezpieczeństwa, zostaliśmy skonfrontowani z nowymi obowiązkami. Rozpoczęła się operacja NATO w Serbii i Kosowie. Dramat w Kosowie uświadomił nam wszystkim dobitnie, że członkostwo w NATO to nie tylko poczucie komfortu płynące z układu sojuszniczego z silniejszymi partnerami. To także współuczestnictwo w trudnych decyzjach i działaniach, a przede wszystkim ogromna współodpowiedzialność. Uznając, że dalsze cofanie się przed gwałtem w tym rejonie byłoby dla świata kompromitujące, poparliśmy akcję lotniczą NATO. Trzeba było zakończyć przelew krwi i przywrócić elementarną sprawiedliwość. Wiemy dobrze, że słabość w takich właśnie razach jest niezwykle kosztowna.

Ogromny szacunek należy się polskiej opinii publicznej. Byliśmy jednym z nielicznych krajów natowskich, gdzie do

samego końca działań przeciwko nowej Jugosławii utrzymywało się wysokie zrozumienie i poparcie dla tych, w końcu niełatwych, dramatycznych, a czasami wręcz tragicznych przedsięwzięć. Doświadczenie kryzysu kosowskiego umocniło polskie członkostwo w NATO i ugruntowało przekonanie, że na Polaków jako sojuszników można liczyć. Polska opinia publiczna, łatwiej może niż inne rozumie, co to są czystki etniczne. W tym sensie, dramatyczna historia, jaką przeżyła Polska, jest naszym atutem, bowiem przyczyniła się do większej dojrzałości i poczucia solidarności w trudnej próbie.

Ambicją Polski jest, aby nasza pozycja w Sojuszu odpowiadała nie tylko wielkości naszego kraju, ale też była wynikiem własnej aktywności. Przecież NATO jest ważne dla Polski nie jako klub towarzyski stabilnych i prosperujących demokracji obszaru euroatlantyckiego, ile raczej jako jeden z zasadniczych instrumentów realizacji naszych żywotnych narodowych i państwowych interesów. I dlatego sędzę, że dziś nie powinniśmy się już porównywać z Czechami i Węgrami, przy całym szacunku do tych krajów. Dziś swój wkład do umacniania bezpieczeństwa europejskiego powinniśmy przyczynić do tego, jaki wnoszą np. Hiszpania – kraj z nami porównywalny pod względem potencjału.

## Polska w NATO umacnia stabilność regionu

Obecnie staje więc przed nami pytanie, jaką rolę chcemy odgrywać w NATO i jak chcemy wykorzystać atut naszego położenia geograficznego. Polska nie leży już – jak to określano tradycyjnie – między Niemcami a Rosją, co było

w przeszłości naszym fatum. Nasz dzisiejszy dylemat geopolityczny opisałbym inaczej. Idzie o to, czy w NATO powinniśmy być krajem frontowym i na tym budować fundamenty swej polityki obronnej i zagranicznej, czy też szukać innych rozwiązań. Powie ktoś – to nie zależy tylko od nas, ale i od naszych sąsiadów. To prawda, ale w moim najgłębszym przekonaniu, my sami ze wszystkich sił powinniśmy unikać niebezpieczeństwa stania się państwem nowego przedmurza. Nie powinniśmy psychologicznie czuć się jak na froncie. Lepiej już, jak sądzę, nazywać się i – co ważniejsze – czuć się państwem brzegowym. Takie określenie jest neutralne i nie motywuje do bezwarunkowej nieufności wobec wschodnich sąsiadów. Co więcej, taka właśnie „brzegowa” wizja naszej obecności w Sojuszu zakłada, w moim przekonaniu, konieczność prowadzenia pozytywnej polityki wobec krajów nie należących do NATO.

Jednym z najtrudniejszych wyzwań, na które natknęliśmy się w swojej polityce bezpieczeństwa, była kwestia złagodzenia obaw u naszych wschodnich sąsiadów, zwłaszcza w Rosji. Problem Rosji wymaga osobnej uwagi. Przez dziesiątki lat była ona głównym, „naturalnym” przeciwnikiem NATO. Całe pokolenia wychowywane były tam w przekonaniu, że gdzieś tam na Zachodzie czai się straszny wróg. Mimo rozpadu Związku Radzieckiego i kłopotów gospodarczych, Rosjanie nie pogodzili się z utratą wpływów i ograniczeniem swej roli na scenie międzynarodowej. Ich obaw nie rozwiązały również powtarzane zapewnienia polskich polityków, że do NATO wstępujemy „nie przeciwko komukolwiek, ale dla własnego bezpieczeństwa”. I że krok ten będzie miał stabilizujące znaczenie dla całego regionu, na czym może skorzystać także Rosja. Również Sojusz za wszelką cenę starał się podkreślić, że zależy mu na dobrych,

partnerskich stosunkach z Rosją. Niestety, współpraca nатовско-росыjska nie układa się dobrze, chociaż w rok po operacji w Kosowie stosunki zostały odmrożone. Wierzymy, że mimo przeszkód relacje te mogą być lepsze.

Dużo lepiej wyglądają nasze kontakty w dziedzinie polityki bezpieczeństwa z Ukrainą. Udało się nam w latach 1996 i 1997 przełamać początkową rezerwę Kijowa wobec NATO. Dziś Ukraina jest jednym z najaktywniejszych uczestników Partnerstwa dla Pokoju na obszarze post-radzieckim, realizuje własny interesujący program współpracy z NATO, w którym zresztą aktywnie staramy się uczestniczyć.

W moim przekonaniu sprawy bezpieczeństwa w Europie rozwiązywane powinny być kompleksowo. Wejście do NATO w 1999 roku zamknęło proces naszego wychodzenia z szarej strefy bezpieczeństwa. Nie oznacza to jednak, że bezpieczeństwo narodowe Polski zostaje w pełni zagwarantowane. I dlatego jesteśmy tak zdecydowanymi zwolennikami włączania do struktur Sojuszu kolejnych państw. Nie zgodziliśmy się z poglądem, że nieprzekraczalną dla NATO granicą powinna być rosyjska strefa wpływów, pokrywająca się z obszarem dawnego ZSRR. Polska powinna dążyć do uczynienia z „drugiej tury” rozszerzenia NATO ważnego celu długofalowej strategii dotyczącej dalszego funkcjonowania Sojuszu. W tej strategii odnaleźć się powinny i Stany Zjednoczone, i nasi wielcy sojusznicy europejscy – Francja, Niemcy i Wielka Brytania, a także oczywiście trójka nowych członków z Europy Środkowej. Oprócz ewidentnych korzyści dla Polski (utrata statusu państwa „frontowego”) poszerzenie Sojuszu o nowych członków wzmocniłoby niepodległość Ukrainy, a to mieści się w naszym najgłębszym narodowym interesie.

Naszym zdaniem, szansę przystąpienia do NATO powinno mieć każde państwo europejskie, które tego chce oraz jest w stanie dostosować swoją armię oraz politykę wewnętrzną i zewnętrzną do wymogów Sojuszu. Przekraczając linię jałtańskiego podziału Europy NATO już dokonało wyboru, następne kroki powinny być łatwiejsze. Takie jest nasze konsekwentne stanowisko.

Polska w szczególności jest zainteresowana rozszerzeniem NATO o naszych sąsiadów – Słowację i Litwę. W naszym interesie jest też włączenie do Sojuszu pozostałych państw bałtyckich. Popieramy również aspiracje i starania Słowenii, Rumunii i Bułgarii. Nasz pogląd w tej sprawie, co podkreślałem wielokrotnie, wynika z najgłębszego przekonania, że współczesne NATO tworzy strefę bezpieczeństwa dla wszystkich Europejczyków. Egoizm płynący z tego, że sami już jesteśmy pod solidnym parasolem, byłby niebezpieczny i dla nas samych.

Tempo rozszerzenia NATO w dużej mierze zależy więc także od tego, jak dobrze Polska, a także Czechy i Węgry, zdadzą swój egzamin. Powiem więcej – to my jesteśmy kluczem do rozwoju Sojuszu. Jeżeli okazałoby się w ciągu najbliższych lat, że nie spełniamy niezbędnych standardów, nie wykazujemy jako państwo należytej staranności o wojsko, nie mamy odpowiednich środków finansowych, zaniedbujemy sprawy kadrowe, to – proces rozszerzenia NATO może zostać opóźniony. Jest to nasza szczególna odpowiedzialność. Im szybciej bowiem Europa Środkowa i Wschodnia będzie związana z Paktem, tym bardziej będziemy mogli czuć się bezpieczni. W dłuższej perspektywie oznacza to dla nas mniej zagrożeń i mniej lęku.



## Europejska tożsamość obronna – kiedy i jaka?

Szeroko dyskutuje się od pewnego czasu kwestię utworzenia i umocnienia samodzielnych zdolności obronnych Europy. Kraje europejskie, zwłaszcza te silniejsze, nie chcą bowiem żyć jedynie w cieniu amerykańskiego parasola. Europejczycy oraz amerykańscy politycy często dowodzą, że my Europejczycy powinniśmy być zdolni do samodzielnego rozwiązywania problemów na naszym kontynencie. Nie zawsze bowiem trzeba angażować amerykańskiego sojusznika w nasze problemy. Zresztą udział Amerykanów dodaje operacjom (nawet czysto pokojowym) globalnego charakteru, co nie zawsze jest potrzebne i pożądane.

Dążenie do wzmocnienia europejskiej tożsamości obronnej nie jest w moim przekonaniu sprzeczne z dążeniem do umacniania więzi transatlantyckich. Chodzi o zwiększenie odpowiedzialności europejskich członków Sojuszu za kształtowanie sytuacji w obszarze europejskim i jego bezpośrednim sąsiedztwie. Lekcja Kosowa była pouczająca. Natowska Europa mająca blisko 2 miliony żołnierzy z trudem była gotowa wystawić do działań około 100 tysięcy ludzi. Dlatego dzisiaj wszyscy myślą, jak zwiększyć skuteczność obronną filaru europejskiego i dostosować ją do nowych wymagań. Nie jest to proste, bo wymaga wyraźnego zwiększenia nakładów finansowych na bezpieczeństwo. Jest to jednak konieczne. Europa sama musi rozwiązywać swoje problemy. Europa może temu podołać i ze względu na swój potencjał ludzki, i ma ku temu możliwości ekonomiczne. To nie jest już jak w 1949 roku, głęboko zraniony, zniszczony wojną kontynent potrzebujący amerykańskiej pomocy i protekcji w każdej niemal sprawie.

Wybitny politolog amerykański, Zbigniew Brzeziński, stwierdził niedawno: *Chłodna analiza wskazuje, że Europa jest amerykańskim protektoratem. Po II wojnie światowej Europa nie potrafiła się zjednoczyć i teraz odczuwa tego skutki.*

Myślę, że to nazbyt surowa ocena. Po pierwsze dlatego, że Europa obecnie przyspieszyła swoją integrację. Oczywiście lepiej byłoby, gdyby ten proces rozpoczął się 50 lat temu, ale na skutek jałtańskich podziałów było to niemożliwe. Dzisiaj nadrabiamy te zaległości. Konsekwencją procesów integracyjnych musiały się stać, wcześniej czy później, również kwestie koordynacji polityki zagranicznej i obronnej, a w ślad za nimi przyszło dążenie do wzmocnienia europejskich zdolności obronnych.

Myślę, że jest chyba jeszcze nieco za wcześnie na dyskusję nad miejscem Polski w budowie europejskiej tożsamości obronnej. Nie dlatego, że nie mielibyśmy nic do powiedzenia, ale że na razie nie jesteśmy jeszcze członkami Unii Europejskiej. W podobnej sytuacji jak my, są inni europejscy członkowie NATO, którzy nie należą do Unii, a więc Turcja, Norwegia, Islandia, Czechy i Węgry.

Nie chcę więc komentować dyskusji o finansowaniu, logistyce, rozpoznaniu czy języku dowodzenia w siłach europejskich. Trudno jednak uchylić się od sformułowania choćby generalnych zasad, którymi kierować się powinna polska polityka wobec tego ponadatlantyckiego dialogu natowskiej Europy z natowską Ameryką.

Sądzę, że po pierwsze, powinniśmy mieć świadomość, że NATO nie będzie mogło wypełniać swoich zadań bez wyraźnego przywództwa amerykańskiego. Zadaniem polskiej polityki zagranicznej powinno być więc osłabianie

ewentualnych antagonizmów na linii USA – europejscy partnerzy w NATO. Tylko USA mogą stać się bowiem – ze względów militarnych i politycznych – rzeczywistym gwarantem bezpieczeństwa Polski.

Oczywista jest asymetria wynikająca z odmienności ról, w jakich występują wobec siebie Polska i Stany Zjednoczone. Jeśli dla Polski Stany Zjednoczone pozostają mocarstwem światowym, to dla Stanów Zjednoczonych Polska jest jedynie jednym z krajów Europy Środkowej, a polityka wobec całego tego regionu jest dopiero na 4–5 miejscu na liście priorytetów obecnych kandydatów do prezydentury w amerykańskich wyborach 2000 roku. Wyzwaniem dla polskiej polityki zagranicznej pozostaje zatem kwestia, jak zapewnić strategiczne poparcie Stanów Zjednoczonych, uwzględniając jednocześnie ową naturalną asymetrię w pozycjach obu państw?

Dlatego też, jak sędzę, polska polityka zagraniczna powinna w najbliższym czasie (mierzonym horyzontem co najmniej 2–3 lat) przyjąć postawę bardzo aktywnego partnera w stosunkach z USA. Będzie to konieczne także ze względu na nieuchronne redefiniowanie założeń polityki zagranicznej USA po wyborach prezydenckich 2000 roku, niezależnie od tego, który z kandydatów zwycięży. Sztaby wyborcze obu kandydatów przewidują konieczność zwiększenia nakładów na obronność a zarazem zmianę struktury sił zbrojnych. Ewentualne pasywne reagowanie przez Polskę na te zmiany w polityce zagranicznej i obronnej USA mogłoby stanowić utratę poważnej szansy na uzyskanie przez Polskę korzyści wynikających z nieuchronnych, jak się zdaje, przewartościowań w polityce amerykańskiej.

Partnerstwo, na którym zależeć będzie nie tylko Polsce, ale i Stanom Zjednoczonym możliwe jest do utrzymania

głównie w obrębie politycznych struktur NATO. Myślę, że możliwa także jest realizacja bezpośredniej współpracy politycznej polsko-amerykańskiej również poza NATO. Do możliwych pól współpracy zaliczyłbym np. dalsze konsekwentne wspieranie prozachodniej opcji na Ukrainie.

## Bezpieczeństwo wymaga konsekwencji

Pora wrócić na grunt krajowy. Dzisiaj powinniśmy się zastanowić, jak zabezpieczyć realizację przyjętych wcześniej przez nas planów. Odpowiedź na tak postawione pytanie, musi być konkretna. Chodzi o to, na ile rząd i parlament (większość parlamentarna) będą konsekwentne. Zwłaszcza jeśli chodzi o podnoszenie nakładów na armię, poprawę sytuacji socjalnej wojska oraz przyspieszenie procesu legislacyjnego. Myślę tutaj, rzecz jasna nie tylko o obecnym rządzie i obecnym sejmie. Ale także o tych, które będą pracować w przyszłości.

Problemem, który co jakiś czas powraca w dyskusjach polityków, jest podział kompetencji i odpowiedzialności w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Bardzo ważną rolę do odegrania w kształtowaniu długofalowej, politycznej strategii w dziedzinie obronności ma w moim przekonaniu ośrodek prezydencki. Nie chodzi tu rzecz jasna ani o jedną ani o dwie kadencje konkretnego polityka. Znaczenie urzędu prezydenta wynika z samej natury zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Wobec zmienności konstelacji partyjnych na polskiej scenie politycznej, prezydent gwarantuje swoją osobą stabilność polityki. Ta stabilność i ciągłość jest wartością samą w sobie.

Szczególne emocje wzbudzają granice uprawnień prezydenta, premiera i ministra obrony narodowej. Konstytucja

formułuje to z oczywistych względów w sposób ogólny. Wiele więc zależy od rozwiązań szczegółowych oraz od praktyki. Od tego czy poszczególne urzędy i osoby odpowiedzialne za politykę obronną państwa chcą współpracować ze sobą, na zasadach partnerskich rozwiązywać problemy, czy też traktują obronność jako teren gry politycznej i starają się jak najwięcej uprawnień zagarnąć dla siebie? Zawsze byłem zwolennikiem tej pierwszej drogi postępowania.

Zgodnie z konstytucją prezydent sprawuje zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi za pośrednictwem ministra obrony narodowej. Minister reprezentuje układ rządowy, czerpiący swą legitymizację z układu sił w parlamencie. Siły Zbrojne muszą jednak pozostać ponad bieżącą polityką. I to właściwie powinien gwarantować prezydent. Znaczący naukowiec konstytucyjny profesor Piotr Winczorek wyłożył kiedyś na łamach „Rzeczpospolitej” liczne argumenty na rzecz „nieomijalności” prezydenta w kierowaniu obronnością, co wynika z samej istoty zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Te argumenty godne są rozważenia niezależnie od tego, kto jest prezydentem, a kto ministrem obrony.

Wracam do pytania podstawowego, postawionego na początku: czy dzisiaj jesteśmy bezpieczni?

Jan Nowak – Jeziorański napisał w „Polsce Zbrojnej”: *Fałszywy syndrom Linii Maginota rozbroił psychicznie Francuzów, a dziś zmienia się w Polsce w mit NATO (...)* W XVIII wieku szlachta odmówiła ponoszenia ciężaru obrony Rzeczypospolitej, uczyniła ją bezbronną wobec uzbrojonych po zęby sąsiadów.

Zdaniem autora, Polska wydaje dzisiaj za mało na obronność, uspokajając się obecnością w największym sojuszu militarnym. Istotnie, jesteśmy świadkami paradoksu, że redukcji armii nie towarzyszy odpowiednia poprawa mate-

rialnych warunków służby. Na przestrzeni ostatnich lat można zaobserwować wręcz pauperyzację tego środowiska. Wzrost uposażeń kadry ledwo nadąża za wzrostem inflacji, a i to nie zawsze. Znacząca część rodzin oficerskich i podoficerskich żyje na granicy ubóstwa. To nie tylko zawstydzający, ale też niebezpieczny dla naszego bezpieczeństwa stan.

Obniżają się też kwalifikacje ludzi trafiających do służby zasadniczej. Coraz częściej jest to młodzież z niepełnym wykształceniem podstawowym oraz pochodząca ze środowisk patologicznych. Oczywiście, jest to rezultat wielu zaniedbań w sferze oświatowo-wychowawczej, ale także nieatrakcyjności służby wojskowej i niedoskonałości przepisów związanych z poborem. Utrzymanie się tych tendencji – mówiłem w obecności najwyższych przedstawicieli rządu i parlamentu na dorocznej Konferencji Kadry Kierowniczej MON i Sił Zbrojnych RP w listopadzie 1999 roku – byłoby błędem, więcej, byłoby sprzeniewierzeniem się wielkiej tradycji Wojska Polskiego, która budowana była przez 1000-lecie.

Nie może być tak, że z jednej strony zwiększamy żołnierzom zadania, a z drugiej nie poprawiamy warunków służby. Jest w moim przekonaniu rzeczą niedopuszczalną, by brak kwater uniemożliwiał realizację zasady kadencyjności na stanowiskach dowódczych. Poprawy wymaga również system opieki zdrowotnej kadry. Konieczna jest stabilizacja przepisów emerytalnych dla wojska. Należy umocnić status wyższych szkół oficerskich, tak aby wyłaniały one rzeczywiście najzdolniejszą młodzież i zachęcały do wiązania swojej przyszłości z wojskiem. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak dodać, że przydałaby się również większa dyscyplina gospodarowania środkami, którymi dysponuje nasza armia.

Często powtarzam: na bezpieczeństwie nie należy oszczędzać. Zdaję jednak sobie sprawę, że rząd i parlament stoją przed trudnym wyborem. Każdego roku pojawiają się ogromne naciski różnych środowisk, aby znaleźć się na liście priorytetów. Jednak w sprawie wojska Polska przyjęła na siebie konkretne zobowiązania. Trzeba być konsekwentnym. Jeśli chcemy być wiarygodni wobec sojuszników z NATO i innych państw regionu, nasze Siły Zbrojne muszą być coraz sprawniejsze i coraz lepiej wyposażone.

Mówiłem niejedną raz – problem finansowania wojska można poprawić poprzez zapewnienie określonych w długoterminowym planie środków finansowych i uelastycznienie przepisów. Parlament co roku planuje i rozlicza środki budżetowe. Przy finansowaniu dużych projektów wojskowych powinna być możliwość przenoszenia środków na rok następny, bowiem żaden z takich projektów nie może być zrealizowany w ciągu 12 miesięcy. Taka zmiana przepisów mogłaby się przyczynić do większej racjonalności i optymalizacji wydatków. Program rozwoju i modernizacji naszych sił zbrojnych musi wykraczać poza coroczne budżetowe planowanie, poza kadencje kolejnych parlamentarnych koalicji.

Wojsko musi mieć czytelną i stabilną perspektywę finansową. Oficerowie i żołnierze powinni wiedzieć, w jakich warunkach będzie przebiegała ich służba. Politycy muszą im uczciwie powiedzieć, na jaką armię Polskę dzisiaj stać i ile możemy na nią przeznaczyć pieniędzy. Nie wolno tu prowadzić nieodpowiedzialnej licytacji, kto więcej zaoferuje. Odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa należy do wszystkich uczestników sceny politycznej. Dlatego należy trzymać się faktów, mówić prawdę. Tak żołnierzom, jak i podatnikom. Jesteśmy im to winni.

Zgadzam się, że nie powinno być miejsca na błogi sen w głowach polskich polityków. Jestem pewien, że zdecydowana większość z nich realnie ocenia sytuację. Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele innych głosów sygnalizujących niedostatki i nawołujących Polaków do większego wysiłku na rzecz bezpieczeństwa swego kraju. Każdy z tych głosów traktuję z najwyższą powagą.

Czy czujemy się bezpieczni? Dzisiaj tak. Potwierdzają to badania opinii publicznej. Jednak daleko nam do życia bez lęków. Jak każde pokolenie staramy się podnosić poziom bezpieczeństwa swojego państwa, wiedząc jednak, że jest to niekończący się proces i niekończące się zobowiązanie.

W tym procesie ważne jest nieustanne przypominanie nauk płynących z naszej historii. Twórcy Konstytucji 3 maja zapisali w rozdziale Siła Zbrojna Narodowa: *Naród winien wojsku swemu nadgrode i poważanie za to, iż się poświęca jedynie dla jego obrony. Wojsko winno narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnej, słowem winno być jego najsilniejszą tarczą.* Czy te słowa nie są ciągle aktualne mimo upływu ponad dwustu lat?



# Polska w Europie

Jeden z moich przyjaciół zadał mi kiedyś pytanie, co napisałbym o dzisiejszej Polsce i Polakach w liście do Europejczyka? Pomyślałem, że w tym właśnie pytaniu mieści się dwoistość naszego myślenia o Europie. Z jednej strony, mimo wielu dziesiątków lat formalnego odgrodzenia, mamy głębokie poczucie wielowiekowej przynależności do cywilizacji zachodnioeuropejskiej, z drugiej nosimy świadomość zapóźnień, co powoduje jakieś swoiste poczucie wyobcowania, oddzielenia.

W Polsce, w bliższej i dalszej przeszłości, różnie traktowaliśmy Europę. Bywało, że tracono dla niej głowę, uwielbiano aż do zaślepienia. Bywało, że traktowano z bojaźnią i podejrzliwością. Była też Europa zakazywana jako ta, która niosąc racjonalizm i nowoczesność uosabiała treści sprzeczne z ideologicznymi dogmatami o „zgniłym Zachodzie” lub – w innym czasie – zagrażała wielbicielom polskiego zaścianka. Były też chwile w naszej historii, kiedy Europę traktowaliśmy normalnie. Kiedy czując się z nią blisko związani, wnosiliśmy do niej własny, niemały dorobek, a jednocześnie czerpaliśmy z niej wszystko, co było najlepsze w jej nauce, sztuce, prawie, czy instytucjach demokratycznych.

I to chyba właśnie ta dwoistość relacji Polski z resztą Europy, ściślej – z Europą Zachodnią sprawia, że z niechęcią

reagujemy na każdą, nawet najniewinniejszą próbę zakwestionowania naszej europejskości. Z irytacją przyjmowaliśmy na początku lat 90. wypowiedzi o „drodze” czy „powrocie” Polski do Europy. Powszechnie odczuwaliśmy to jako przejaw protekcyjnalizmu.

## Czym jest dzisiaj Europa?

Ponad 10 milionów kilometrów kwadratowych. Terytorium rozciągające się z północy na południe na dystansie 5000 km i 4000 km ze wschodu na zachód. To Europa w ujęciu geograficznym. Ale dzisiaj na Europę nie patrzy się z punktu widzenia kartografa. Europa to nasze dziedzictwo i współczesność. Wspólne dobro. Bliskość narodów wyrosła z burzliwych dziejów, czasami krwawych, czasami wypełnionych wspaniałymi dokonaniem. Wspólnota tradycji, kultury, nauki. Europa jest jak znak tożsamości. Jedyne w swoim rodzaju. Demokracja, prawa człowieka, idee wolności, równości, braterstwa, solidarności i humanitaryzmu tu, na naszym kontynencie mają swoją ojczyznę. Także tolerancja, zmysł krytyczny, swoboda wyrażania opinii i społeczeństwo obywatelskie. Europejskość to nieskrępowana przedsiębiorczość, ale i wrażliwość społeczna, solidarność wobec słabszych i potrzebujących pomocy.

Europa rosła i kurczyła się. Kiedyś była „pępkiem świata”. W ubiegłym stuleciu, po wiekach niezwyklej historii osiągnęła apogeum wpływów. Świat był europocentryczny. Dwie wojny w XX wieku zepchnęły jednak Europę z pozycji światowego lidera. Stała się ważnym, ale tylko jednym z kilku centrów świata. W dwubiegunowym świecie żaden z krajów europejskich, tak osłabionych katastrofą wojny

światowej, nie był w stanie samodzielnie włączyć się do globalnej polityki. Tylko współpraca stwarzała taką możliwość.

Europa wielokrotnie śniła sen o swojej jedności. Po wstrząsie, jakim była tragedia ostatniej wojny, przyszedł czas na realizację dawnego marzenia. Refleksja nad tym jak zapobiec odradzaniu się konfliktów i nacjonalizmów, jak zbudować trwałą pokój i dobrobyt, jak uchronić kontynent przed hegemonią i przed totalitaryzmem, jak przygotować Europę do sprostania wyzwaniom przyszłości, zapewnić jej należne miejsce we współpracy międzynarodowej legła u źródeł powojennej integracji.

W 1946 roku Winston Churchill mówił na Uniwersytecie w Zurichu, że gdyby Europa kiedyś się zjednoczyła byłoby to *bezgraniczne szczęście, dobrobyt, chwala, którymi cieszyłoby się trzysta lub czterysta milionów ludzi... W ramach tej koncepcji, i zgodnie z nią, musimy odtworzyć rodzinę europejską jako regionalną strukturę*. I dodał, że *jeśli na początku wszystkie państwa Europy nie będą chciały lub nie będą mogły przyłączyć się do Unii, musimy mimo wszystko postępować, by zebrać i połączyć tych, którzy chcą i którzy mogą...*

Te myśli były bliskie wielu elitom, nie tylko politycznym. Ojcowie założyciele integracji europejskiej reprezentowali różne narody, wywodzili się z różnych opcji politycznych – byli wśród nich socjaldemokraci i chrześcijańscy demokraci, byli Francuzi, Belgowie, Włosi i Niemcy. Łączyło ich jedno – chcieli stworzyć podwaliny unii wolnych obywateli demokratycznych państw naszego kontynentu.

## Jak narodziła się polska droga do integracji europejskiej?

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że gdyby nie było „żelaznej kurtyny”, Polska współtworzyłaby po wojnie integrację. Pogląd o konieczności zjednoczenia Europy, oczywiście z polskim udziałem, był ideą bliską również polskim politykom. W samym środku zmagania wojennych, w grudniu 1942 roku Władysław Sikorski mówił do polskich związkowców w Detroit (USA), że *podstawą demokracji międzynarodowej będzie przyjęcie i zrealizowanie zasady federacji państw w stosunkach europejskich*. Jałtański porządek sprawił jednak, że powojenne pokolenia Polaków wyrastały w Europie rozdartej, podzielonej. Ale nawet w warunkach starego systemu, tu w Polsce, nie byliśmy tak jak inni izolowani od reszty naszego kontynentu.

Odwołam się do osobistych wspomnień. Może nie wszyscy dziś pamiętają, z jaką zazdrością w latach siedemdziesiątych młodzi ludzie z innych krajów socjalistycznych przyjmowali naszą ówczesną swobodę podróżowania. Wielu młodych podróżników z polskim paszportem można było wtedy spotkać w najważniejszych stolicach europejskich. Ciągnął nas magnetyzm Europy. Poznawaliśmy inny dla nas świat, zwiedzając, podziwiając standard życia i szukając chwilowego zatrudnienia, aby podreperować portfele. Spotykaliśmy się z życzliwością goszczących nas społeczeństw. I tak, na co dzień, w tych spotkaniach odkrywaliśmy na nowo naszą europejską tożsamość.

Myślę, że to między innymi dlatego dzisiaj nasze najważniejsze cele są jasne: szybki rozwój gospodarczy, integracja z Unią Europejską, umocnienie naszego bezpieczeństwa, zacieśnianie przyjaznych stosunków z sąsiadami.

Postawiliśmy tak zdecydowanie na europejski wybór, bowiem na pierwszym planie było przekonanie, że narody, które z jakichkolwiek powodów znajdą się poza europejską współpracą, będą szybko traciły dystans cywilizacyjny i ograniczały swój rozwój. W konsekwencji będzie malało ich znaczenie. I dlatego pomyślność, rozwój i bezpieczeństwo Polski zależą od tego, jak mocno tkwimy w Europie, jak silnym jesteśmy jej ogniwem.

Ta prawda znana jest również z naszej historii. Ale nie dość okazji, by ją przypominać. Przyjęcie przez nas scenariusza europejskiego i euroatlantyckiego było rozwiązaniem najbardziej racjonalnym i naturalnym. Nie pozostawiało wątpliwości, że Polska chce urządzić swój wewnętrzny ład według zachodnich standardów.

Przypomnijmy najważniejsze fakty z naszej drogi. Od początku przemian podstawowym celem polskiej polityki była integracja z Unią. Wyobrażam sobie, z jakim niedowierzaniem patrzono wtedy, w zasobnej Europie, na tych naiwnych Polaków! We wrześniu 1989 roku Polska i Wspólnoty Europejskie podpisały umowę w sprawie handlu i współpracy gospodarczej. Była ona przygotowywana przez wiele miesięcy, a więc jeszcze przed powstaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego. Co charakterystyczne, polscy negocjatorzy zaczęli wiosną 1989 roku rokowania od próby wprowadzenia do porozumienia politycznej deklaracji o wspólnym europejskim dziedzictwie. Spotkało się to z ogromnym zdumieniem przedstawicieli Brukseli. Integracja tak bardzo kojarzyła się wówczas jedynie z zachodnią częścią kontynentu, że ani podejmowane w efekcie radzieckiej pierestrojki nasze próby poszerzenia spektrum kontaktów, ani rozmowy „okrągłego stołu”, ani nawet utworzenie jesienią 1989 roku nowego rządu w Warszawie nie stały się powodem do prze-

myślenia na Zachodzie tradycyjnego, ukształtowanego od 1957 roku wyobrażenia europejskiej jedności.

Sytuacja zaczęła się powoli zmieniać dopiero wtedy, gdy dokonano się zjednoczenie Niemiec. Układ stowarzyszeniowy między Polską i Wspólnotami został podpisany 16 grudnia 1991 roku. Była to dla nas logiczna konsekwencja przemian. Ale choć proces integracji objął już wtedy obszar byłej NRD, Bruksela – również wtedy – nie chciała uznania za wspólny cel naszego przyszłego członkostwa.

Niemniej jednak naszą bardzo wczesną orientację na integrację trzeba uznać za ważne źródło sukcesu naszej transformacji gospodarczej. Jak daleko wtedy byliśmy od europejskich standardów! Szybko podpisany układ stowarzyszeniowy narzucił nam obowiązek europeizowania się. Czyli po prostu szybką modernizację państwa, prawa i gospodarki. Chodziło o dostosowanie do obowiązujących w Europie Zachodniej standardów. Owo dostosowanie miało i swoje trudne strony. Wprawdzie najpierw otworzono rynki na polskie towary, ale potem my musieliśmy zliberalizować swój rynek na towary z UE. Wielu producentów boleśnie to odczuło, odczuwa i będzie odczuwać. Dla innych oznacza to szerokie otwarcie najatrakcyjniejszego rynku świata. Jednakże istotą postępu jest umiejętność ciągłego uczenia się i jednocześnie porównywanie się z innymi, najlepiej z lepszymi od siebie.

W czerwcu 1993 roku państwa członkowskie Unii przyjęły na posiedzeniu w Kopenhadze postanowienie – deklarację o uznaniu poszerzenia, jako celu tej organizacji. Ustalono ogólne kryteria członkostwa. Droga została otwarta. W 1994 roku Polska oficjalnie wystąpiła o członkostwo w Unii. Jednym z najbardziej zasłużonych i kompetentnych urzędników pierwszych lat kontaktów Polski z Brukselą, człowiekiem, który

racjonalizował nasze myślenie o Unii i pilnował realizacji układu stowarzyszeniowego w kilku kolejnych rządach, był Jacek Saryusz-Wolski.

Wspomnieć należy w tym miejscu o wygranej w 1996 roku bitwie o OECD. OECD to organizacja będąca faktycznie klubem bogatych tego świata. Do rozmów o przystąpienie do niej zostały zaproszone cztery państwa: Polska, Czechy, Węgry i Słowacja, która po drodze „odpadła z peletonu”.

Właśnie przykład Słowacji pokazuje, jak ważny był nasz akces do OECD. Myślę, że gdyby wtedy nam się nie udało zewrzeć szeregów, dokonać niezbędnych zmian legislacyjnych, startowalibyśmy do Unii Europejskiej z o wiele gorszej pozycji. Negocjacje z OECD nazwałbym uwerturą do obecnych negocjacji z Unią Europejską. Nie można nie wymienić dwóch nazwisk: Danuty Hübner, która prowadziła negocjacje z OECD i Jerzego Hausnera, który koordynował procesy dostosowawcze. Zresztą cały ówczesny rząd wykazał się konsekwencją, kompetencjami i sprawnością.

Polska droga do Unii ma zatem już swoją historię, pisaną w toku dyplomatycznych zabiegów i negocjacji, ale najważniejsze ciągle jest przed nami. Zarówno jeśli chodzi o dokończenie odpowiednich reform w kraju, jak i przygotowanie się samej Unii Europejskiej do nowej sytuacji.

## Dlaczego idziemy do Unii?

Zmierzamy do Unii sukcesu, bo tak bez wątplenia należy określić dotychczasowy dorobek tej wspólnoty. Czyż gdzie indziej na świecie udało się zrealizować tak wiele w tak wielu państwach, jak w unijnej Europie? Czy zdołano stworzyć takie formy współpracy między narodami w różnych

dziedzinach? Gdzie indziej, poza krajami „piętnastki”, udało się tak harmonijnie połączyć intensywny rozwój gospodarczy z dbałością o demokrację, o prawa człowieka, o warunki do godnego życia?

Pozytywne efekty integracji są łatwo sprawdzalne. Stykają się z nimi miliony Polaków wyjeżdżających za granicę. Unia przynosi korzyści milionom Europejczyków. Przynależność do niej pomogła efektywnie wykorzystać w gospodarce każdego państwa te czynniki, które służą rozwojowi. Efektywnie, a więc w taki sposób, by osiągnąć wysokie wskaźniki i jednocześnie podnosić jakość życia obywateli, budować przyjazne państwo, nie dewastować środowiska naturalnego. Nie ma żadnych przeszkód, by tak stało się również w Polsce

Dzisiaj nie ulega dla nikogo wątpliwości, że unijna „piętnastka” odgrywa niepoślednią rolę w świecie, stabilizując sytuację polityczną i gospodarczą tak w wymiarze globalnym, jak i regionalnym. Zintegrowana część Europy, kontynentu gdzie jeszcze nie tak dawno rozpalały się światowe konflikty pochłaniające miliony ofiar, stała się unikalnym w skali świata obszarem przyjaznej współpracy.

Wojna w Kosowie, negocjacje handlowe w Seattle pokazały po raz kolejny, że istnieje coś takiego, jak interes europejski. Jego definiowanie pochłania bardzo wiele czasu. Może zbyt wiele. Dlatego też warto co jakiś czas wybiec myślą kilka lat w przyszłość. Jestem przekonany, że już niedługo obywatele państw członkowskich będą mieć większe poczucie wpływu na bieg spraw europejskich. Dostrzegam już dzisiaj wiele kroków w tym kierunku. Są nimi nowe reguły powoływania i odwoływania komisarzy, wzmocnienie i uporządkowanie obszaru wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Pojawiają się również koncepcje, aby



wybór Komisji Europejskiej podlegał zasadom normalnej politycznej rywalizacji pomiędzy ugrupowaniami, tak jak to odbywa się w każdym kraju.

Do niedawna narzekaliśmy na niedostatek wizji europejskich. Tymczasem dzisiaj niektórzy żalą się, że jest ich za wiele. Niedawno szczerść ministra spraw zagranicznych Niemiec, Joschki Fischera, podziałała mobilizująco na polityków w całej Europie. My także musimy się na nią zdobyć. Musimy wiedzieć nie tyle, ilu deputowanych ma liczyć Parlament Europejski, a ilu komisarzy będzie zasiadać w Komisji Europejskiej, choć i to jest istotne. Potrzeba przede wszystkim zgody co do celów integracji w najbliższych latach. Potrzeba świadomości dokąd zmierzamy.

W czterdziestoletniej historii Wspólnoty Europejskie czterokrotnie zwiększały swoją liczebność. Teraz aspiracje do członkostwa zgłosiło kilkanaście następnych państw. To efekt historycznego przyspieszenia, a jednocześnie miara sukcesu modelu europejskiej integracji. Atrakcyjność Unii znajduje także swoiste potwierdzenie *à rebours*. Mimo krytyki niektórych unijnych rozwiązań i niefortunnych incydentów nie ma żadnych oznak, żeby ktoś zamierzał Unię opuścić. Rachunek zysków i strat jest więc bezdyskusyjny.

Osobiście imponuje mi jeszcze jedna cecha, jaką wykształciła w sobie Wspólnota Europejska. Jest nią zdolność do korekty, możliwość ostrożnej zmiany podejścia do problemów. Można to nazwać mądrym, nie odrzucającym zmian konserwatyżmem. W splocie skomplikowanych interesów narodowych cierpliwie wypracowywane są rozsądne kompromisy. To właśnie jedna z najbardziej imponujących cech Unii i – w mojej opinii – główna siła sprawcza jej sukcesu.

Niektórzy twierdzą, że wysokie standardy cywilizacyjne krajów Unii są dla nas, Polaków, nie do osiągnięcia, że

nadmierne regulacje są zbyt krępujące. Jednocześnie jednak trzeba mieć świadomość, że wchodząc do Unii, wchodzimy do grupy państw, w której ludziom żyje się lepiej, a naszym głównym celem jest przecież przede wszystkim polepszenie warunków życia wszystkich obywateli.

Oczywiście, są na naszym kontynencie kraje, które nie należą i nie aspirują (na razie?) do Unii. Polska jest jednak w innej sytuacji. Nasze położenie geograficzne, doświadczenia historyczne i polityczne, wielowiekowe związki kulturowe i cywilizacyjne tworzą silny spłot powiązań z Europą. Trudno z tej perspektywy poważnie brać pod uwagę możliwość okrojenia skali naszego projektu europejskiego tylko do udziału w NATO. Byłoby to niekorzystne dla przyszłości kraju – tak dla możliwości jego rozwoju, jak i bezpieczeństwa. Miałoby to też negatywne skutki społeczne. Byłoby przekreśleniem nadziei i dążeń wielu pokoleń Polaków walczących o godne miejsce wśród demokratycznych narodów Europy.

O potrzebie dołączenia Polski do unijnej „piętnastki” można mówić na różne sposoby i odwoływać się do ogromnej liczby argumentów.

Polityk powie, że musimy być w Unii, jeśli poszukujemy realistycznych i skutecznych środków ugruntowania politycznej pozycji naszego kraju, jeśli opowiadamy się za demokracją i respektowaniem praw człowieka, za społeczeństwem solidarnym. Ekspert gospodarczy podkreśli, że musimy być w Unii, jeśli chcemy by Polska przyspieszyła rozwój gospodarczy i technologiczny, bez którego żaden z istotnych polskich problemów nie może być rozwiązany. Działacz społeczny zwróci uwagę, że musimy być w Unii, jeśli chcemy udoskonalić nasze życie jako zbiorowości, jeśli chcemy, by zostały mu nadane standardy najbardziej rozwiniętych

krajów świata. Jeśli chcemy, by Polska należała do Europy państw rozwijających wspólnotę współpracy i tolerancji – osiągniemy to w Unii. Tylko tak będziemy mogli chronić naszą narodową tożsamość, nadając jej nowoczesną treść.

Unia Europejska wyrosła z różnych źródeł. Była wśród nich inspiracja chrześcijańska i socjalistyczna. Były wartości, tradycje i kultury różnych narodów. Był sprzeciw wobec agresywnego nacjonalizmu czy rasizmu. Było poszanowanie i ochrona różnorodności jako wartości niezbywalnej dla europejskiej tożsamości. Był wreszcie pluralizm kulturowy, który nie zagraża wartościom narodowym, lecz je wzbogaca i rozwija.

Przynależność Polski do wspólnoty powinna zwiększyć nasz potencjał, dlatego leży w narodowym, polskim interesie, będzie dla nas korzystna. Politycznie – bo nasze przystąpienie pozwoli na zacieśnienie związków z tymi krajami europejskimi, które należą do czołówki światowej. Będziemy też partnersko współpracować z najlepszymi instytucjami zwiększającymi bezpieczeństwo obywateli i państwa. Gospodarczo – bo znajdziemy się w obrębie jednego z najbardziej rozwiniętych rynków świata, charakteryzującego się swobodą przepływu ludzi, kapitału, towarów i usług. Możemy się zatem spodziewać szybkiego napływu inwestycji i nowych technologii oraz otwarcia dla nas rynku pracy w Europie Zachodniej.

I jest jeszcze jedna sprawa warta przypomnienia. Już teraz proces dostosowania zmienia polskie społeczeństwo, gospodarkę i państwo. Pisałem o tym wcześniej. Myślę, że żadne społeczeństwo bez szerokiego consensusu elit politycznych nie mogłoby wytrzymać tak skoncentrowanych w czasie reform. Bez tej jedności elit konflikty społeczne rozniosłyby kraj w drobny mak. U nas taką kłamrą

spinającą wszystkie reformy była powszechna zgoda, że celem strategicznym jest integracja z Unią Europejską. Myślę, że gdyby tej klamry zabrakło, zabrakłoby też woli politycznej dla wprowadzania reform. Zapewne wtedy gdzieś by się one wszystkie rozpełzły.

Wszystko, co Europa osiągnęła, jest oparte na wzajemnym zaufaniu i łączącej narody solidarności. Dlatego uważamy, że w kręgu oddziaływania tych zasad muszą znaleźć się także kolejne kraje europejskie dziś kandydujące do Unii. Poczucie wspólnoty i solidarność albo jest, albo ich nie ma. Stany pośrednie muszą z natury rzeczy być kalekie.

Wysiłki muszą być podejmowane z obu stron. Kandydaci powinni dostosować się do reguł gry obowiązujących w piętnastce. Ale i piętnastka powinna pamiętać, że im silniejsze będą przyjmowane kraje, tym większy będzie zysk Unii jako całości. Wprawdzie do rokowań akcesyjnych strony zasiadają po dwóch stronach stołu, to jednak przyświeca im wspólny cel: zawrzeć najlepszy układ dla przyszłej Europy. Pamiętam, przed pięcioma laty kandydując na urząd Prezydenta RP chętnie cytowałem ówczesnego szefa Komisji Europejskiej Jacquesa Santera, który mówił: *Niezależnie od wniosków, do jakich dojdziemy w kwestii kosztów rozszerzenia Unii o kraje środkowej Europy, nie powinniśmy nigdy zapominać o korzyściach, które przysporzy nam rozwój tych państw i ich integracja z Unią Europejską.*

Przypominałem też później tę opinię różnym moim rozmówcom, bo jakkolwiek jest ona oczywista, ale zdarza się, że zapomina się o niej.

## Co Polska wnosi do wspólnej Europy?

Prawie czterdzieści milionów ludzi. Stosunkowo duża, unowocześniająca się gospodarka i stale wzrastający rynek. Położenie na zbiegu europejskich dróg ze wschodu na zachód i z północy na południe. Dobre wykształcenie, energia i przedsiębiorczość mieszkańców dążących do szybkiej poprawy warunków życia. Obok historycznie ukształtowanych związków z krajami europejskimi wymieniają się te polskie atuty.

Ale jest tym atutem także sposób, w jaki odrodziła się w 1989 roku w pełni suwerenna Polska. Polska, której polityczne i gospodarcze konwulsje w latach osiemdziesiątych tak niepokoiły europejskich i światowych polityków. Rozstając się w efekcie mądrego kompromisu i rozsądnego porozumienia z poprzednim systemem i podążając drogą realizmu, rozwagi i umiaru udowodniła, że nigdy do Europy nie przestała należeć. Otworzyła drogę do rozszerzenia struktur europejskich nie tylko sobie.

Za nami najostrzejsze społeczne dolegliwości procesu transformacji. Choć duże grupy społeczne nie mają powodów do satysfakcji, można mówić o sukcesie. Dotyczy to nie tylko gospodarki, ale i przemian w świadomości i mentalności obywateli.

Polska nie przychodzi więc do Unii z pustymi rękami. Polski rynek jest coraz bardziej dostępny dla towarów wyprodukowanych w krajach wspólnoty, coraz szerzej wykorzystywane są możliwości inwestycyjne. Unia jest już dzisiaj najważniejszym partnerem handlowym Polski. Na kraje piętnastki przypada blisko 70 procent naszej wymiany handlowej z zagranicą. Importujemy z Unii więcej dóbr i usług niż eksportujemy na jej rynek. A zatem – utrzymujemy

miejsca pracy w „piętnastce”. Jak się szacuje, jest ich około 300–400 tysięcy.

Unia przyjmując Polskę, a także inne kraje kandydujące, przybliży się do realizacji idei zjednoczonej Europy, która byłaby w stanie sprostać konkurencji światowej. Rozszerzenie oznacza zwiększenie potencjału Unii. Europa musi się liczyć z tym, co dzieje się na innych kontynentach. Europa musi być zdolna do przeciwstawienia się globalnym zagrożeniom, mieć możliwości stabilizującego oddziaływania na konflikty. W Polsce też musimy myśleć o globalnej perspektywie. Stosownie do skali, potencjału i możliwości naszego kraju. Bez megalomanii, ale w poczuciu odpowiedzialności, że także i my dokładamy do tego swoją cegiełkę.

Trudnemu procesowi jednoczenia nie pomaga coś, co czasem spotykamy po stronie zachodniej, a co nazwałem kiedyś w jednym ze swoich wystąpień postawą „sędziego technicznego”. Jest to skłonność do absolutyzowania standardów. Jest oczywiste, że członkostwo w Unii Europejskiej wymaga spełnienia bardzo wielu kryteriów. Jest oczywiste, że trzeba bacznie monitorować proces przejmowania prawa wspólnotowego, jasno wskazywać opóźnienia i zaniedbania. Negocjacje są trudną sztuką kompromisu, w której bardzo realistycznie należy ważyć racje. Nie da się jednak odmierzyć w milimetrach tego, co jest wielkim dzianiem się, kreacją. Jednoczenie Europy jest wielką przygodą naszej cywilizacji, historycznym wyzwaniem. Uczestnicząc w nim, musimy być realistyczni i skrupulatni, jednak powinna temu towarzyszyć wola zmian i rozmach wizji.

W państwach Unii nie brakuje eurosceptyków. Są w ich uprzedzeniach reminiscencje z przeszłości, czasami poczucie wyższości. Ale jest też dążenie do ochrony interesów, gdyż polskie aspiracje do Unii postrzegają jako zagrożenie.

Sądzą, że przyniesie to wyższe ciężary finansowe, konieczność zwiększenia pomocy, a przede wszystkim skomplikuje sytuację wewnątrz instytucji Unii. Oceniani jesteśmy przez nich jako potencjalni konkurenci w gospodarce i na rynku pracy. Musimy pamiętać o tych nastrojach w Unii. Nie wolno ich lekceważyć. Często są one w rzeczywistości chwilowym tematem zastępczym, odbiciem jakichś problemów we własnym kraju, ale bywa, że trwają dłużej i – co najgorsze – znajdują oparcie polityczne wśród skrajnych partii i polityków.

Byłoby źle – powtarzam to często moim rozmówcom z Europy Zachodniej – gdyby z pobudek politycznych przeceniano koszty rozszerzenia, zapominając o płynących z niego korzyściach także dla krajów wspólnoty. W listopadzie 1998 roku w Parlamencie Europejskim w Strasburgu mówiłem, że byłoby niedobrym sygnałem, gdybyśmy dziś pod hasłem realizmu zaczęli rozważać możliwość spowolnienia procesu poszerzenia Unii Europejskiej. Jakże aktualnie to brzmi dzisiaj. Odwołałem się wtedy do naszych doświadczeń, które wskazują, że sukces w reformowaniu gospodarki osiągnęły tylko te kraje, w których wysoko ustawiono poprzeczkę. To w moim przekonaniu dowód, że chcąc osiągnąć to, co realne – trzeba stawiać sobie ambitne cele.

Unia nie jest tylko organizacją gospodarczą, polityczną czy militarną. Jest przede wszystkim wspólnotą europejskich wartości. Dlatego znaczące opóźnienia w procesie jednoczenia Europy oznaczać by mogły zakwestionowanie filozofii unijnych „ojców założycieli” i dziejowej misji projektu europejskiego. Byłoby to niebezpieczne nie tylko dla nas i innych krajów kandydujących, ale uderzyłoby również w interesy samej Europy. Podważyłoby fundamenty jej stabilności, konserwując u jej granic niedostatek i biedę. Taka sytuacja to kłopoty dla wszystkich.

Nie jest dla nas do przyjęcia członkostwo „drugiej kategorii”. Propozycje, aby nawet po rozszerzeniu zachować kontrole graniczne, radykalnie ograniczyć mobilność siły roboczej, wyłączyć polskie rolnictwo z pomocy unijnej – zmirzają w istocie do takiego rozwiązania i dlatego budzą nasz niepokój. W moim przekonaniu pomysły te wynikają z przesądów a nie z rzetelnej analizy.

*Co musimy zrobić, aby nasze wejście do Unii odbyło się jak najszybciej i jak najkorzystniej?*

Formalnie od marca, a de facto od jesieni 1998 roku Polska – razem z pięcioma innymi kandydatami – prowadzi negocjacje członkowskie. Są to bodaj najtrudniejsze i najbardziej złożone rokowania, jakie kiedykolwiek odbyły się w historii europejskich wspólnot. Z każdym rozszerzeniem ich przybywało bowiem wspólnego dorobku, a więc podnosiła się także poprzeczka dla kandydatów. Polska wstępuje do UE w sytuacji, gdy objętość unijnego prawodawstwa mierzy się dziesiątkami tysięcy stron, a mechanizmy działania zostały na wskroś przetestowane.

W toczących się rokowaniach, Polska przeszła niewiele ponad jedną trzecią drogi. Przed nami najtrudniejsze sprawy do załatwienia i uregulowania – rolnictwo, ochrona środowiska, polityka regionalna, wymiar sprawiedliwości i sprawy wewnętrzne, swobodny przepływ osób i kapitału. Posiadamy zespół dobrych negocjatorów, kierowany przez Jana Kułakowskiego. Nawet zalety negocjatorów nie zmienią jednak faktu, że rokowania członkowskie to ciężka, organiczna praca. Jest takie wąskie pole, gdzie polskie interesy i unijne warunki są sobie najbliższe. W negocjacjach chodzi o to, aby takie pole odnaleźć. Twardość sama



w sobie nie jest dobrym przewodnikiem. Może obrócić się przeciwko nam. Dlatego zamiast o twardych negocjacjach, wolę mówić o negocjacjach skutecznych – takich, które zapewnią nam optymalne rezultaty w najkrótszym możliwym czasie.

Polska walczy o wiele – o pełny udział w unijnej Wspólnej Polityce Rolnej, o okresy przejściowe w dostosowaniach do standardów ochrony środowiska, o jak najszerzy dostęp do funduszy strukturalnych. Rozstrzygnięcia tych kwestii nie zapadną jedynie przy stole negocjacyjnym. Zostaną wypracowane na najwyższym szczeblu politycznym. Będą w nie zaangażowane głowy państw i szefowie rządów „piętnastki” i krajów kandydujących. Trzeba się z tym liczyć i mobilizować struktury państwa tak, aby nasza gotowość do członkostwa była w negocjacjach argumentem nie do zbiccia.

To nieprawda, że Unia Europejska nas nie chce. Rzecz najważniejsza już się stała. Rozszerzenie UE jest politycznie zdecydowane. Dzisiaj mówimy tylko o realizacji rozszerzenia. Natrafiamy na obiektywne, prawdziwe trudności: kandydaci muszą wykonać swoją pracę domową. My w Polsce mamy 180 ustaw do przyjęcia w ciągu 30 miesięcy.

Negocjacje powinny się zakończyć w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy. Potem nastąpi bardzo ważny okres ratyfikacji traktatu akcesyjnego przez Polskę i kraje członkowskie Unii oraz przez Parlament Europejski. Odbędzie się ogólnonarodowe referendum. Data 2003 roku jako możliwy termin naszej akcesji nadal jest realistyczna. My, w każdym razie, powinniśmy zrobić swoje. Dlatego trzeba zwiększyć wysiłek. Dla sportowca zawsze najtrudniejsze są ostatnie metry, ostatnie chwile.

Dlatego tak ważne jest ponadpartyjne porozumienie w sprawie integracji. Cieszy mnie więc, że rząd i opozycja

wyraziły wspólną wolę przyspieszenia starań dotyczących wejścia Polski do Unii, a Sejm podjął uchwałę nadającą priorytet pracom dostosowującym polskie prawo do unijnego. Liczę zwłaszcza na efekty pracy tzw. Wielkiej Komisji w sejmie.

Osobiście nie demonizuję pewnych wahań społecznego poparcia dla idei członkostwa. Jest to przede wszystkim refleks niewystarczającej informacji. Pamiętać jednak trzeba, że do Unii nie da się wejść bez silnego społecznego poparcia, bez powszechnej świadomości szans, ale i trudnych wyzwań czekających nas na tej drodze. Polacy odnoszą się do problemu integracji emocjonalnie. Czujemy, że uczestniczymy w czymś wielkim, w czymś, co zmienia zbiorową egzystencję, a przede wszystkim otwiera perspektywy. Nieznane – przyciąga, ale również budzi obawy. I dlatego podmiotem w procesie integracji z Unią Europejską powinny stać się szerokie grupy społeczne. W tej sprawie trzeba prowadzić otwarty dialog z ludźmi, coraz głośniej i coraz więcej mówić o przyczynach naszego dążenia do Unii, polemizować z jego przeciwnikami, a przede wszystkim wytrwale przekonywać.

A do tego trzeba być samemu przekonanym. Jedno jest pewne: do integracji z Unią nie przekonają ludzie sceptyczni. Dla wprowadzenia Polski do Unii potrzebne jest wyraźne polityczne przywództwo rządu. Wielokrotnie rozmawiałem na ten temat z osobistościami naszego życia publicznego.

Powinniśmy się częściej i głębiej zastanawiać nad przyczynami polskiego eurosceptycyzmu oraz szukać odpowiedzi, jak mu przeciwdziałać. Nie można przecież po-przestawać na prostej konstatacji, że jego źródłem jest narastająca świadomość kosztów integracji czy trudów

przystosowania się do unijnych standardów. W piersi powinni uderzyć się przede wszystkim politycy. Przez długi czas drzemali w błogim przekonaniu, że Polacy z samej natury są tak bardzo europejscy, iż unijna perspektywa może ich tylko urzekać. Niektórzy po prostu „zaspali”, pozostali w swoich wyobrażeniach w czasie, kiedy sukces mierzony był przez Polaków bogactwem witryn sklepowych.

Sceptycyzm wynika dziś także z faktu, że społeczeństwo wiele słyszy o kosztach i wysiłkach, które są przed nami, a mniej o korzyściach – także dlatego, że tak do końca nie wiadomo, jakie one będą. Dzisiaj proeuropejska orientacja musi być posadowiona na znacznie solidniejszych podstawach. Potrzebna jest informacja i argumenty w sprawie, że unijna perspektywa nie oznacza rezygnacji z suwerenności narodowej. Potrzebna jest informacja o naszym znaczeniu w Unii. Potrzebna jest znajomość rachunku kosztów i zysków integracji, informacja o tym jak daleko sięgną przeobrażenia gospodarcze, co będzie działo się w rolnictwie. I co najważniejsze – na jaką pomoc i w jakim okresie możemy liczyć.

Nie ma przeszkód, by mówić więcej o tym, jak toczą się rozmowy akcesyjne i co zrobiono w ramach struktur państwowych dla przyspieszenia naszych przygotowań. Informować społeczeństwo prosto i jasno, o co chodzi w poszczególnych sprawach. Nie przekonują mnie stwierdzenia, że naruzy to poufność negocjacji. Nie wchodząc w niuanse stanowisk i taktyki negocjacyjnej, można konsultować się z opozycją i z opinią publiczną, można systematycznie i przystępnie wyjaśniać te problemy. Trzeba to robić, jeśli chcemy, aby obywatele mieli poczucie, że nic nie dzieje się za ich plecami.

Brak wiedzy jest zły. Szkodliwe jest również przekazywanie informacji niepełnych, sensacyjnych czy tendencyj-

nych, bo zaciemniają one obraz, otwierają pole dla tych, którzy chętnie i łatwo straszą unijną perspektywą. Za przykład może posłużyć tu sprawa rzekomego żywiolowego wykupu ziemi przez obcokrajowców, wielokrotnie używana jako straszak, choć niewielka skala tych zakupów nie daje dzisiaj żadnych podstaw do niepokoju.

Rozmowa z Polakami o Unii ma jeszcze jeden mankament – jest zbyt ogólna, zbyt generalna, dotyczy tylko wielkiej polityki i zjawisk w skali makro. Zdecydowanie za mało mówi się o tych sprawach, przyjmując punkt widzenia zwykłego obywatela, zajętego problemami dnia codziennego. A jeśli już przyjmowana jest taka perspektywa, to często przez tych, którzy chcą panią czy pana Kowalskiego Unią straszyć. Miliony polskich rodzin – to najważniejsi adresaci informacji o Unii i o procesie integracji. Mają prawo wiedzieć o wszystkim, co wiąże się z przystąpieniem do wspólnoty. Na przykład, że będą korzystać z pełni swobód i możliwości, jakie są udziałem obywateli wspólnoty. Będą mieli prawo do swobodnego poruszania się i przebywania na obszarze państw członkowskich, do podjęcia w każdym z nich pracy, do ochrony dyplomatycznej i konsularnej.

## Polskość i europejskość

Różne formy integracji regionalnej i w ogóle procesy globalizacji niewątpliwie ograniczają stopniowo swobodę decyzyjną państw. Ich szczególną „bezbronność” widać choćby na światowych rynkach finansowych, kiedy przepływy kapitałowe, zmiana koniunktury czy kursów walutowych w odległych częściach globu oddziałują na sytuację gospodarczą w krajach położonych zupełnie gdzie indziej.

Obserwowaliśmy tę współzależność przy okazji załamania rynku azjatyckiego w 1997 roku, a także w Rosji rok później. Przykładem z innej dziedziny mogą być problemy ekologiczne, albo takie nowe zagrożenia dla bezpieczeństwa międzynarodowego, jak rozwój zorganizowanej przestępczości czy nielegalna migracja.

W podobnych warunkach istota suwerenności sprowadzać się musi do tego, że to państwo samo decyduje, w jaki sposób stawić czoło zewnętrznym problemom – czy będzie to czynić w pojedynkę, czy też postanowi w tym celu współdziałać z innymi partnerami – sąsiadami, sojusznikami, instytucjami międzynarodowymi. Rzecz w tym, że rozwinięte, bardziej dojrzałe formy takiej współpracy wymagają najczęściej przyjęcia na siebie zobowiązań wobec szerszej wspólnoty, a więc i ograniczenia dotychczasowej swobody działania. W pewnych sytuacjach – dla zapewnienia maksymalnej skuteczności wspólnych przedsięwzięć – oznaczać to także może dobrowolne przekazanie części uprawnień i kompetencji na rzecz organizacji międzynarodowej.

Tematem coraz częściej dyskutowanym jest pytanie, czy nasz spodziewany akces do Unii Europejskiej spowoduje radykalne zredukowanie naszej suwerenności. Nie sądzę, aby tak się stało. O wiele istotniejsza wydaje się dla mnie kwestia całkiem inna, którą wyraża pytanie: czy nasze narodowe interesy będą na początku XXI wieku lepiej chronione w ramach czy poza Unią Europejską? Nie waham się odpowiedzieć na to pytanie w sposób jednoznaczny. Nasze pełnoprawne członkostwo w Unii stworzy nam o wiele większe szanse realizacji strategicznych celów narodowych, aniżeli samodzielne egzystowanie na peryferiach europejskiej wspólnoty.

Przystąpienie do Unii zapewni Polsce nie tylko szybszy rozwój, ale i jakościowo nowe możliwości wpływania na bieg wydarzeń poza granicami kraju. Obecność Polski w Unii to także pełniejszy udział w formułowaniu polityki i podejmowaniu decyzji dotyczących całej Europy, w tym także środkowej i wschodniej części kontynentu – co ma przecież niebagatelne znaczenie dla naszej racji stanu. W tym sensie członkostwo w Unii Europejskiej to użyteczny instrument realnej, a nie nominalnej wolności. To nie dodatkowa utrata suwerenności, lecz raczej gotowość do – a zarazem możliwość – dzielenia się suwerennością między wszystkimi uczestnikami zaawansowanego w rozwoju organizmu integrycyjnego. Dla Polski, kraju średniej wielkości i pod wieloma względami ograniczonego potencjału, w świecie złożonych układów i uzależnień tylko udział w liczącej się wspólnocie regionalnej może być trafnym wyborem.

Przekonująca jest dla mnie niedawna wypowiedź byłego kanclerza Austrii, socjaldemokraty Victora Klimy, iż dla małych i średnich państw suwerenność oznacza dzisiaj zasiadać przy stole, przy którym zapadają najważniejsze decyzje dotyczące życia międzynarodowego. Choć teza ta stanowi pewne uproszczenie, jej ogólne przesłanie oddaje istotę rzeczy.

Inny, pokrewny obszar niepewności to problem ochrony tożsamości narodowej. Skąd w ogóle biorą się obawy, że ktoś chciałby polską tożsamość narodową zastąpić nową europejską tożsamością? Czy Anglia w Unii stała się mniej angielska niż przed wstąpieniem? Czy Francja wyzbyła się czegoś, co typowe dla jej ducha i stylu? Czy coś złego stało się włoskiej, duńskiej, holenderskiej odrębności? Nasza pozycja w Unii powinna być zarówno polska, jak i europejska. Europa i jej narody skutecznie bronią swych różnorodnych tożsamości właśnie dlatego, że są zjednoczone.

Prawdą jest, że narody integrującej się Europy odczuwają potrzebę debaty o własnej tożsamości. Podlega ona różnorakim przewartościowaniom – także pod wpływem postępującej uniwersalizacji wielu norm i wzorców kulturowych. W warunkach nasilającej się globalizacji chyba właśnie tak odczuwamy naszą europejskość – jako zakorzenienie w świecie „małej ojczyzny” i narodowej kultury, a jednocześnie w świecie europejskich i ogólnoludzkich wartości.

W naszym zbliżaniu się do Europy trudno mi dostrzec konflikt światopoglądowy czy jakiś dramatyczny spór o wartości fundamentalne. To nie jest tak – jak sugeruje przewrotnie Franciszek Starowieyski swoim obrazem zdobiącym polskie przedstawicielstwo w Brukseli – że chrześcijańska Polska zostaje porwana przez pogańską Europę. Artysta prowokuje, szuka metafory dla naszych obaw i lęków. Ale przecież musimy zdawać sobie sprawę, że unijne standardy tolerancji i humanizmu nie oznaczają walki z polską tradycją.

Polska posiada swoje specyficzne, autentyczne wartości i tradycje, które powinna pielęgnować i rozwijać. Ale skutecznie ich bronić może tylko wówczas, gdy nie będzie ich trzymać w swego rodzaju skansenie lub twierdzy. Tylko otwierając się na kontakty zewnętrzne, będziemy w stanie pomnażać nasze duchowe i kulturowe bogactwo. Tym bardziej, że integralnym elementem polskiego dziedzictwa jest otwartość na świat, tolerancja i szacunek dla innych poglądów i idei.

Jestem przekonany, że nasze wejście do Unii Europejskiej nie zagrozi polskiej tożsamości. Raczej na odwrót – pod pewnym względem krok ten będzie swoistym powrotem do własnych, odwiecznych tradycji kulturowych i państwowych, ufundowanych przecież w przemożnym stopniu na

łacińskim chrześcijaństwie. To między innymi dlatego integracja Polski z Unią spotyka się z tak wyraźnym poparciem ze strony papieża Jana Pawła II oraz coraz szerszych kręgów polskiego duchowieństwa. Idee solidarności, subsydiarności czy poszanowania praw ludzkich nie tylko leżą u podstaw integracji europejskiej, ale są także mocno zakorzenione w dziejach całej cywilizacji łacińskiej oraz naszej narodowej tradycji.

*Polska – mówił w sejmie papież Jan Paweł II, w czasie pamiętnej wizyty w czerwcu 1999 roku – ma pełne prawo, aby uczestniczyć w ogólnym procesie postępu i rozwoju świata, zwłaszcza Europy. Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską. Doświadczenie dziejowe, jakie posiada naród polski, jego bogactwo duchowe i kulturowe mogą skutecznie przyczyniać się do ogólnego dobra całej rodziny ludzkiej, zwłaszcza do umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie.*

Poparcie dla naszych proeuropejskich poczynań wielokrotnie deklarował polski Episkopat oraz rozsiana po całym świecie Polonia. Jej działacze podkreślają na każdym kroku, że byłoby to ukoronowanie ich starań i walki o wolną i dostatnią Ojczyznę. Właśnie dzięki takiej powszechnej zgodzie Polaków ponad politycznymi i historycznymi podziałami możliwe było przystąpienie Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego. I możliwe będzie – w co głęboko wierzę – rychłe członkostwo naszego kraju w Unii Europejskiej.

Wejście do Unii nie jest oczywiście lekarstwem na wszystkie kompleksy części naszego społeczeństwa. A z nich właśnie czasami wyrasta eurosceptycyzm i owo trwożliwe poszeptywanie o europejskiej przyszłości. Nie myślę dokonywać wiwisekcji narodowej duszy, lecz nie znajduję dzisiaj



uzasadnienia dla pozycji „wiecznej ofiary”, w jakiej niektórzy chcieliby ciągle widzieć Polskę. Ta postawa niepotrzebnie odwraca uwagę od rzeczywistych problemów, odbierając pewność siebie i wytracając społeczną energię. To droga donikąd. Czas, abyśmy odnajdowali się nie w wiecznym narzekaniu, lecz w odważnym patrzeniu w przyszłość. W tworzeniu tej przyszłości.

Myślę, że w przededniu zatwierdzającego referendum, a więc już niedługo, powiedzmy za dwa lata, kiedy będziemy już po negocjacjach, warto będzie raz jeszcze przeprowadzić ogólnonarodową debatę i uczciwie odpowiedzieć na pytania:

Jakie byłyby skutki dla narodu, dla naszej przyszłości, gdybyśmy zrezygnowali z europejskiego projektu? Co w zamian – jeśli nie Unia? Gdzie szukać miejsca dla dużego, europejskiego kraju o niemałym potencjale i ambicjach, jeśli nie wśród czołowych krajów naszego kontynentu? Co miałyby być alternatywą? Czy miałyby nią być izolacja, zamknięcie się na własnym podwórku, w poczuciu własnej wyjątkowości?

## Przeciwko nowym murom w Europie

Na drodze integracji ruch musi być dwustronny. Inaczej – odradzać się będzie nieufność, powstawać będą ciągle nowe bariery i zatory. Nie będzie jedności Europy bez silnych więzi politycznych i równoprawnych związków ekonomicznych. Byłoby prawdziwą katastrofą, gdyby po zburzeniu murów i podziałów politycznych, pozostały mury głęboko dzielące nasz kontynent pod względem poziomu i jakości życia czy szans rozwoju cywilizacyjnego.

*Jeszcze niedawno Polacy przekraczając granice, doświadczali sytuacji upokarzających i bolesnych – mówiłem półtora roku temu w Parlamencie Europejskim – dziś chcemy oszczędzić tego innym. Chcemy, przy zachowaniu wymogów wynikających z konwencji z Schengen, aby nasze granice były przyjazne. Aby uczeni obywatele: turyści, biznesmeni, młodzież mogli odwiedzać swych krewnych, partnerów i przyjaciół bez przeszkód. Tylko w ten sposób, stając się członkiem NATO i zabiegając o członkostwo w Unii, osiągniemy nasz wspólny cel, żeby cała Europa Środkowa i Wschodnia stała się obszarem współpracy, stabilności i rozwoju.*

Teza byłego polskiego ambasadora w Paryżu Jerzego Łukaszewskiego, według którego promowanie przez Polskę otwartości Unii Europejskiej wobec krajów sąsiednich jest szkodliwym dla naszego interesu szerzeniem iluzji, to osobliwa według mnie wizja polityki zagranicznej. Sprowadza ją bowiem w zasadzie do biernej i polonocentrycznej realizacji powrotu Polski do Europy. Proponuje on de facto zarzucenie przez nas budowy wspólnoty regionalnej w Europie Środkowej i Wschodniej, by nie komplikować procesu dochodzenia Polski do członkostwa w UE. Takie postawienie sprawy nie służy dobrze myśleniu o przyszłym miejscu naszego kraju w rozszerzonej Unii Europejskiej. W sposób zamierzony lub niezamierzony jest zbieżne z poglądami zwolenników Europy jako fortecy, którzy najchętniej widzieliby wokół Unii Europejskiej przepastny ocean, a nie potencjalnych klubowiczów, co i raz wyciągających do prawdziwych „Europejczyków” swoją rękę.

Pytanie o prawo do udziału w procesie integracji europejskiej to kluczowy dylemat dzisiejszej Europy. Nam samym potrzeba w tej kwestii większej skromności pomimo

uzasadnionego przekonania, że jesteśmy już niemalże po drugiej stronie rzeki. Jeżeli bowiem jedynie 13 procent austriackiego społeczeństwa jest zwolennikami przystąpienia Polski do UE w ciągu najbliższych pięciu lat to, czy przez analogię mamy podobny stosunek przenosić na naszego wschodniego sąsiada Ukrainę? Czy przejawem naszej europejskości ma być niewiara w możliwości innych?

O rzeczywistym, dziejowym znaczeniu integracji europejskiej w drugim półwieczu jej istnienia zadecyduje to, jak Unia potraktuje swych sąsiadów i jaki stosunek przyjmie do otaczającego ją świata. Na sesji Międzynarodowego Forum Bertelsmanna przed dwoma laty w Berlinie, podkreślałem potrzebę nadania polityce UE południowo-wschodniego wymiaru – zbliżonego do istniejącego już wymiaru śródziemnomorskiego oraz północnego. Mówiłem, że wzorcem dla Unii Europejskiej powinien być program Partnerstwo dla Pokoju, który odegrał istotną rolę w pokonywaniu wzajemnych uprzedzeń w regionie. Rosji, Ukrainie i innym partnerom wschodnim powinno być zaproponowane Partnerstwo dla Stabilności i Dobrobytu. Składałoby się ono z inicjatyw daleko wykraczających poza propozycje zawarte we Wspólnych Strategiach Unii Europejskiej dla Rosji i Ukrainy. W pierwszej kolejności zmieniałoby zasadniczo podejście do relacji z tymi dwoma krajami. Sprawiałoby, że punktem wyjścia byłyby wspólne – dla UE i Rosji oraz dla UE i Ukrainy – interesy oraz wspólne zagrożenia. Tutaj bowiem leży główny mankament strategii, które Unia Europejska przyjęła. Są one zarysem programu pomocowego, ale nie wizją wspólnoty interesów pomiędzy Unią Europejską a jej bezpośrednim sąsiedztwem.

Bardzo trafna wydaje mi się w tym kontekście myśl Jeana Moneta – „my nie tworzymy koalicji państw, my jedno-

czymy ludzi”. I właśnie tej idei musimy podporządkować realizację europejskiego projektu – także w jego kolejnych fazach. Integracja musi odbywać się etapami, to zrozumiałe. Ale integracja musi mieć perspektywę, wizję, która da nadzieję i wytyczy drogę wszystkim europejskim narodom. A zwłaszcza tym, które choć dzisiaj mają duże problemy odziedziczone po poprzedniej epoce, podejmują odważnie próby reform, zmieniają swoje gospodarki, prawo, politykę społeczną. Często kosztem ogromnych wyrzeczeń starają się jak najszybciej zbliżyć do unijnych norm. Tym wszystkim społeczeństwom należałoby podać przyjazną rękę, pomóc w przemianach.

Kto wie, czy gdybyśmy wcześniej nakreślili perspektywę włączenia krajów powstałych po byłej Jugosławii do europejskiej współpracy, ich historia nie potoczyłaby się inaczej? Byłoby taniej, prościej, mądrzej. Uniknęlibyśmy wielu problemów, które i tak będziemy musieli rozwiązać, bo w dzisiejszej Europie nie ma miejsca na enklawy niepokojów czy zarzewia wojen. Jesteśmy zbyt blisko siebie, zbyt od siebie współzależni.

Wierzę, że Europa jest kontynentem przyszłości. Że choć dumni jesteśmy z jej niepowtarzalnego, ogromnego, wielowiekowego dorobku cywilizacyjnego, najważniejsze jest przed nami.

# Wiedza – rezerwą strategiczną Polaków

W raporcie przygotowanym dla UNESCO przez Międzynarodową Komisję ds. Edukacji dla XXI wieku jej przewodniczący, Jacques Delors, stwierdza, że w obliczu rozlicznych wyzwań stojących przed współczesnym światem edukacja jawi się jako szansa, którą należy bezwzględnie wykorzystać w dążeniu ludzkości do ideałów pokoju, wolności i sprawiedliwości społecznej. Nie jest oczywiście edukacja cudownym środkiem ani zaklęciem typu „Sezamie, otwórz się!” wprowadzającym w świat, który urzeczywistnił wszystkie ideały. Jest z pewnością tylko jednym ze sposobów, lecz w większym stopniu niż inne służącym bardziej harmonijnemu, autentycznemu rozwojowi ludzi, którego celem jest likwidacja ubóstwa, wykluczenia, niezrozumienia, ucisku i wojen.

Raport UNESCO zestawiał główne napięcia współczesnego świata, w których przewyciężeniu widzi kluczową rolę edukacji. Nie są to co prawda nowe problemy, ale znalazły się obecnie w centrum rozważań o XXI wieku.

## Edukacja – szansą ludzkości

Oto na jakie niebezpieczeństwa Jacques Delors radzi nam przede wszystkim zwrócić dziś uwagę. Po pierwsze trzeba, jego zdaniem, uwzględnić napięcie między tym, co globalne, a tym, co lokalne. Konsekwencją takiego postawienia problemu jest pytanie o to, jak stawać się obywatelem świata nie zatracając swoich korzeni, aktywnie uczestnicząc w życiu narodu i wspólnoty lokalnej.

Trzeba też pamiętać o napięciu między tym, co uniwersalne, a tym, co jednostkowe. Tylko wtedy można uniknąć zagrożeń związanych z globalizacją kultury. Takim szczególnym zagrożeniem jest zapominanie o niepowtarzalnym charakterze każdego człowieka, jego powołaniu do wyboru własnego losu i wykorzystania wszystkich możliwości zawartych w bogactwie własnej tradycji i kultury.

Istnieje oczywiste napięcie między tradycją a nowoczesnością. Trzeba więc wiedzieć, jak przystosować się do nowego, nie wyrzekając się własnej tożsamości, jak budować własną autonomię, szanując wolność i ewolucję innych ludzi, jak panować nad postępem naukowym.

Często dostrzegamy też sprzeczność między działaniem perspektywicznym a działaniem doraźnym. Opinia publiczna domaga się zazwyczaj odpowiedzi i rozwiązań natychmiastowych, podczas gdy wiele napotkanych problemów wymaga cierpliwej, zaplanowanej i wynegocjowanej strategii reform. Tak jest właśnie z polityką edukacyjną.

Poważne dylematy stwarzają wymogi konkurencji i współzawodnictwa zderzone z troską o równość szans. To klasyczny problem, od stu co najmniej lat stojący przed polityką gospodarczą, społeczną i edukacyjną. Czasami rozwiązywany, lecz nigdy w sposób trwały.

Dla projektowania przyszlówiecznego kształtu systemu edukacji zasadnicze znaczenie ma napięcie między niezwykle wysokim rozwojem wiedzy a zdolnością przyswojenia jej przez człowieka...

I wreszcie odwieczny konflikt między duchowością a materialnością. Ludzie często nie uświadamiając sobie tego, są spragnieni ideałów i wartości, które – aby nikogo nie urazić – Jacques Delors nazywa moralnymi. I dodaje zaraz: *Jakież to szlachetne zadanie dla edukacji wyzwalać u każdego, zgodnie z tradycją i przekonaniami oraz pełnym poszanowaniem pluralizmu, tę wzniosłość myśli i ducha, aż do uniwersalności i częściowego przekraczania samego siebie. Chodzi przecież o przetrwanie ludzkości.*

Bliski jest mi ten sposób myślenia reprezentowany przez wybitnego francuskiego męża stanu. Podzielał bowiem pogląd – i staram się dawać stale dobitny temu wyraz – że miejsce narodów i państw w świecie XXI wieku zależeć będzie od ich prężności edukacyjnej oraz zdolności i umiejętności rozwijania nauki i techniki.

W dzisiejszych polskich warunkach rola edukacji jest szczególna, gdyż poza zadaniami uniwersalnymi doszły jej różnorodne oczekiwania związane ze specyficznym okresem rozwoju, w którym znajduje się nasz kraj.

## Czynnik intelektualny

Wiek XXI będzie wiekiem współpracy, ale też i konkurencji. Ten, kto jej nie sprosta, skaże się w dalszej perspektywie na degradację. Uświadomienie sobie wszystkich wynikających z tego konsekwencji jest szczególnie ważne dla nas – tu i teraz. Widać już bowiem wyraźnie kres prostych

rezerw, dzięki którym nasz kraj w ostatnich dziesięciu latach tak dynamicznie się rozwijał, ku podziwowi świata i... zazdrości naszych sąsiadów.

Te rezerwy to było odrzucenie starego i nieefektywnego błędnego systemu, to była polska elastyczność do stosowania nowych metod, to było nasze otwarcie na świat, to była możliwość skorzystania ze sporej liczby ludzi, którzy znali inne mechanizmy działania. To jest także cały czas działająca jeszcze rezerwa prosta w postaci niższych kosztów, które przecież są związane głównie z niższymi płacami, jakie w Polsce mamy; to była również możliwość włączenia się w działania kooperacyjne z wysoko rozwiniętymi sąsiadami. Wielkie możliwości tkwiły w polskim rynku, który okazał się wielkim motorem rozwojowym dla wielu dziedzin gospodarki – nie tylko dla wytwórczości artykułów konsumpcyjnych, ale także dla przemysłu wysokiej technologii.

Bardzo dobrze, że mogliśmy z tych prostych rezerw skorzystać. Bardzo dobrze, że Polacy okazali się wystarczająco otwarci, elastyczni i zdolni, żeby te rezerwy mogły być użyte. Dzisiaj widzimy jednak coraz wyraźniej, że część z nich została wyczerpana, a inna część już się wyczerpuje. Wchodzimy w okres bardzo wymagający, okres szukania rezerw trudnych, które będą dawały nam odpowiednią do naszego potencjału pozycję, zarówno w gospodarce jak i w polityce.

Nie zrobimy jednak wiele, jeżeli nie będziemy mieli odpowiedniego programu rozwoju edukacji w Polsce. W tym zakresie wiele się w ostatnich latach w naszym kraju dzieje. Doceniam to. Niewątpliwie jest to początek drogi i starań, żeby edukacja stała się strategiczną rezerwą rozwojową Polski. Żeby była właściwie doceniana przez decydentów rządowych i parlamentarnych, i żebyśmy stworzyli na tyle



nowoczesny system edukacyjny, który zwiększy istotnie stopień skolaryzacji i da lepsze wykształcenie, ale zarazem taki, który spełni konstytucyjną zasadę sprawiedliwości społecznej – co w przypadku edukacji oznacza dostępność młodego człowieka do możliwości kształcenia, niezależnie od statusu materialnego, miejsca zamieszkania i urodzenia. W tym zakresie mamy dużo do zrobienia i cieszę się, że są podejmowane starania w tym kierunku.

Sygnaly i postulaty, które płyną z wielu środowisk w Polsce, w tym ze środowiska rektorów szkół wyższych, są pełne troski, ale także propozycji, jak zrobić, żeby edukacja stała się nowym, koniecznym impulsem rozwoju Rzeczypospolitej w nadchodzących latach. Ze względu na niższe koszty będziemy jeszcze swoją rentę wykorzystywać nie więcej niż przez 10 lat. I osiągniemy w tym czasie poziom portugalski czy grecki. Będzie to oznaczało, że jeżeli nie wprowadzimy nowych impulsów stymulujących rozwój, nie będziemy w większym stopniu wykorzystywali najnowocześniejszych technologii, nie będziemy mieli wysokiej jakości produktów eksportowych – to wtedy wszystko, co przez 10 lat ostatnich stanowiło czynnik postępu w Polsce, przeniesie się zgodnie z logiką na wschód. Trzeba się z tym liczyć. Dlatego tak ważne jest powiększenie naszych szans rozwojowych o kluczowy we współczesnym świecie czynnik intelektualny. Wynika on przede wszystkim z edukacji, z troski i nakładów na naukę i na postęp naukowo-techniczny.

Jestem pełen nadziei, że mamy na szczęście wszelkie szanse, aby tkwiące w edukacji możliwości rozwojowe w pełni (a więc dużo lepiej niż dziś) wykorzystać.

## W Audytorium Maximum

Chciałbym zrobić w tym miejscu małą dygresję. Zawsze z przyjemnością korzystam z zaproszeń na uroczyste inauguracyjne uroczystości roku akademickiego. Jednak zaproszenie nowego rektora Uniwersytetu Warszawskiego, wybitnego genetyka, prof. Piotra Węgleńskiego i Senatu tej uczelni do wzięcia udziału w inauguracji roku akademickiego 1999/2000 przyjąłem ze szczególną satysfakcją – studia na Wydziale Psychologii UW rozpoczynała bowiem właśnie moja córka.

Wchodząc tego dnia do Audytorium Maximum czułem szczególne wzruszenie. Ceremoniał akademicki ma swoją ustaloną od lat dramaturgię. Stanowią o niej uroczyste stroje władz uczelni i wydziałów, różnokolorowe togi, grono-stajowe pelerynki i lśniące łańcuchy rektorów i dziekanów. Odświętności dodają honorowi goście, od rektorów innych uczelni poczynając... Decydują o tej dramaturgii pieczołowicie kultywowane od lat punkty ceremoniału: pochód władz akademickich, uroczyste *Gaudeamus Igitur* w wykonaniu chóru studenckiego, promocje doktorskie... Ale najbardziej wzruszające jest zawsze podczas tych uroczystości ślubowanie studentów I roku, których symboliczna reprezentacja (zwłaszcza w przypadku tak dużej uczelni jak Uniwersytet Warszawski, który przyjmuje na I rok ponad 10 tysięcy studentów!) w skupieniu czeka na immatrykulację. To zawsze wzrusza, a 1 października 1999 roku miałem powody, by być wzruszonym podwójnie!

Siedząc w pierwszym rzędzie akademickich ław przypominałem sobie rok 1973, gdy rozpoczynałem studia na Uniwersytecie Gdańskim. Była to inna epoka, która i w dziedzinie edukacji różniła się zasadniczo od dzisiejszych realiów. Choćby tym, że tak jak wszyscy ówcześni studenci

pierwszego roku byłem absolwentem państwowego ogólniaka – moja córka ukończyła natomiast liceum niepubliczne.

Gdy rozpoczynałem studia, jedyną niepaństwową uczelnią w Polsce był Katolicki Uniwersytet Lubelski. Natomiast na przełomie września i października 1999 roku śpiewano uroczyste *Gaudeamus* w ponad 160 polskich uczelniach niepaństwowych! To całkiem niezły ekwipunek na powitanie nowego tysiąclecia i nowego wieku!

*Ten wiek powinien być okresem pokoju, dialogu, współpracy, a także na pewno będzie to wiek, a może i całe tysiąclecie, ogromnego rozwoju nauki, ogromnego rozwoju komunikacji między ludźmi – podkreśliłem w swym krótkim improwizowanym wystąpieniu z uniwersyteckiej mównicy. – Świat staje się mniejszy, świat staje się otwarty, jest mniej barier, jest mniej granic, ale także więcej konkurencji, jest więcej konfrontacji między różnymi pomysłami, projektami, ideami. Chodzi o to, abyśmy wkraczając w nowe tysiąclecie jako Polska, jako Polacy zdawali sobie z tego sprawę, że właśnie polskie uczelnie, polskie uniwersytety, politechniki, akademie medyczne, także uczelnie artystyczne i wojskowe, będą stanowiły o naszych możliwościach i perspektywach w trzecim tysiącleciu.*

*Naszą wspólną odpowiedzialnością jest stworzyć każdemu szansę i wykorzystać ten potencjał, który zadecyduje o przyszłości Polski. Edukacja, nauka, technika, wdrażanie nowych osiągnięć do praktycznej działalności czy to produkcyjnej, czy do życia codziennego to będzie wymiar naszej nowoczesności i naszej siły w kolejnych latach. Chciałbym bardzo – podkreśliłem mówiąc do zgromadzonych w uniwersyteckiej auli – aby ta właśnie myśl stała się obecna nie tylko przy okazji inauguracji roku akademickiego, ale żeby*

stała się praktyką, żeby stała się czymś, co robimy każdego dnia. Żeby Polska siłą umysłów stała, żeby nasz kraj w pełni potrafił skorzystać z potencjału intelektualnego, który niewątpliwie ma, z wielkiej tradycji uczelni i z chęci młodych ludzi do podejmowania nauki.

Powiedziałem też wówczas, kierując te słowa również do własnej córki: Jesteście szczęśliwym pokoleniem. Za wami są wszystkie historyczne podziały, wybory, których wasi rodzice czy dziadkowie musieli dokonywać. Za wami są ograniczenia, które Polsce przyniósł ład pojałtański. Za wami są dylematy, czy można zrobić więcej, czy mniej, czy dowodem roztropności jest rewolucyjna odwaga, czy raczej swoisty konformizm. To macie za sobą. Wkraczacie w dorosłe życie w momencie, kiedy Polska zakończyła pierwszy etap transformacji. Jesteśmy w NATO, negocjujemy z Unią Europejską, zmieniliśmy ustrój polityczny i ekonomiczny. I chciałbym żebyście z tej wyjątkowej zupełnie szansy skorzystali. Żeby w was, młodzieży polskiej urodzonej w roku 1980, 81, młodzieży, która rozpoczyna swoje studia w roku 1999, każdy z nas tu obecnych – tych nieco starszych, tych dużo starszych i tych najstarszych, których tutaj gościmy, którzy kończyli studia w roku 1939 – mógł widzieć gwarantów polskiej pomysłowości, polskiego rozwoju i polskiej siły w XXI wieku. To wy zadecydujecie, jak Polska będzie się liczyła, na ile będzie partnerem poważnym i ważnym, na ile zapewnicie nam wszystkim bezpieczeństwo i rozwój. Do tych ról przygotowujecie się. Ale przygotowujecie w dobrych warunkach, warunkach lepszych niż jakiegokolwiek inne pokolenie Rzeczypospolitej ostatniego wieku.

To nie był oczywiście jedyny moment, kiedy prosiłem młodych, żeby z tej szansy skorzystali. Żeby nie tracili czasu, nie ulegali tej swoistej lekkości bytu studenckiego.

Przejęcie od nas starszych wielkich zadań wymaga dołożenia wszelkich należnych starań dla zdobycia wykształcenia. Mówię młodym dosyć często, że my z radością oddamy im odpowiedzialność i przekazemy im wszystkie doświadczenia okresu przełomu, okresu transformacji – żeby oni wyprowadzili Polskę na wody europejskie jako statek silny, sterowny i szybki. Taki, który może ścigać się z najlepszymi!

## Ludzie uparci

Fakty świadczą, że z tą chęcią młodzieży do nauki nie ma na szczęście problemu. Statystyki szkolnictwa wyższego mówią, że o ile w 1973 roku, a więc w czasie, gdy ja rozpoczynałem studia, a na wyższych uczelniach były roczniki powojennego wyżu, studiowało w Polsce 330 tysięcy studentów, to w roku 1999 było ich ponad milion więcej! Temu polskiemu boomowi edukacyjnemu, zwłaszcza na poziomie wyższym, warto przyjrzeć się dokładniej, gdyż skupia on, jak w soczewce, wiele kluczowych dla przyszłości Polski zjawisk i trendów, oczekiwań i obaw, nadziei i zagrożeń.

Bo nie jest przecież tak, że to z istoty samej tylko zmiany ustrojowej musiały powstać wszystkie te nowe szkoły i uczelnie, a miliony ludzi musiało zacząć się uczyć.

Mam w swojej bibliotece ciekawe opracowanie *Polska w XXI wieku* przygotowane w 1995 roku przez Komitet Prognoz powołany przy Prezydium PAN. Zespół autorów pod kierunkiem prof. Leszka Kuźnickiego sformułował w tym raporcie postulat *docelowego osiągnięcia w 2010 r. liczby 1–1,2 mln studentów wobec 0,6 mln obecnie* (tzn. w 1995 roku). Jak widać, nawet zaprawieni w prognozach

fachowcy nie byli w stanie wyobrazić sobie, że postulowana przez nich na początek drugiej dekady XXI wieku liczba studentów stanie się faktem już w roku akademickim... 1998/1999!

Co więc stało się w Polsce takiego, że miliony ludzi zasiadły w szkolnych ławach – coraz częściej wyposażonych w znakomite komputery – i zaczęło się uczyć? Jakie to ma znaczenie dla sprostania wyzwaniom stojącym przed naszym krajem i dla całokształtu naszych planów rozwojowych? I jak wykorzystać te ze wszech miar pozytywne trendy, aby nie zmarnować zapału uczących się (i nauczających) i rzeczywiście uczynić z edukacji, z tego co się określa wyższą jakością „czynnika ludzkiego”, główną dźwignię naszego rozwoju?

Wielokrotnie bywałem w dawnych latach w Pułtusk – w sympatycznym, ale bardzo wówczas sennym miasteczku nad Narwią. I oto, gdy niedawno na zaproszenie rektora Andrzeja Bartnickiego odwiedzałem Wyższą Szkołę Humanistyczną w Pułtusku, zobaczyłem inne miasto. W ciągu kilku lat zdarzył się tam swoisty cud rozwojowy. W 20-tysięcznym miasteczku pojawiła się bowiem znakomita wyższa uczelnia (pierwsze miejsce w rankingu miesięcznika edukacyjnego „Perspektywy” wśród niepaństwowych uczelni humanistycznych!), w której studiuje aktualnie 15 tysięcy osób! Mówi się o niej „Oxford nad Narwią” i w określeniu tym nie ma żadnej ironii, a raczej nawiązanie do ambicji założycieli tej uczelni i odwagi myślenia tamtejszych władz.

Jestem pełen najwyższego podziwu dla dzieła, które stworzyli założyciele uczelni niepaństwowych. Założenie wyższej uczelni wymaga bowiem kadry, pieniędzy, lokali i poparcia różnych władz. Ale najważniejsze są kompetencje, upór i wizja założyciela. Mówi się, że tak sprawne powstanie i imponujący rozwój wyższego szkolnictwa niepaństwowego

jest jednym z największych osiągnięć zapoczątkowanej 10 lat temu transformacji ustrojowej w Polsce.

Tak szybki rozwój uczelni niepaństwowych oraz ogromny wzrost liczby studentów szkół wyższych potwierdza olbrzymie możliwości rozwojowe tkwiące w polskim społeczeństwie i jego intelektualnych elitach. W samych tylko uczelniach niepaństwowych uczy się obecnie więcej studentów niż w ogóle było w Polsce w końcu lat osiemdziesiątych! I cud ten zaistniał bez wydatkowania choćby jednej dodatkowej złotówki z budżetu państwa. Co więcej, udział wydatków z budżetu państwa na edukację i szkolnictwo spadł, co przyjąć trzeba zresztą z ubolewaniem.

Oczywiście, pojawiają się również zarzuty pod adresem uczelni niepaństwowych, że znakomita ich większość prowadzi wyłącznie studia z zakresu zarządzania i marketingu oraz na kierunkach nauczycielskich. Zarzuca się też tym uczelniom zbyt duży udział zaocznych (a więc mniej wartościowych) form zdobywania wiedzy. Prasa podchwytuje również przypadki naruszania przepisów wykryte przez NIK, czy kontrole skarbowe... Tego typu przypadki stanowią, mam nadzieję, margines.

Oczywiście, polski boom edukacyjny wiąże się również nierozzerwalnie ze zmianami w systemie wyższego szkolnictwa państwowego. Nasze uniwersytety, politechniki, akademie i szkoły główne to obecnie zupełnie inne uczelnie niż jeszcze kilka lat temu. Unowocześniono w nich programy i tok nauczania, uruchomiono nowe kierunki studiów, coraz powszechniej wprowadza się dwu-, a nawet trzystopniowy system nauczania (licencjat – magisterium – doktorat). Uruchomiono wiele nowych studiów podyplomowych. Zbliżają się też nasze uczelnie do świata, zarówno wprowadzając studia w językach obcych, jak też i coraz powszechniej

przechodząc na system punktów kredytowych, co umożliwia w konsekwencji naszym studentom odbywanie (na zasadzie wzajemności) części studiów w uczelniach zagranicznych. Przypomnę raz jeszcze – wszystko to zdołano zrobić przy malejącym procencie PKB przeznaczanym na szkolnictwo wyższe.

Oba środowiska – uczelni niepaństwowych i państwowych – sporo mogą się od siebie nauczyć. Te pierwsze powinny jak najszybciej uczyć się od szkół publicznych standardów i obyczajów akademickich. Te drugie – sprawności zarządzania, elastyczności i umiejętności szybszych zmian. A wspólną troską wszystkich powinny być wszechstronne działania na rzecz zapewnienia wysokiej jakości kształcenia. Zgłaszane są bowiem uzasadnione obawy, że nie zawsze wzrost liczby studentów (z czego się tak bardzo cieszymy, gdyż rośnie nam wreszcie w Polsce współczynnik skolaryzacji) idzie w parze z odpowiednią jakością procesu dydaktycznego.

Rozwiązaniu nieuchronnych sprzeczności w tym zakresie służyć ma przyjęcie nowego prawa o szkolnictwie wyższym, między innymi przez przyjęcie skutecznych rozwiązań w zakresie akredytacji kierunków studiów.

Prace nad tą ustawą trwają długo i cieszy mnie, że zarówno rząd, jak i kierowana przez prof. Jerzego Woźnickiego Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, a także inne instytucje szkolnictwa wyższego są już bliskie wypracowania optymalnego, choć i kompromisowego zarazem, jej projektu. Ustawa ta ma przynieść praktyczną wykładnię, jak pogodzić konstytucyjny zapis o bezpłatności nauki z wymogami rozwojowymi kraju i potrzebami społecznymi. Oczywiście jest, że potrojenie liczby studentów w Polsce nastąpiło dzięki studiom płatnym



– w uczelniach niepaństwowych oraz studiach zaocznym i wieczorowym – w uczelniach państwowych. Rezygnacja z odpłatności drastycznie ograniczyłaby więc dostępność studiów. Ale oczywiście jest też, że każdy zdolny, młody Polak musi mieć zapewnione możliwości zdobywania wykształcenia – niezależnie od statusu materialnego. Edukacja stanowi bowiem dobro wspólne, które nie może podlegać tylko regulacji wolnej gry rynkowej. Dlatego należy dbać o to, aby w przyjmowanych regulacjach nowego prawa o szkolnictwie wyższym oba te wymogi były w zadowalający sposób uwzględnione.

Jeśli Polska ma wykorzystać szansę tkwiącą w edukacji, troską otoczone być muszą kadry polskich uczelni. Obecne płace kadry akademickiej nie zachęcają do podejmowania kariery naukowej. Tymczasem z analiz fachowców wynika, że nie rozszerzymy, a nawet nie utrzymamy zakresu kształcenia na poziomie wyższym bez zasadniczego zwiększenia liczby osób z doktoratami. We wszystkich bowiem krajach rozwiniętych to właśnie na pracownikach naukowych tej kategorii spoczywa znaczna część ciężaru pracy dydaktycznej. Trzeba też związać te osoby z pracą w dziedzinie badań naukowych i na uczelniach. Nie może być bowiem mowy o zapewnieniu właściwego poziomu kształcenia bez wysokiego poziomu kadr naukowych. A nie będzie tego bez prowadzenia własnych badań. Jedność badań naukowych i dydaktyki leży u podstaw nowoczesnego uniwersytetu i każde odstępstwo od tej zasady zaowocuje bardzo szybko spadkiem poziomu absolwentów. Aby osiągnąć zakładane cele, w roku 2010 powinniśmy promować dwa–trzy razy więcej doktorów nauk niż dziś. To jest podstawowy klucz do realizacji planów kształcenia na poziomie wyższym.

Należy pilnie takie działania podjąć, aby nie zawieść rosnącej rzeszy młodych ludzi, przyszłej elity intelektualnej

kraju, która z determinacją podejmuje u nas studia na uczelniach państwowych i prywatnych. Tę dążenia do wiedzy nie wolno zaprzepaścić.

## Reforma edukacji – obawy i nadzieje

Wielokrotnie mówiłem, że Polsce niezbędna jest reforma edukacji. Nowa sytuacja na świecie rodzi bowiem nowe problemy, których rozwiązanie nie jest możliwe bez nowego typu umiejętności i wiedzy. Potrzeba takiej reformy sygnalizowana była zresztą przez fachowców już od dawna – wspomnę choćby raporty opracowane przez prof. Jana Szczepańskiego (w 1973 roku) i prof. Czesława Kupisiewicza (w 1989 i 1996 roku). Nie było jednak wówczas polityków gotowych do podjęcia nieuchronnego przy takich działaniach ryzyka.

Ale takie ryzyko trzeba było wreszcie podjąć. Wybrano moment sprzyjający, gdyż szkoły podstawowe opuściły już najliczniejsze roczniki wyżu demograficznego, dzięki czemu można będzie realizować reformę proporcjonalnie mniejszym kosztem.

Uchwaleniu tej reformy towarzyszyły wielkie emocje, których istota sprowadzała się do zarzutów o brak odpowiedniego przygotowania merytorycznego i brak odpowiednio zwiększonych do skali zadań środków finansowych. Są to oczywiście zarzuty istotne, ale rozważając całokształt wyzwań przed jakimi stanął nasz kraj, uznałem, że czekanie z podjęciem decyzji byłoby rozwiązaniem gorszym i ustawę o reformie systemu edukacji podpisałem.

Od 1 września 1999 roku rozpoczęto więc wdrażanie reformy, czego najbardziej widocznym, zewnętrznym przejawem było powstanie gimnazjów. Czas uspokoił nieco emocje!

Powszechna stała się również świadomość, że reforma to nie jednorazowy, nieodwracalny akt, tylko rozłożony na kilkanaście lat proces, w którym możliwe są również korekty.

Ważne, że wdrożenie pierwszego, dostrzegalnego społecznie etapu reformy, bo za taki należy uznać powołanie gimnazjów, spotkało się ze znakomitym przyjęciem ze strony najbardziej zainteresowanych, tzn. uczniów I klasy gimnazjalnej. Oczywiście niezaspokojenie próżności trzynastolatków, awansowanych z dnia na dzień na gimnazjalistów, było celem utworzenia tego nowego etapu edukacji szkolnej. Gimnazja miały wyrównywać szanse młodzieży, ułatwić jej dostęp do lepszych nauczycieli i lepszych technik nauczania. Czy tak się stanie, zobaczymy w 2002 roku, gdy pierwsi absolwenci gimnazjów rozpoczną naukę w liceach.

Są jednak jeszcze inne przesłanki do ostrożnego optymizmu. Również badania opinii społecznej wskazują, że zrozumienie potrzeby i zasad reformy oraz poparcie dla jej wdrażania stale rośnie. To ważne i pozytywne fakty. Nie powinny one jednak zwolnić nikogo, kto czuje się odpowiedzialny za przyszłość Polski, z obowiązku pilnego śledzenia przebiegu tej reformy i odpowiednio wczesnego sygnalizowania i wprowadzania niezbędnych korekt.

Kierując się właśnie tymi racjami, powołałem przy Kancelarii Prezydenta RP społeczny zespół ekspertów, któremu powierzyłem monitorowanie wdrażania reformy edukacji. W skład tego zespołu, pracującego pod kierunkiem minister Barbary Labudy weszli: dr Janusz Gęsicki, prof. Jerzy Hausner, prof. Zdzisława Janowska, prof. Andrzej Alfred Janowski, dr Antoni Jeżowski, Wanda Kiedrowska, Danuta Kleczek, Włodzimierz Paszyński i dr Krzysztof Wielecki. Zespół ten pracuje przy otwartej kurtynie. W oparciu o jego rekomendacje wystosowałem w czerwcu 1999 roku list do pre-

miera Jerzego Buzka, w którym sygnalizowałem zagrożenia przygotowania i realizacji reformy oraz sugerowałem sposoby ich przezwyciężenia. Cieszę się, że zostały one w dużej części uwzględnione.

Oczywiście, spraw do uważnej analizy i uwzględnienia jest w dalszym ciągu dużo. Trudno zresztą, żeby było inaczej w odniesieniu do tak skomplikowanego i długotrwałego przedsięwzięcia. Dlatego wspomniany zespół ekspertów stale działa, a lista uwag kurczy się, gdyż na miejsce tych zrealizowanych pojawiają się nowe.

Najważniejsze jest chyba dzisiaj to, żeby reformę edukacji promować i postrzegać jako element długofalowego programu podniesienia poziomu wykształcenia Polaków w kontekście integracji z Unią Europejską i w związku z wynikającymi z tego wyzwaniem, a nie tylko jako przedsięwzięcie rządowe czy wręcz autorskie. To powinien być ponadpartyjny, długofalowy program proedukacyjny, gdyż inny on ze swej istoty być nie może. Przecież ta reforma musi się udać, niezależnie od tego, jaka koalicja uformuje się w sejmie za kilka, czy nawet za kilkanaście lat.

Na pytanie więc, jak oceniam reformę edukacji, odpowiadam: dokonuje się ona w bólach, ale jednak się dokonuje i powinna w dłuższej perspektywie przynieść zarówno wyższy poziom edukacji młodzieży, większą powszechność edukacji, wyrównanie szans edukacyjnych w całym kraju, a jednocześnie zwiększyć możliwości konkurencyjne młodych ludzi, którzy z systemu szkolnictwa średniego i wyższego będą wychodzić do polskiej i europejskiej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Zdaję sobie sprawę z wielu zarzutów i głosów krytycznych odnośnie tej reformy, ale – w moim przekonaniu – powinna ona w odpowiednim horyzoncie czasowym przynieść zauważalny postęp.

Ważne jest teraz, aby ukierunkować nasz zbiorowy wysiłek intelektualny i społeczny na budowanie dla tej reformy aktywnego wsparcia. Służy temu na pewno rzetelne i krytyczne ocenianie przebiegu jej wdrażania oraz formułowanie wynikających z tego wniosków co do zakresu korekt i uzupełnień wprowadzonych rozwiązań. Ważne, żeby intencją głosów krytycznych była wola budowy nowoczesnego systemu edukacji Polaków, do czego ta reforma niewątpliwie ma szansę się przyczynić.

## Wobec niepewności

Nic na świecie nie jest pewne oprócz zmian – to popularne wśród wielu futurologów powiedzenie nigdy nie było bardziej aktualne niż obecnie. Okazało się bowiem, że mimo zaangażowania najtęższych umysłów, środków finansowych i wyrafinowanych technik prognostycznych – nie udało się w planie długoterminowym, a nawet średnioterminowym przewidzieć większości zjawisk, które stanowią o kształcie dzisiejszego świata: upadku Związku Radzieckiego, wybuchu nacjonalizmów we wszystkich częściach naszego globu, czy też rewolucyjnych co do swego tempa i zasięgu zmian technologicznych, których symbolem jest Internet i globalne sieci telekomunikacyjne. Nic nie jest pewne – powtarzają rozczarowani futurologi – z wyjątkiem tego, że mamy przed sobą niezliczoną ilość znaków zapytania...

Ale przecież rozpoznanie tego faktu daje nam ważny punkt wyjścia i to na pewno jest lepsze od ślepej nieświadomości, jak zmienia się nasz świat. Również w dziedzinie edukacji. Są fachowcy w tym zakresie, którzy twierdzą, że w dzisiejszej sytuacji pełnej wielu zmiennych, żadne

prognozy dotyczące przyszłości nie mają sensu. Inni uważają jednak – i osobiście przychyliam się do tego kierunku myślenia – iż ta nowa sytuacja „niepewności” da się traktować jako wyzwanie, któremu można sprostać, że może być potraktowana jako fascynujące w sferze myślowej i praktyczne zarazem zadanie edukacyjne. Odpowiedzialność za przyszłość musi bowiem przewidywać różne jej uwarunkowania i niespodziewane zmiany, których nie jesteśmy jeszcze w stanie przewidzieć.

Dlatego tak ważne są obecnie różnego rodzaju debaty publiczne, podczas których grona złożone zarówno z fachowców, jak i światłych obywateli, zatroskanych przyszłością kraju i swoich dzieci, starają się diagnozować rzeczywistość, definiować problemy do rozwiązania i wskazywać możliwe warianty rozwiązań. Sam staram się inicjować takie debaty i w miarę moich możliwości w nich uczestniczyć, ale również z wielką uwagą zapoznaję się z działaniami i dorobkiem inicjatyw obywatelskich.

Jak się dowiadywałem, cykl takich niezwykle interesujących debat publicznych na tematy edukacyjne zainicjowała i zorganizowała niedawno Fundacja Bankowa im. Leopolda Kronenberga. Już sam pomysł, aby odpowiedzialność za poziom wiedzy zdobywanej przez młodzież uczynić przedmiotem publicznego namysłu i publicznej troski, wart jest pochwały i szerokiej popularyzacji. Jest to zresztą jeden z kluczowych trendów zmian edukacyjnych na świecie – szerokie włączanie rodziców i otoczenia szkoły do współodpowiedzialności za edukację najmłodszego pokolenia. Nie tylko zresztą najmłodszego, bowiem równie ważne jest przecież tworzenie tego, co określa się drugą, trzecią i kolejnymi szansami edukacyjnymi, czyli tworzenie możliwości edukacyjnych dla tych, którzy z różnych powodów nie pod-

jęli we właściwym czasie nauki lub ją na pewnym etapie przerwali.

Uczestnicy tych debat – koordynowanych od strony naukowej przez prof. Andrzeja Janowskiego, wybitnego pedagoga i eksperta w zakresie polityki edukacyjnej – dokonali zestawienia problemów, których rozwiązanie należy uznać w dzisiejszej polskiej rzeczywistości za kluczowe. Są to swoiste „metaumiejętności”, które będą przydatne zawsze, gdyż bez względu na warunki pozwolą człowiekowi osiągnąć sukces w sprzyjających okolicznościach, a w niesprzyjających ułatwią tworzenie strategii przetrwania.

Należy wskazać – uznali uczestnicy debat – co najmniej cztery dziedziny warunkujące powodzenie jednostkowe i pożytek społeczny w nadchodzącej pierwszej połowie XXI wieku. Są to: znajomość języków obcych, sprawność posługiwania się komputerem, umiejętność i chęć samokształcenia oraz zdolność porozumiewania się i kooperacji z innymi. Nie są to oczywiście wszystkie problemy – dopowiem od razu – których rozwiązania wymaga od nas odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń, ale przychyliam się do opinii, że na te kwestie powinniśmy zwrócić uwagę w pierwszej kolejności.

O znaczeniu nauki języków obcych mówiłem niejednemu raz. Świat robi się coraz mniejszy, ale jednocześnie coraz więcej spraw łączy nas z innymi państwami i kulturami. Cel i wyzwanie stojące przed systemem edukacyjnym to: „doprowadzić, by każdy absolwent polskiej szkoły średniej znał dwa języki obce”. Niektóre kraje (np. Holandia) realizują masową naukę dwóch języków już od dłuższego czasu.

Określenie „dwa języki obce” nie przesądza o tym, jakie to powinny być języki – można przewidywać dążenia rodziców i uczniów do nauczania języków o szerokim zasięgu między-

narodowym, jak angielski i niemiecki. Byłoby jednak bardzo pożądane, by pojawiło się w Polsce jak najwięcej szkół mających w swej ofercie mniej popularne języki naszych sąsiadów, jak: litewski, czeski, słowacki, ukraiński czy węgierski, a także języki dotąd dla nas egzotyczne, jak: arabski, chiński czy japoński. Na koniec pierwszej ćwierci XXI wieku dwa języki powinny być standardem, zaś szczególne szanse kariery będą się dopiero otwierać przed osobą znającą więcej języków.

Znajomość języków może stać się w przyszłości naszym narodowym atutem, umożliwiającym kulturalne i gospodarcze pośredniczenie na obu ważnych osiach „wschód–zachód” i „północ–południe”. Dlatego jest rzeczą istotną, by kwestia kształcenia językowego została ogłoszona jako ważny edukacyjny cel państwowy. Zasygnalizowane ostatnio podjęcie przez resort edukacji programu „Angielski w każdym gimnazjum” jest na pewno właściwym – choć na razie tylko hasłowym – krokiem w tym kierunku.

Sprawność posługiwania się komputerem jest drugim, obok języków obcych, wyznacznikiem sukcesu w dzisiejszym świecie. Mówiąc o „sprawności posługiwania się komputerem” używamy pewnego skrótów, bo nie chodzi tylko o komputer, ale o szerszą orientację w tzw. nowoczesnych technologiach informacyjnych, łącznie z Internetem. W tej sferze zjawisk niezbędne jest wypracowanie standardów, jakie są konieczne młodym pokoleniom. Dochodzenie do wiedzy i sprawności w tej dziedzinie musi odbywać się stopniowo, chociaż – jak się wydaje – główne przeszkody na drodze do szerszego wprowadzenia kształcenia informatycznego to nie brak pieniędzy na sprzęt, ale słaba orientacja i niezbyt dobre przygotowanie nauczycieli. Trzeba uczynić wszystko, aby problemy te jak najszybciej przezwyciężyć.



Pozytywne działania w tym zakresie bardzo szybko dają efekty. Przekonałem się o tym, gdy razem z Waldemarem Siwińskim, opierając się o redakcję i wydawnictwo „Sztandaru Młodych”, w 1985 roku zakładaliśmy „Bajtkę” – pierwsze w Polsce (a zarazem pierwsze wówczas między Łabą a Władystokiem!) pismo komputerowe adresowane do młodego pokolenia. Jego czytelnicy stali się zaraz potem pierwszym pokoleniem, które sprawnie i skutecznie skomputeryzowało nasz kraj. Oczywiście, jest to proces, który i tak by zaistniał. Ale dzięki „Bajtkowi” uzyskaliśmy w edukacji komputerowej dwa lata przewagi nad ówczesnymi sąsiadami.

Bardzo ważne jest wykształcenie zdolności do samokształcenia. Nauczyciel nie może w ostatecznej instancji nikogo zmusić, by się czegoś nauczył. Uczenie się jest zawsze własną pracą, jest samokształceniem. Minęły więc już czasy, w których szkoła starała się wyposażyć swych absolwentów w wiedzę i umiejętności przydatne na całe życie. Zbyt trudno przewidzieć przyszłość, by mieć pewność, co się przyda.

W XXI wieku człowiek będzie zmieniał pracę – nie tylko miejsce zatrudnienia, być może także zawód. Przy każdej takiej zmianie będzie zmuszony pewnych rzeczy uczyć się od nowa. Nawet przy braku konieczności zmiany profesji trzeba będzie liczyć się ze starzeniem się raz nabytej wiedzy – stąd konieczność samokształcenia.

Do samokształcenia należy się przygotować. Zmienia się więc rola nauczyciela – jego zadanie ma polegać nie na samym przekazywaniu wiedzy, a raczej na asystowaniu uczniowi w procesie tworzenia i realizacji programu samokształcenia. Trudno powiedzieć, czy ta nowa rola jest łatwiejsza, czy trudniejsza od tradycyjnej – jest jednak inna.

Znaczna część zadań, jakie realizujemy w życiu, wymaga kooperacji z innymi ludźmi, a więc musimy nauczyć się

współdziałania z innymi i pracy w zespole. Kooperacja zakłada porozumienie się. Bycie przygotowanym do życia to więc umiejętność dyskusowania, argumentowania, słuchania, wspólnego podejmowania decyzji, dochodzenia do kompromisu, to umiejętność pracy w zespole, kierowania i podporządkowania się, ale także wiedza o tym, jak się przeciwstawić i nie ulec naciskom. Jak łatwo zauważyć, wszystkie te umiejętności mają znaczenie w życiu zawodowym, rodzinnym i koleżeńskim, ale najistotniejsze jest to, że stanowią praktyczny fundament funkcjonowania w społeczeństwie demokratycznym, są więc niezwykle ważnym elementem wychowania obywatelskiego.

Wychowanie obywatela, który zdaje sobie sprawę ze swych uprawnień, możliwości i obowiązków wobec społeczeństwa, jest szczególnie ważną powinnością starszego pokolenia, które już samo w życiu społecznym funkcjonuje. Szkoły dotąd mało robiły w tym zakresie. W tradycji polskiej szkoły przedwojennej istnieją piękne karty wychowania obywatelskiego, ułatwiającego młodym ludziom pojmowanie ojczyzny i państwa jako „dobra wspólnego”. Trzeba do tych tradycji nawiązać.

## Edukacja dla wsi

Coraz bardziej na czasie staje się pytanie: czym edukacja może pomóc dzisiaj wsi. Pisałem już o tym trochę w części poświęconej rolnictwu. Nie jest żadną niespodzianką dla naszych partnerów z Unii Europejskiej, że problemy rolnictwa i wsi są w Polsce trudne. Nie powinniśmy mieć z tego powodu kompleksów – czy to w negocjacjach, czy dyskusjach z naszymi zachodnimi partnerami – dlatego że problemy wsi były wszędzie trudne. I to z wielu powodów, także dlatego, że zmiany w rolnictwie zachodzą wolniej, że rolnictwo nie jest

tylko dziedziną czysto gospodarczą, ale to jest sfera społeczna, w której mamy do czynienia z kwestiami kulturowymi i socjologicznymi. Nie różnimy się pod tym względem od tych państw, które drogę do Unii Europejskiej już przeszły.

Polska wieś nie ma dzisiaj jednego oblicza. Bo jest to na przykład wieś dobrych farmerów, dla których sprawą zasadniczą jest znalezienie zbytu dla ich bardzo dobrych produktów. Edukacja oznacza dla nich przede wszystkim możliwość zaistnienia pomimo trudnej konkurencji międzynarodowej.

Grupę największą tworzą ci wszyscy, którym praca na roli nie przynosi zysku, a są jeszcze na tyle młodzi, żeby nie poddawać się i nie decydować wyłącznie na korzystanie z pomocy socjalnej. Tej grupie edukacja może przede wszystkim pomóc w znalezieniu innych zajęć, innych miejsc pracy na wsi, ale poza rolnictwem. Programy edukacyjne powinny przede wszystkim pokazywać tym ludziom alternatywę.

Najbardziej niekorzystnym zjawiskiem na polskiej wsi są nawarstwiające się patologie w rejonach popegeerowskich. I, niestety, jedyną metodą na uratowanie młodzieży z tamtych rejonów jest zabranie jej stamtąd. Ta młodzież musi znaleźć się w normalnych szkołach, w normalnych internatach i jak najszybciej zmienić otoczenie – bo inaczej będą w Polsce miejsca, do których strach będzie jeździć. O tym wymiarze edukacji również nie wolno zapominać!

Powinniśmy w reformującym się szkolnictwie podstawowym, gimnazjalnym i średnim, a także w szkolnictwie wyższym szukać jak największej możliwości, aby wieś była włączona do procesów edukacyjnych. Musimy stworzyć system wsparcia dla młodzieży ze środowisk wiejskich. Tu rola

samorządów lokalnych i organizacji społecznych i kościołów jest bardzo istotna. Trzeba stworzyć wszystkie możliwe zachęty, żeby młodzież wiejska mogła kształcić się na poziomach średnim i wyższym.

Pilnie potrzebne jest stworzenie systemu stypendialnego oraz systemu promowania studentów pochodzenia wiejskiego. Aby to przyspieszyć, może warto byłoby organizować spotkania wybitnych uczonych ze środowiskiem nauczycieli wiejskich.

Najgorszym zjawiskiem, jakie obserwuję w tej chwili na wsi, jest to, co można byłoby nazwać zaklętym kręgiem niemocy. Zły samorząd – to najczęściej zła szkoła, zła szkoła – to brak wykształconych ludzi, którzy z niej wychodzą, niewykształceni ludzie trafiają do samorządu, a to oznacza zły samorząd...

Polska w Unii Europejskiej musi być krajem, który ma zapewniony stały rozwój, a tego bez edukacji zrobić się nie da. Powtarzam to po raz kolejny: jednym z warunków przybliżenia się naszego społeczeństwa do Unii Europejskiej jest zgoda narodowa ponad wszelkimi podziałami politycznymi dotycząca edukacji dzieci, młodzieży i dorosłych tak, byśmy mogli być równorzędnymi partnerami w jednoczącej się Europie.

Podpisanie przeze mnie ustaw reformujących edukację narodową spotkało się w swoim czasie z nieprzychylną reakcją wielu środowisk. Także tych związanych z lewicą. Nie osłabia to jednak mojego przekonania o słuszności tego, co zrobiłem. Po prostu uważam, że system edukacji, z jakim mieliśmy do czynienia przez ostatnie 30 lat, stał się w znacznym stopniu bezużyteczny w nowych warunkach społeczno-gospodarczych, gdyż de facto był nastawiony na produkcję bezrobotnych. Zajmowały się tym w pierwszym rządzie szkoły zawodowe. Były to ślepe uliczki. Te szkoły jakże

często opuszczali ludzie ledwo umiejący czytać i pisać, a więc w ogóle nie ma mowy, aby mogli funkcjonować na nowoczesnym rynku pracy.

Wiadomo przecież, że szkoły zawodowe, zwłaszcza na wsiach i w małych miastach, kształciły fachowców na potrzeby jedyne go istniejącego tam zakładu produkcyjnego. Po likwidacji takiego zakładu, i to niezależnie od tego, czy był to PGR, czy zakład przemysłowy, ludzie ci stawali w obliczu życiowej klęski, a przez szkołę nie byli wyposażeni w umiejętność poszukiwania alternatywy. Jest to zjawisko, które nazwałbym „wyczoną bezradnością”. Należało to przerwać i to radykalnie! Jakże zastanawiające jest to, że dzisiaj dzieci wiejskie prawie nie idą na wyższe uczelnie. Pamiętam, jak w latach sześćdziesiątych wymyślono dla młodzieży robotniczej i chłopskiej punkty preferencyjne na egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie. Efekt był taki, że po dwudziestu latach obowiązywania „punktów za pochodzenie” na uczelniach było mniej młodzieży ze wsi niż wcześniej.

Przyczyn tego zjawiska było zapewne wiele. Co do jednego mam pewność – nastąpiło drastyczne obniżenie aspiracji wśród młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej. Stamtąd na studia jest po prostu daleko i to nie tyle geograficznie, co mentalnie. Jest teraz naszym moralnym obowiązkiem i zarazem interesem społeczno-gospodarczym te ambicje i aspiracje wśród tej młodzieży znowu rozbudzić i stworzyć jej realne szanse ich realizacji.

Braki w wykształceniu mogą bowiem spowolnić nasz marsz w XXI wiek. W przeprowadzonych przez OECD badaniach rozumienia informacji Polacy wypadli fatalnie. Okazuje się, że jesteśmy tzw. analfabetami funkcjonalnymi! Ponad 70 procent naszych rodaków nie rozumiało tabel, prostych tekstów, ani wykresów. W innych krajach rozwiniętych, ta-

kich jak: Szwecja, Niemcy, USA, podobnie słabe rozumienie informacji cechuje co najwyżej 44 procent mieszkańców. Autorzy tego raportu twierdzą, że *niski poziom rozumienia i stosowania informacji wśród dorosłych Polaków jest w stopniu większym niż gdzie indziej zdeterminowany przez fakt zamieszkiwania w regionie wiejskim*. Tak nie może być!

Przyznaję, że trudno żyć ze świadomością, iż młodzi ludzie ze wsi i małych miasteczek (do 20 tysięcy mieszkańców), czyli połowa polskiej młodzieży, stanowią zaledwie 2 procent studentów szkół wyższych. 50 procent młodzieży z większych miast to 98 procent studentów. O dziedziczeniu biedy w Polsce pisałem już wcześniej. Ta sytuacja jest odtwarzana w kolejnych pokoleniach, bo zazwyczaj dzieci idą drogą rodziców. Aż 43 procent dzieci, których ojcowie mają wykształcenie podstawowe, nie podejmuje – po skończeniu podstawówki – dalszych wysiłków edukacyjnych. Dziedziczna więc jest nie tylko polska bieda, ale także poziom wykształcenia.

Boom edukacyjny, o którym tyle mówimy, podkreślając, że w całym kraju na studia idzie trzy razy więcej młodych ludzi niż 10 lat temu, nie obejmuje ani całego kraju, ani wszystkich Polaków. Szczycimy się prawie 10 procentami Polaków z wyższym wykształceniem (przed 25 laty było ich tylko 2 procent), ale wypadałoby pamiętać, że są to ludzie z większych miast i z niezłe sytuowanych rodzin, którzy mogą studiować dzięki własnym pieniądзом i coraz liczniejszym prywatnym uczelniom. Biedna polska wieś nie ma na naukę pieniędzy. A państwo – trzeba to przyznać – zwiija parasol ochronny. Jeszcze w 1991 roku 4 procent wydatków na edukację szło na stypendia (głównie studenckie). W roku 1999 – już tylko niecałe 2 procent.

Autorzy raportu przygotowanego w 1999 roku (z inicjatywy ministra edukacji narodowej i stałego przedstawiciela

Programu Narodów Zjednoczonych do spraw Rozwoju – UNDP) oskarżają nasze państwo o to, że zrzuciło z ramion ciężar zapewnienia wszystkim równego dostępu do nauki i zalecają – między innymi – wypracowanie systemu prawnego oraz mechanizmów likwidujących nierówność. Twierdzą, że każdej szkole trzeba zagwarantować podstawowy zakres finansowania, i że należy reanimować system stypendiów dla dzieci i młodzieży ubogiej. Poraża konkluzja tego raportu. *Pozytywne efekty zmian ustrojowych – ostrzegają jego autorzy – były znacznie słabsze niż ich negatywne następstwa, które spowodowały gwałtowne zróżnicowanie szans dostępu do wykształcenia!*

## Wychowanie w centrum uwagi

Nie da się na dłużej – bo na krótko próbowano tak działać na początku lat dziewięćdziesiątych – oddzielić edukacji od wychowania. Zwłaszcza, że stoimy w obliczu narastającej fali patologii. Najbardziej boli i niepokoi fakt, że w grze zła i przemocy uczestniczy coraz więcej młodzieży i dzieci.

Polska rodzina, podobnie zresztą jak dużo rodzin w wielu krajach świata, nawet świata zamożnego, nie może sobie dziś poradzić z wyzwaniem nie tylko ekonomicznymi, lecz także cywilizacyjnymi i kulturowymi. Jak zresztą ma sobie poradzić tradycyjna, średnio wykształcona rodzina z tym agresywnym światem, który nagle wtargnął do domu poprzez telewizję i komputery, światem, w którym rzeczy wartościowe obcuja na jednym poziomie z propozycjami najgorszego gatunku, czy zawierającymi wręcz treści szkodliwe?

Telewizor, telewizja satelitarna, komputer, Internet są cennymi zdobyczami cywilizacyjnymi, dającymi współczes-

nemu człowiekowi nieocenione korzyści. Posiadanie tych urządzeń świadczy o sile ekonomicznej rodziny. A zatem są to fakty pozytywne. Rzecz jednak w umiejętnym korzystaniu z tych zdobyczy, a to już wymaga wiedzy i umiejętności selekcjonowania oferowanych propozycji. W tej sferze kryją się pułapki i zagrożenia, jakie niesie postęp cywilizacyjny.

Dotyczy to zwłaszcza młodych rodzin, a takie właśnie mają w domu nastolatków. W tym przypadku szczególnie wyraźnie konkurują ze sobą pozytywne i negatywne zjawiska naszego czasu. Otóż przedstawiciele tej grupy wiekowej, która tworzy młode rodziny, należą do głównych beneficjentów reform ostatniej dekady XX wieku. Jest to pierwsze powojenne pokolenie, na ogół nieźle wykształcone, które ma szansę efektywnie popracować i dorobić się. Trudno nie zrozumieć, że taka rodzina chce wykorzystać swój czas i otrzymaną szansę życiową. To właśnie ci ludzie siedzą długo w pracy, często łapią dodatkowe zajęcia, w domu ślęczą nad fachową literaturą, szlifują języki obce.

Można zapytać: a gdzie miejsce na dorastające dzieci? Analizy przestępczości wśród nieletnich, a nawet potoczne obserwacje wskazują, że w tej grupie wiekowej motywem wstąpienia na drogę przestępstwa nie musi być patologiczna rodzina, niedostatek w domu i złe doświadczenia w dzieciństwie. Równie częstą przyczyną jest nuda po zaspokojeniu przez zasobnych rodziców wszystkich możliwych zachcianek, zbyt wygodna rezygnacja z egzekwowania rodzicielskich praw.

Przedłużeniem i uzupełnieniem rodziny w funkcjach wychowawczych jest szkoła. Trafniej będzie powiedzieć – zawsze była szkoła. Dziś polska szkoła przechodzi bardzo ostry kryzys w realizacji swojej drugiej, po nauczaniu, głównej misji. Wskutek bardzo złożonych przyczyn, których źródła leżą przede wszystkim poza szkołą, utraciła ona moc



kształtowania charakterów i postaw młodzieży szkolnej oraz niezbędny w tym dziele autorytet. Nauczyciel nie jest już, niestety, tym, kim był od wieków: wyrocznią, wzorcem, skarbcem mądrości życiowej, którą się zabierało na drogę życiową. Długo trzeba by szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego szkoła utraciła ten wspaniały przymiot. Zresztą nie jest to bynajmniej specyficzne zjawisko polskie, szkoła wielu krajów europejskiego kręgu cywilizacyjnego przeżywa podobny kryzys. Jest to jednak słaba pociecha, może co najwyżej lżej go znosić.

Uczniowie na ogół nie lubią szkoły, co gorsze – nie szanują jej. Swoich nauczycieli traktują jak życiowych nieudaczników, o których można opowiadać szkolne dowcipy, nie zaś brać z nich przykład. Taka szkoła nie jest w stanie na tyle umocnić charakter i system wartości młodego człowieka, by uchronić go przed pokusami wstąpienia na drogę przestępstwa. Jak wiemy, nie jest nawet w stanie zapewnić uczniom bezpieczeństwa na terenie swojej jurysdykcji. Przemoc w bardzo wielu szkołach jest zjawiskiem nagminnym. Zdarzają się ciężkie pobicia i zabójstwa dokonywane przez dzieci na dzieciach, pobicia nauczycieli. Na terenie szkół rozprowadzane są narkotyki. Statystyki biją na alarm rozmiarami tego zjawiska.

Nie wytaczam tu polskiej szkole, jej funkcjom wychowawczym, aktu oskarżenia. Jeśli już mowa o akcie oskarżenia, to należałoby wystawić go najpierw samemu sobie – społeczeństwu jako całości. Osłabiło ono swój instynkt samozachowawczy w najczulszym miejscu: ochrony młodego pokolenia przed zagrożeniem przestępczością. Także całemu systemowi wychowawczemu i instytucjom państwa odpowiedzialnym z nadania społecznego za wychowanie i bezpieczeństwo młodego pokolenia. Idea ratowania młodzieży przed demoralizacją i wejściem na drogę przestępczą pobudza

ludzi szlachetnych, oddanych idei wychowania młodego pokolenia do wychodzenia z cennymi inicjatywami na tym polu. Działa już wiele fundacji i stowarzyszeń społecznych, tworzących coraz szerszy krąg ludzi zaangażowanych w to cenne dzieło. Jerzy Owskiak, wielki mag w sterowaniu wielkimi, pozytywnymi emocjami w masach młodzieży, stworzył swoją niezwykłą Orkiestrę Świątecznej Pomocy i przez nią dociera do najszlachetniejszych odruchów młodych serc. Jakaż to wspaniała i cenna akcja!

Zagrożona deprawacją młodzież nie jest więc sama. Nie odstąpiło przecież też od swojej wychowawczej misji nauczycielstwo. Dziś przeżywa tylko kryzys utraty autorytetu i obniżonej skuteczności swych wysiłków. Nie zrezygnowała ze swojej przyrodzonej roli wychowawczej polska rodzina. Boryka się tylko z nowymi, wcześniej nie znanymi jej wyzwaniem, z którymi nie zawsze potrafi sobie poradzić. Nie zrezygnowało również ze swojego obowiązku w zapewnieniu warunków kształcenia i wychowania młodzieży państwo. Działający w jego imieniu minister (a raczej ministrowie, bo rzecz dotyczy wielu osób) nie zawsze potrafi wyjść z kręgu poszukiwań nowej całościowej formuły polskiej szkoły, koncentrując się głównie na reformie nauczania, co rzecz jasna jest również ważne i potrzebne. Drugi segment – wychowanie jest w szkole domeną samych nauczycieli, w mniejszym zaś stopniu władz oświatowych. Nie jest to dobra sytuacja, państwo powinno mieć koncepcję systemu wychowania w szkole publicznej i inspirować środowiska naukowe, jak i praktyków, do poszukiwań w tym kierunku. Groźne zjawisko rozwoju przestępczości wśród nieletnich, a także kryminalizacja obszaru szkoły czynią ten problem wyjątkowo ważnym i pilnym.

Musi to być pomoc wszechstronna i konkretna, ukierunkowana jednak w tym przypadku na wzmocnienie jej

funkcji opiekuńczych i wychowawczych, a także na zwiększenie bezpieczeństwa dzieci. Widzę w tym froncie pomocy rodzinie: mądrych pedagogów, psychologów, policjantów, organizatorów atrakcyjnych imprez dla młodzieży (sportowych, kulturalnych) i media oddające mikrofony, kamery i łamy gazet utalentowanym pasjonatom.

Szkoła to drugi obszar pomocy. Wskazywałem jej niektóre dzisiejsze słabości ograniczające możliwości kształtowania pożądanych postaw i prawych charakterów. Powiem więcej – dla przywrócenia szkole jej pedagogicznej siły i aury, jakim dysponowała przez wieki, potrzebny jest wręcz narodowy program zbudowany wyjątkowo mądrze i realizowany konsekwentnie. Program jednoczący wszystkich ludzi mądrych i dobrej woli. Ponad podziałami ideologicznymi, politycznymi, religijnymi i wszystkimi innymi. Jeśli bowiem mówimy o tworzeniu podstaw do historycznego odbicia się w pomyślniejszą przyszłość, to tę podstawę stanowi szkoła. Dziś nie może ona sprostać elementarnym wyzwaniom wychowawczym.

Zadajmy zresztą pytanie: jakie postawy może kreować wśród nastolatków marzących o dobrym samochodzie nauczyciel, którego wynagrodzenie urąga ludzkiej godności? Do jakich wniosków może dojść młodzież widząca profesora wyższej uczelni w starym maluchu i porównująca go z ubranym w dres młodzieńcem z ogoloną głową jadącym najnowszym BMW?

Wielu socjologów upośledzenie materialne znacznej części rodzin traktuje jako przyczynę przestępczości wśród nieletnich. Myślę, że to najwyżej jedna z przyczyn, istotna, ale nie jedyna. Kryzys dzisiejszej polskiej rodziny w jej funkcjach wychowawczych i opiekuńczych, jak sądzę, ma rozleglejsze podłoże. I niekoniecznie w każdym przypadku usytuowane zewnętrznie, poza rodziną. Generalnie polska

rodzina, podobnie zresztą jak wiele rodzin w wielu krajach świata, nawet świata zamożnego, nie może sobie dziś poradzić z wyzwaniem nie tylko ekonomicznymi, lecz także cywilizacyjnymi i kulturowymi.

Czas dla rodziny to krótkie sobotnio-niedzielne wypadki na działkę lub dłuższe, na zagraniczne wakacje własnym autem. Tam właśnie można dziś najczęściej ujrzyć polską rodzinę w komplecie – pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu, na placu św. Piotra w Rzymie, czy na Riwierze Hiszpańskiej. Psycholodzy, pedagodzy przy tych, jakże przecież pozytywnych obrazach postawią wiele znaków zapytania i zgłoszą wiele wątpliwości. Przede wszystkim taką, że jest to rodzina nie na co dzień, lecz od święta, że w domu jest ona zatowarowana, bez niezbędnych więzi uczuciowych i poczucia współodpowiedzialności za siebie, w relacjach obustronnych: rodzice–dzieci, dzieci–rodzice. Każdy realizuje swój program, a najwięcej tracą na tym dzieci, gdyż z braku doświadczenia błędzą, a często schodzą na manowce. Nierzadko bywa, że również na drogę przestępczą. Analizy przestępczości wśród nieletnich, a nawet potoczne obserwacje wskazują, że w tej grupie wiekowej motywem wstąpienia na drogę przestępstwa wcale nie musi być patologiczna rodzina, niedostatek w domu i złe doświadczenia w dzieciństwie. Nie o sztukę pedagogiczną mi chodzi, lecz o sztukę kształtowania ciepła i miłości w rodzinie, bez czego jest ona ułonna.

Problemy dzisiejszej rodziny tworzą rejestr znacznie bogatszy obejmujący: wychowanie dzieci, wykształcenie, utrzymanie ich w ryzach i ochronę przed zejściem na złą drogę. W pokonaniu tych kłopotów rodzinie trzeba pomóc.

Jeśli mówimy o tworzeniu pracy, to zadbajmy o wyposażenie ludzi w cechy umożliwiające im podjęcie pracy oraz jej

kreowanie. Osiągnąć to można przez powszechność i dostępność edukacji, przez ustawiczne kształcenie dorosłych, przez zainteresowanie biznesu wspieraniem edukacji.

Ten świat, który nas otacza, świat postrzegany przez wielu Polaków, w niektórych zwłaszcza częściach Polski, jako szary i beznadziejny, świat bezrobocia, nędzy, rozpadających się ruder po byłych PGR-ach, świat taniego wina i codziennej nudy można zmienić! Własną pracą, korzystając z własnej wiedzy i umiejętności. To jest prawdziwe wyzwanie!

## Epoka edukacji

Podkreślam raz jeszcze: edukacja i nauka to najlepsze inwestycje dla społeczeństw wchodzących w XXI wiek. Dotyczy to narodu w całości i ludzi indywidualnie. Edukacja i powiązane z nią badania naukowe są koniecznością żywotną i dobrze rozumianą na świecie.

Polska w przyspieszonym tempie odrabia dystans do wysoko rozwiniętych państw Europy. Rozwój cywilizacyjny, postęp, dbałość o warunki życia – to przymioty nowoczesnego państwa, to cele, które stawiać sobie powinni ludzie realizujący misję publiczną. To wymiar współczesnego posłannictwa polskiej inteligencji, wszystkich jej pokoleń. Polskie szkoły i uczelnie muszą więc oferować studentom nie tylko naukę i studia – muszą im oferować przyszłość.

Jaka będzie Polska XXI wieku? Czy potrafimy nadrobić stracony czas, czy dogonimy świat i będziemy równorzędnymi partnerami w jednoczącej się Europie? To trudny moment dla Polski. To wielki moment dla polskiej edukacji i nauki. To czas wielkiej szansy dla młodego pokolenia.

Do jednoczącej się Europy prowadzi wiele dróg: najprostszą, najszybszą i najbardziej pożądaną – to gościniec wymoszczony nauką i kulturą. O przygotowaniu do realizowania stojących przed nami zadań zadecyduje poziom naszej sprawności intelektualnej i naszej kreatywności we wszystkich dziedzinach życia. Upowszechnianie nauki jest dziś jednym z podstawowych czynników w tworzeniu nowego społeczeństwa w nadchodzącym stuleciu. Nie wolno skupiać się tylko na zaspokajaniu doraźnych potrzeb, nie inwestując w przyszłość.

Odpowiedzią Komisji Delorsa – od której raportu rozpocząłem ten rozdział – na różnorodne wyzwania stojące przed polityką edukacyjną jest koncepcja edukacji przez całe życie, która jawi się jako swoisty klucz do bram XXI wieku.

Wykracza ona poza tradycyjny podział na edukację wstępną i edukację ustawiczną. Jest odpowiedzią na wyzwania szybko zmieniającego się świata, zapewnia bowiem niezbędną elastyczność, różnorodność oraz dostępność w czasie i przestrzeni. Ta nowa, rozszerzona koncepcja edukacji powinna umożliwić każdej jednostce odkrywanie, pobudzanie i wzmacnianie jej potencjału twórczego – ujawnić skarb ukryty w każdym z nas.

Istnieje w teorii i praktyce przedsiębiorczości pojęcie *windows of opportunity*, okna szans, które się nagle pojawiają w otoczeniu firmy i których wykorzystanie daje przedsiębiorcy szybkie i wymierne profity. Edukacja jest dla Polski takim strategicznym oknem szans, mającym zarazem to do siebie, że dzięki niej można też takich okien rozwoju zobaczyć i stworzyć dużo więcej.

Ważnymi lekturami mojego pokolenia były *Szok przyszłości* i *Trzecia fala* Alvina Tofflera. I oto nowoczesne technologie telekomunikacyjne i komputerowe, z Internetem na czele, urzeczywistniają na naszych oczach ten szok, do którego od prawie trzydziestu lat próbuje nas

przygotować Toffler. Mamy już nie tylko e-mail, pocztę elektroniczną, ale – w zgodzie z nasilającymi się w świecie megatrendami – coraz to nowa dziedzina ludzkiej aktywności zostaje poprzedzona literką „e”, przy czym e-edukacja, to początki istnego imperium. Nowe techniki informatyczno-telekomunikacyjne zmieniają bowiem szkołę i nauczanie w stopniu radykalnym, tyle że nikt nie wie jeszcze jak bardzo. Ale w wielu miejscach na świecie poszukuje się intensywnie nowych rozwiązań w tym zakresie. Szkoła XXI wieku (w odróżnieniu od tej XIX- i XX-wiecznej) już znacznie mniej będzie potrzebna do przelewania w głowy uczniów informacji, a zwłaszcza tych informacji, które można zdobyć inaczej – na przykład poprzez Internet. Dzięki bajecznym szansom, jakie stwarzają dla edukacji nowoczesne technologie informacyjne, możliwe będzie zindywidualizowanie programów nauki i studiów dla poszczególnych uczniów i studentów. Brzmi to być może paradoksalnie, ale trzeba przeżyć szok przyszłości, aby powrócić do jednego z najpiękniejszych i najstarszych zjawisk w procesie dydaktycznym, jakim jest relacja: mistrz-uczeń. Są na to obecnie ogromne szanse.

Epoka przemysłowa i epoka informacji przekształcają się na naszych oczach w epokę edukacji. Musimy zdawać sobie w pełni sprawę z tej widocznej już wyraźnie tendencji i sprawnie podejmować niezbędne działania usprawniające nasz system oświaty i szkolnictwa wyższego i nauki. W ciągu dziesięciu lat osiągnięcia edukacyjne kraju będą bowiem najważniejszymi wskaźnikami w zakresie oceny jakości życia. Tak jak stopień cywilizacyjny Belgii określano pod koniec XIX wieku przez gęstość połączeń kolejowych, tak realizacja zadań edukacyjnych będzie traktowana w najbliższych latach. Nawet, jeśli trudno komuś w to uwierzyć!

# Polska nie stoi na rozstaju dróg

Za nami trudne, ale owocne lata. Polska przełomu wieków i tysiącleci jest dzisiaj bezpieczna i stabilna. Stawiamy sobie jednak pytanie, co powinniśmy zrobić, aby historyczną szansę wykorzystać jak najpełniej. Pokolenia Polaków starały się budować swoją Ojczyznę najlepiej jak potrafiły i jak pozwalały na to warunki historyczne. Czasami były to wielkie narodowe zrywy, często jedynie trud przetrwania, innym razem wysiłek odbudowy. Zawsze jednak kolejne pokolenia miały przed oczami jakąś wizję Polski, która nadawała sens i kierunek ich wysiłkom.

Należę do pokolenia, którego wyobrażenie o przyszłości kraju kształtowało się w warunkach podzielonego świata, rozdartej Europy a zarazem szybkich zmian. Wiedza wynoszona z życia rodzinnego, ze szkoły czy środowiska akademickiego dezaktualizowała się. I tak jak zmieniał się nasze doświadczenie, tak często presji czasu i wydarzeń poddawane były nasze wizje i nasze marzenia. Nauczyliśmy się, że nic nie jest dane raz na zawsze. To, co wydawało się niemożliwe, stawało się realne. Rzeczywistość uczy pokory, analizowania na bieżąco świata zdarzeń. Sukcesy odnoszą ci, którzy szybciej rozpoznają znaki czasu i wyciągają z nich trafniejsze wnioski.



Nie znaczy to, że należy zrezygnować z planowania przyszłości, tworzenia wizji. Polityk powinien czynić to odpowiedzialnie, nie odbiegając zbyt daleko od granicy rzeczywistości. Wtedy ma szansę, że będzie rozumiany i znajdzie zwolenników swoich koncepcji. Udowodni, że nie tylko chce zmieniać sytuację, ale i potrafi to zrobić.

Moja wizja Polski również zmieniała się. Inaczej wyobrażałem sobie przyszłość kraju jako student, inaczej jako dziennikarz. Jeszcze inaczej widzę ją obecnie, mając już sporo politycznych doświadczeń, w tym 5 lat pracy jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

To wyjątkowe doświadczenie i wyjątkowe zobowiązanie. Zdaję sobie sprawę, że jak napisał prof. Piotr Winczorek: *prezydentura to nie tylko suma uregulowań prawnych, lecz także właśnie taka wyjątkowa instytucja publiczna, której rzeczywisty wymiar polityczny nadaje osoba pełniąca funkcję głowy państwa.*

Zawsze więc staram się ustawiać poprzeczkę wysoko. I wobec siebie i wobec całej klasy politycznej. A ponieważ zbiorowe osiągnięcia Polaków ostatniego dziesięciolecia są znaczne, to też i nasze cele stają się, muszą się stać, coraz ambitniejsze.

## Co było

W 1995 roku twierdziłem, że dla zapewnienia Polsce dobrej przyszłości potrzebny jest wspólny wysiłek. Mówiłem, że nie ma państw z góry skazanych na brak nadziei czy na biedę. Są tylko państwa źle zorganizowane, uwikłane w wewnętrzne konflikty, pozbawione wiary w przyszłość. Mówiłem, że Polsce potrzebny jest prezydent, który łączy a nie

dzieli, który umocni państwo i jego struktury. Prezydent, który chce i potrafi współpracować z każdym rządem, jest rzecznikiem społecznej wrażliwości i solidarności, czuje się promotorem społeczeństwa obywatelskiego, popiera wzrost gospodarczy, zabiega o międzynarodową pozycję Polski i jej bezpieczeństwo.

Takie były najważniejsze cele mojej pracy. Zawsze starałem się pamiętać, że godność prezydenta Rzeczypospolitej sprawuję z woli narodu, który w 1995 roku wybrał przyszłość i wspólną Polskę. Czasami spotykam się z zarzutem, że za często przepraszam za wydarzenia z przeszłości. To nie moja sprawa i nie moja wina – słyszę. Pozwolę sobie nie zgodzić się z tym poglądem. Byłem i jestem zwolennikiem pokory politycznej. Przeprosiny, zwłaszcza wypowiedziane przez prezydenta wybranego przez Naród, to próba zadośćuczynienia tym, którzy doznali w przeszłości krzywd i niegodziwości. Nie traktuję tego tylko w kategoriach politycznych. To przede wszystkim imperatyw moralny. Po prostu bliska jest mi filozofia „przebaczam i proszę o przebaczenie”. Dlatego nie boję się i nie wstydzę przepraszać. Także nie za swoje winy. Dopóty będą żyli w Polsce ludzie noszący w sobie poczucie krzywdy historycznej, dopóty warto ich przepraszać, szukać z nimi porozumienia w imię wspólnej, lepszej przyszłości naszej Ojczyzny. Oczywiście, oprócz słów, potrzebne są też działania.

A że są i tacy, do których żadne przeprosiny nie trafiają i którzy żadnych przeprosin nie oczekują? Cóż, trzeba przyjąć to do wiadomości.

Podstawowym moim przesłaniem jest budowanie ponadpartyjnego porozumienia wszędzie, gdzie jest to możliwe. Nie oznacza to, że nie widzę pożytków z różnicy zdań, z otwartej, nawet kontrowersyjnej debaty politycznej. Ja jednak nie jestem przywódcą ugrupowania parlamentarnego. Nie jestem,

oczywiście, człowiekiem znikąd, ale staram się być zawsze jako prezydent, rzecznikiem myślenia kategoriami całego państwa.

Cieszę się, że zaproponowana przeze mnie wizja sprawowania najwyższego urzędu w państwie znalazła akceptację Polaków w czasie prezydenckich wyborów i w czasie dobiegającej końca kadencji. Mając świadomość społecznego zaufania, łatwiej radzić sobie z ogromną odpowiedzialnością.

Mijające 5 lat pełne były ważnych wydarzeń. Zgodnie z dyspozycjami konstytucji, jako Prezydent Rzeczypospolitej koncentrowałem się na sprawach podstawowych. Na umacnianiu fundamentów naszej państwowości, niepodległości i bezpieczeństwa. Na strzeżeniu zasad demokratycznego państwa prawnego. I jestem przekonany, że w ciągu tych lat państwo stało się mocniejsze, a Polska bezpieczniejsza. Sukcesy cieszą, ale też głęboko odczuwam niepowodzenia. Powodują one bolesne wyrzuty sumienia mojego i, mam nadzieję, wszystkich rządzących. Stanowczo zbyt wielu Polaków nie korzysta z pozytywnych efektów zmian, jakie się u nas dokonały.

Nie wolno nam godzić się z takim stanem rzeczy. Nie wolno nam poprzestać tylko na diagnozie. Potrzebny jest program działań. Potrzebna wola, determinacja i mądrość w rozwiązywaniu trudnych polskich problemów, równa tej, jaką mieli Polacy w budowaniu nowej rzeczywistości na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

## Co dalej

Stoimy u progu XXI wieku. Aby zrealizować narodowe cele, spełnić ludzkie marzenia, dwa podstawowe pytania powinny, w moim przekonaniu, organizować nasze myś-

lenie o przyszłości: czego potrzebuje państwo i czego potrzebują jego obywatele.

Jeśli chcemy Polski zasobnej i zamożnego społeczeństwa – musimy dbać o wzrost gospodarczy, o bezpieczeństwo makroekonomiczne, o unowocześnienie infrastruktury i rolnictwa. Wchodzący w dorosłe życie wyż demograficzny musimy powitać energicznymi działaniami na rzecz tworzenia nowych miejsc pracy i rozwoju budownictwa mieszkaniowego.

Jeśli chcemy państwa stabilnego – powinniśmy umacniać zdolność do kompromisu, dialogu i współpracy. Nie służą dobrze Polsce nowe wojny na górze, kłótnie o podział stanowisk. Niepokój budzić muszą praktyki upartyjniania państwa, administracji publicznej oraz gospodarki. Dlatego musimy zadbać o wyższą kulturę naszego życia publicznego. Działania polityków mają tylko wtedy sens, jeśli są użyteczne dla państwa i obywateli, dlatego nie powinno być w nich miejsca na niekompetencję.

Jeśli chcemy żyć według standardów obowiązujących w krajach najwyżej rozwiniętych – musimy w sposób poważny, z wszelką możliwą determinacją przygotować się do otwarcia na Europę, dostosować nasze prawo i gospodarkę do wymogów członkostwa w Unii Europejskiej.

Jeśli chcemy Polski sprawiedliwej – musimy lepiej dzielić wypracowany dochód. Bez solidarności społecznej, bez przeciwdziałania biedzie wszędzie, gdzie ona występuje, nigdy nie będziemy państwem zdolnym do optymalnego rozwoju. Nie wolno dopuścić do dziedziczenia biedy! Nadchodzący czas trzeba wykorzystać do stworzenia warunków, aby również ludzie ubożsi mogli znaleźć swoją szansę.

Jeśli chcemy w Polsce sprawnego państwa – musimy umacniać szacunek dla konstytucji i prawa. Poszerzać pole działania samorządu. Rozwijać społeczeństwo obywatelskie.

Tylko akceptacja społeczna dla najważniejszych działań instytucji państwa może umocnić jego autorytet i zwiększyć skuteczność.

Wyjątkowo dotkliwy jest dziś w powszechnym odbiorze deficyt sprawiedliwości oraz osobistego bezpieczeństwa. Jeśli chcemy to zmienić – musimy poprawić skuteczność działania sądów, prokuratury i policji. Musimy też poprawić prawo wszędzie tam, gdzie okazuje się ono nieskuteczne lub nie może być egzekwowane.

Jeśli chcemy unowocześnić Polskę, dołączyć do najwyżej rozwiniętych krajów – musimy postawić na wiedzę i na równość szans w dostępie do edukacji. Nowy wiek będzie czasem powstawania społeczeństwa informatycznego. Dlatego powinien być dla Polaków czasem powszechnej i permanentnej edukacji. To najlepszy instrument awansu nie tylko jednostek, ale i całych grup społecznych. To najskuteczniejsza droga do zajęcia mocnej pozycji w gronie rozwiniętych społeczeństw europejskich.

Polityka zagraniczna jest zawsze funkcją interesu narodowego. Jeśli chcemy Polski bezpiecznej i szanowanej w świecie – powinniśmy umacniać naszą obecność w NATO, budować przyjazne, partnerskie relacje w naszym najbliższym otoczeniu. Powinniśmy dążyć do dalszego poszerzania Paktu Północnoatlantyckiego, a także, gdy już sami znajdziemy się w Unii Europejskiej, by drzwi do niej pozostawić otwarte dla naszych partnerów i przyjaciół z całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Nasza wielka transformacja rozpoczęta w 1989 roku obradami „okrągłego stołu” trwa. Reformom państwa, gospodarki oraz całego sektora usług społecznych trzeba zapewnić bezpieczeństwo i stabilną perspektywę. Bez tego nie będzie sukcesu.

Kiedy dziś patrzę na stan tych czterech reform, które rząd wyłoniony po wyborach parlamentarnych w roku 1997 uczynił swym sztandarowym przedsięwzięciem, stwierdzam, że skala wyzwań okazała się większa, niż wszyscy mogliśmy sądzić. Zrobiono za wiele błędów. Wielka szkoda, że tak się stało. I wielka strata – bo reformy są potrzebne i trzeba je będzie pilnie naprawiać, przywracając w ten sposób społeczne zaufanie do państwa i rządu.

Nie mam wątpliwości, że naszym wielkim wspólnym zadaniem jest obecnie odbudowa społecznego optymizmu. Nie może być tak, że mijają miesiące, lata, a kolejne badania opinii społecznej wskazują na rosnący pesymizm Polaków. Większość z nich twierdzi, że sprawy idą w złym kierunku. Czas najwyższy odwrócić ten trend. Trzeba dać ludziom nadzieję na lepsze życie, w lepiej zorganizowanym państwie. Na Polskę, w której reformy są dobrze przygotowane i kompetentnie przeprowadzane. Na nowoczesne służące obywatelom państwo. Na kraj, w którym sprawnie działają sądy, ludzie czują się bezpiecznie, chorzy mogą liczyć na szybką pomoc lekarzy. Gdzie politycy są profesjonalni i odpowiedzialni za swe działania. Gdzie młodzi ludzie startujący w dorosłe życie mają równe szanse, bez względu na to czy pochodzą ze stolicy, czy z małej wioski, czy są potomkami ludzi bogatych, czy dziećmi bezrobotnych.

Jestem przekonany, że taka Polska jest możliwa. I że wizję takiej Polski możemy urzeczywistnić w najbliższej przyszłości. Otrzymaliśmy unikalną od wieków szansę na trwały pokój i stabilny rozwój. W stworzeniu tej szansy mieliśmy własny, ogromny udział. Pokazaliśmy, że potrafimy połączyć marzenie z ciężką pracą, odwagę z realizmem, gotowość do poświęceń z umiejętnością odnoszenia sukcesu. Że idea Polski społecznej solidarności może materializować się we

współdziałaniu różnych, często politycznie odległych sobie ludzi. Te cechy pozwolą Polakom zająć godne miejsce wśród narodów Europy.

Polska nie stoi dzisiaj na rozstaju dróg. Polska widzi szansę, Polska chce ją wykorzystać. Dlatego na początek XXI wieku patrzę z optymizmem. I zachęcam do tego innych. Tak jak pieniądź rodzi pieniądź, tak optymizm niech zrodzi sukces. Polacy na niego zasługują!

# Spis treści

Od autora .....	5
Zostawić trwały ślad .....	8
Jak być skutecznym .....	9
Polityka to nie wszystko .....	12
Misja polityka to nie kruczata .....	17
Politycy i biznesmeni .....	20
Nie dopuścimy do alienacji .....	22
Wzór, praktyka i obyczaj polityczny .....	25
Znajmy miarę w sporach .....	31
Konstytucja a nowoczesne państwo i prawo .....	33
W oczekiwaniu na prawo praw .....	35
Konstytucja mądrego porozumienia i kompromisu .....	38
Konstytucja dla społeczeństwa obywatelskiego .....	43
Reformy państwa i prawa – dla kogo splendor? .....	46
Nowoczesne państwo musi gwarantować bezpieczeństwo osobiste .....	51
Konsolidacja systemu demokratycznego .....	57
Polska reform ekonomicznych .....	59
Dlaczego nie powiodła się reforma gospodarki socjalistycznej? .....	59
Kontraktowa transformacja .....	62



Na tle sąsiadów .....	64
Marsz w nieznane .....	66
Źródła naszego sukcesu .....	68
Przedsiębiorczość obywateli .....	72
Zmniejszyć koszty społeczne i ożywić gospodarkę .....	76
Prywatyzacja i komercjalizacja .....	80
Reformy – dzieło pragmatyków .....	82
Reformy to nie konkurencja sportowa .....	85
Kapitał nie ma narodowości? .....	88
Nie popadajmy w huraoptymizm .....	90
Co nas czeka .....	93
Polska społecznej solidarności .....	95
Dramat ubóstwa .....	96
Solidarność i sprawiedliwość – pojęcia przestarzałe? .....	99
Dlaczego brakuje pracy i mieszkań? .....	101
Rozwierające się nożyce .....	103
Jak uczłowieczyć transformację .....	106
Historia pewnego nieporozumienia .....	110
Wspierajmy tych, co chcą być na swoim .....	114
Cztery reformy społeczne – błąd czy sukces? .....	116
Trzecia droga – nowe podejście .....	120
Nie zapominajmy o dialogu społecznym .....	125
Kraj za miastem, Polska zrównoważonego rozwoju .....	127
Strategia przetrwania .....	129
Odejść od polityki krótkiego dystansu .....	132
Droga do modernizacji wsi i rolnictwa – trzy oddzielne polityki .....	137
Na integracji z Unią Europejską wieś zyska najwięcej .....	141

Strategia rozwoju	
– wspólnym zadaniem rządu i regionów .....	145
Postawmy na walory ekologiczne .....	148
Agroturystyka – szansą polskiej wsi .....	152
Polaków rozrachunki z historią .....	155
Romantyczny charakter .....	156
Przeżywanie historii .....	160
Jak zainteresować historią? .....	164
Fatalizm, przypadek, własny wysiłek .....	166
Opozycja demokratyczna .....	169
Doświadczenie „okrągłego stołu” .....	172
Dziedzictwo komunizmu .....	175
My i obcy .....	180
Nieuzasadniony lęk przed modernizacją .....	181
Polska wśród sąsiadów i w regionie .....	185
Europa – wspólnym dziełem .....	186
Fałszywe stereotypy .....	189
Dlaczego Rosja nie lubi przeproszać? .....	194
Przeszłość, która łączy i dzieli .....	199
Tożsamość środkowoeuropejska? .....	204
Aksamitna obojętność czy regionalna solidarność? ....	208
Polska bezpieczna .....	213
Zmiany w siłach zbrojnych .....	214
Droga do NATO .....	216
Ponadpartyjny konsensus .....	219
Nowe NATO – co do niego wnosimy .....	221
Polska w NATO umacnia stabilność regionu .....	224
Europejska tożsamość obronna – kiedy i jaka? .....	228
Bezpieczeństwo wymaga konsekwencji .....	231

Polska w Europie .....	236
Czym jest dzisiaj Europa? .....	237
Jak narodziła się polska droga do integracji europejskiej? .....	239
Dlaczego idziemy do Unii? .....	242
Co Polska wnosi do wspólnej Europy? .....	248
Polskość i europejskość .....	255
Przeciwko nowym murom w Europie .....	260
Wiedza – rezerwą strategiczną Polaków .....	264
Edukacja – szansą ludzkości .....	265
Czynnik intelektualny .....	266
W Audytorium Maximum .....	269
Ludzie uparci .....	272
Reforma edukacji – obawy i nadzieje .....	277
Wobec niepewności .....	280
Edukacja dla wsi .....	285
Wychowanie w centrum uwagi .....	290
Epoka edukacji .....	296
Polska nie stoi na rozstaju dróg .....	299
Co było .....	300
Co dalej .....	302



**PERSPEKTYWY PRESS**

00-511 Warszawa, ul. Nowogrodzka 31

tel. (0-22) 628 58 62, 621 75 26

fax (0-22) 629 16 17

<http://www.perspektywy.pl>

e-mail: [perspektywy@pol.pl](mailto:perspektywy@pol.pl)

Warszawa 2000

Wydanie I

Skład i łamanie: MAGRAF S.C., Bydgoszcz

Przygotowanie do druku: P.U.P. ARSPOL, Bydgoszcz

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław